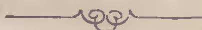

V
B
C

KRÓL KRAK

i

KRÓLEWNA WANDA.



I.



Koń pędził ciągle wyciągniętym galopem ...

KRÓL KRAK

i

KRÓLEWNA WANDA.

OPOWIADANIE PRZEDHISTORYCZNE

DLA MŁODZIEŻY.

PRZEZ

Autora „Bitwy pod Raszynem."

Z 8-miu OBRAZKAMI RYSUNKU CZ. JANKOWSKIEGO.



WARSZAWA.
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA.
1887.

Дозволено Цензурою.
Варшава 14 Сентября 1886 г.

W Drukarni St. Niemiery, Plac Warecki Nr. 4.

I.

Żubry w puszczy.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Jego czerwone promienie przedzierały się ukośnie przez gąszcz olbrzymich drzew wielkiego lasu i oświecały wązką ścieżkę, którą jechał co koń wyskoczy jakiś młodzieniec. Koń co prawda był dzielny, mały, krępy o nader rączym i pewnym biegu, co było rzeczą ważną, bo ścieżka była wązka, wijąca się śród lasu jak wąż, zawalona tu i owdzie ogromnemi pniami wywróconych drzew lub mnóstwem gałęzi.

Na koniu tym, na oklep, na pustym worku parcianym, bez strzemion, siedział młody mężczyzna, z gołą głową, pokrytą tylko bujnemi kędzierzawemi jasnemi jak len włosami. Jeździec miał na sobie kożuch barani, przewiązany czerwonym pasem, od którego na rzemykach zwieszał się krótki miecz niemiecki, prosty i obosieczny, bez pochwy. W mieczu tym od czasu do czasu prze-

glądał się krwawy promień zachodzącego słońca, rzucając do koła olśniewające blaski. Prócz miecza uzbrojenie młodzieńca, stanowił wielki łuk przerzucony przez plecy i kołczan suto zaopatrzony w strzały. Ubranie zresztą jeźdzca było bardzo ubogie. Oprócz kożucha, który sięgał do kolan nie miał on nic więcej na sobie. Stopy tylko ukryte miał w łapciach z lipowej kory, przywiązanej do nogi rzemieniami.

Wieczór był ciepły, bo był to początek czerwca. W ogromnym lesie panowała poważna cisza, którą przerywał jedynie brzęk komarów, much i chrabąszczy. Gdzieś z głębi puszczy odzywał się głos kukułki, lub krzyk żórawi. Powietrze nie odświeżane najlżejszym nawet wietrzykiem było parne, przesiąknięte duszącym zapachem roślinnym i żywicznym. To też jeźdzcowi widocznie w dużym kożuchu i przy natężonym biegu, było bardzo gorąco, bo od czasu do czasu ocierał ręką pot kroplisty spływający mu po twarzy, i odgarniał bujne skędzierzawione włosy. Wówczas ukazywało się jego białe czoło, różniące się wyraźnie od reszty mocno opalonej twarzy.

Koń pędził ciągle wyciągniętym galopem, omijając zręcznie gromady gałęzi leżących na ścieżce, przeskakując zwinnością wiewiórki zawalające drogę kłody drzew. Wśrod ciszy leśnej tentent kopyt rozlegał się daleko.

Jeździec od czasu do czasu prostował się na koniu i rzucał do koła niespokojnym wzrokiem,

jak gdyby pragnął przebić ciemności zalegające powoli głąb puszczy. A puszcza to była stara i wielka. Olbrzymie dęby, klony, buki i jawory szumiały poważnie, sięgając szczytami swych koron wysoko. U ich stóp z pod gromady liści i gałęzi, darło się pod słońce mnóstwo drobniejszych drzewek, krzaków i roślin. Ze szczytu drzew, na odgłos biegnącego konia zrywały się z krzykiem wrony i kawki, żórawie i jastrzębie, które wzbiwszy się wysoko pokołysały się na swych skrzydłach pod ciemnym lazurem wieczornego nieba i znów siadały na wierzchołkach drzew.

Tymczasem słońce zaszło i noc zapadała w lesie szybko. Jeździec zwolnił biegu, odgarnął włosy zasłaniające mu wzrok i coraz niespokojniej oglądać się począł dokoła. Las stawał się coraz gęstszy, ciemność była coraz większa i w końcu, koń widocznie nie wiedząc gdzie iść, stanął. Jeździec dotąd milczący mruknął coś pod nosem i pochylił się na kark konia widocznie upatrując drogi. Gdy jednak z powodu ciemności nic zobaczyć nie mógł, żwawo zeskoczył z konia i klęknąwszy na ziemi pilnie począł się w niej rozpatrywać.

— Na Perkuna!—mruknął—pobłądziłem.

Powstał, wyprostował się, i ruszył do najbliższego dębu, który obmacał dokoła rękami. Gęsta warstwa mchu pokrywająca zwykle drzewa od strony północnej, dała mu mniej więcej pojęcie, w którą stronę winien jechać, żeby się dostać do celu swej podróży. Ale widocznie nie

była to dla niego wielka pociecha bo ze spuszczoną głową, zamyślony głęboko, już zamierzał dosiąść swego konia, gdy nagle ten strzygąc niespokojnie uszami, zarżał głośno i rwać się począł.

W lesie panowała już zupełna nierozjaśniona niczem, nieprzejrzana ciemność. Jeno w górze, gdyby jeździec nasz zadarł dobrze głowę, można było dostrzedz z poza zbitych borów drzew, płatek jasnego nieba. Przytem, jak zwykle nocą zerwał się chłodny wiatr i pognał po lesie napełniając go szumem i trzaskiem. W głębi puszczy nieustawały krzyki żórawi i innego ptastwa, ponure hukania puszczyka i ryk dzikiego zwierza. Wszystkie te odgłosy, odbijając się echem od dębów do dębów, od buków do buków, rosły w coraz większą siłę, coraz dzikszy i straszniejszy przybierały charakter.

Nie dziw więc, że jeździec nasz spostrzegłszy niespokojne zachowanie się konia, mimowolnie obejrzał się trwożliwie do koła i sięgnął ręką po miecz. Po chwili jednak, uspokoił się trochę, gdyż jeżeli puszcza wrzała teraz tysiącem głosów, to jednak odzywały się one zdaleka, a zbliska nic nie zdradzało niebezpieczeństwa. Pogłaskał więc ręką kark konia i nagle, jakby uderzony jakąś myślą, rzucił się na ziemię przykładając do niej ucho.

Ale niepotrzebował już tego. W tej chwili, bowiem po puszczy rozległ się trzask okropny, huk głuchy i wrzawa, jakby szedł huragan stra-

szliwy i druzgotał stuletnie dęby. Ziemia przytem drżała i dudniała, jakby przez puszczę rwały w szalonym pędzie całe setki koni i ludzi. Z pośrodka tej wrzawy od czasu do czasu wybiegał donośny, krótki, urwany, nie mniej przeto straszny ryk z początku jeden, potem powtórzony przez tysiące innych. Puszcza zdawała się zamieniać w piekło.

Przez chwilę młodzieniec stał jak skamieniały, wsłuchując się w tę dziką wrzawę, zbliżającą się ku niemu ciągle potem nagle oprzytomniał i chciał skoczyć na konia, który coraz niespokojniejszy szarpał się gwałtownie, stawał dęba i wierzgał. Ale było już zapóźno. Łoskot i wrzawa rosnąc ciągle, była już bardzo blizko. W głębi lasu, wśród jego ciemności posuwała się gwałtownie jakaś czarna, olbrzymia masa. Koń w tej chwili przerażony do najwyższego stopnia, szarpnął się tak gwaltownie, że wyrwał się z rąk jeźdzca i rżąc pognał w szalonym pędzie, przeskakując przez pnie, rozbijając się o drzewa i znikł w ciemności leśnej. Jeździec został sam.

Przez chwilę stał on jak oszołomiony, z twarzą zwróconą w kierunku uciekającego konia, ale gdy owa ciemna masa już była tak blizko, że rozróżnić ją można było, gdy z pośrodka czarnego lasu migotać poczęły jakieś krwawe ogniki, młodzieniec oprzytomniał i szepcąc:

— Żubry! żubry! — ze zręcznością, zdwojoną niebezpieczeństwem, wdrapał się na najbliższe drzewo.

Czas już był wielki, gdyż właśnie z głębi czarnego lasu, z trzaskiem łamanych gałęzi, z głuchem dudnieniem, z rykiem dzikim pędziła jak szalona gromada żubrów. Pyszne te zwierzęta, z rogami zakrzywionemi, z grzywami na karkach, rwały napozór tratując wszystko przed sobą. Na ich czele posuwał się wspaniały żubr stary, z nozdrzami szeroko rozwartemi, jak gdyby węszył i upatrywał, czy nie ma gdzie w pobliżu nieprzyjacieła. Potrząsał on groźnie grzywą, którą wiatr rozwiewał a racicami wyrzucał ziemię, trawę, krzewy i korzenie w górę. Niekiedy w przystępie gniewu porywał na swe zakrzywione rogi drobne krzaki lub młode drzewka, które napotykał na drodze, wyrywał je, tratował z głuchym rykiem nogami i potem jak kamień rzucony z procy, ciskał w górę. Oczy świeciły mu się jak dwa ogniki.

Za nim ścieśnioną gromadą biegły inne żubry potrącając się, rycząc strasznie, potrącając się o drzewa. Posuwały się one z wielką szybkością. Młodzieniec patrząc na nich ze szczytu starego dębu, ukryty w jego liściach i gałęziach, pytał się samego siebie, dla czego te żubry tak pędzą jak szalone? Czyżby ścigał je jaki zwierz straszniejszy od nich? Ale czyż jest taki zwierz w puszczy, któregoby się żubry obawiać mogły, zwłaszcza, jeżeli są w tak licznej gromadzie? Nie: one pędzą do wody, która musi ztąd być niedaleko.

Ta myśl przypomniała młodzieńcowi, że i on ma pragnienie, trapiące go od południa jeszcze, a którego, wjechawszy w tę wielką puszczę, dotąd ugasić nie mógł. Postanowił więc zejść z drzewa i za śladem żubrów ruszyć, by tym sposobem dostać się do wody. Woda zresztą mogła go wyprowadzić na dobrą drogę z tej puszczy, nad wodą zwykle mieszkają ludzie, u których przecież będzie można dopytać się o gościniec. Przytem zimno było w nogi nagie i niczem nieosłonięte. Z głębi puszczy, z ziemi nigdy nie ogrzewanej słońcem, dzięki gęstości drzew i ich liści, tworzących niejako zielone sklepienie nad ziemią wydobywały się teraz nocą, mgły wilgotne i chłodne, które chłopaka przenikały do kości. Był głodny, spragniony i zmęczony. W worku na koniu zostawił kawałek podpłomyka i krajankę sera, ale koń z workiem uciekł i jeść nie było co. Brała go ochota, kiedy tak siedział na szczycie dębu, a u stóp jego przebiegała czarna masa żubrów naciągnął łuk, który miał na sobie i posłał tym ryczącym zwierzętom jednę lub dwie strzały. Ale strzałą żubra nie zabije — dał więc pokój. Bądź co bądź trzeba było pójść przedewszystkiem za żubrami żeby odnaleźć wodę, choć kropelkę wody dla spragnionych ust.

Już zamierzał zsunąć się z drzewa, kiedy nagle spostrzegł w pomroce nocnej przepysznego jelenia zabiegającego drogę żubrom. Przestraszony zwierz o rozłożystych prześlicznych rogach,

napotkawszy gromadę żubrów przeraził się tak, że zamiast szukać ocalenia od niechybnej śmierci w ucieczce, stanął i dużemi swemi oczami wpatrzył się w rwące ku niemu żubry. W jednej chwili przez pędzącego na czele wodza gromady starego żubra, został porwany na rogi i wyrzucony z taką siłą, że padł tłukąc się o drzewa o kilkanaście kroków w bok zaciekłych zwierząt. Będzie co jeść pomyślał młodzieniec i zręcznie a lekko zsunął się z drzewa. Przedewszystkiem pobiegł do jelenia, który zlany posoką, potłuczony okropnie dyszał jeszcze. Jednem pchnięciem miecza dobił biedne zwierzę, wyciął zaraz cały comber i zostawiając resztę na pastwę dla wilków i kruków, ruszył za żubrami, których ślad w lesie nawet w nocy rozpoznać można było po stratowanych krzakach i powyrywanych młodych drzewkach.

Nie długo jednak iść potrzebował. Uszedłszy bowiem kilkaset kroków, spostrzegł bielejącą wstęgę rzeki. Ucieszyło go to niezmiernie, gdyż umierał z pragnienia. Ale właśnie żubry napiwszy się wracały ze zwykłym sobie trzaskiem i rykiem. Trzeba znowu było drapać się na drzewo, aby uniknąć wcale niepożądanego spotkania i czekać aż cała ta gromada przeleci.

Nakoniec uciszyło się w puszczy. Trzask i ryk żubrów coraz bardziej się oddalał, cichł i nareszcie zupełnie ucichł. Znowu tylko szum drzew było słychać i huk puhacza. Dzięcioł gdzieś

daleko głośno stukał swym długim dziobem w wypróchniałe drzewo.

Młodzieniec dźwigając na sobie comber jeleni żwawo ruszył ku rzece. Wiła się ona niby srebrna wstęga w korycie dość zagłębionem, wielkim pędem. Po obu stronach miała piasczyste wzgórza, zarosłe wikliną i wierzbami, ale że wysokich drzew nie było, więc gwiazdy dawały jakie takie światło i śliczna noc letnia rozlegała się dokoła tysiącem nieuchwytnych szmerów.

Młodzieniec zstępując ku rzece, zastanawiał się nad tem, coby to za woda była i prawie był pewny że to Wisła.

— Jeżeli to Wisła to i Kraków niedaleko.

Napił się wody do syta, czerpiąc ją garściami a w końcu wstał, położywszy się na brzuchu na brzegu. Potem wstał i oglądając się dokoła, począł rozmyślać coby mu teraz czynić należało. Nad wodą unosiła się biała mgła i nie pozwalała daleko sięgnąć okiem. W trzcinie rozlegał się krzyk ponury byka i żaby gdzieś na bagnisku przybrzeżnem rechotały. Po trzasku i huku, jaki przed chwilą brzmiał w puszczy, otoczyła teraz naszego podróżnego cisza nocy letniej, ze swemi głuchemi głosami i szmerami.

II.

Nawodne mieszkanie.

Powoli noc coraz głębsza i ciemniejsza zapadać poczęła, a z nią cichły te tysiączne szmery natury, które tyle poezyi nadają nocom letnim w naszym kraju. Mgła nad rzeką opadła nizko i zakryła wszystko sobą, tak że widać było tylko szczyty drzew przeciwnego brzegu. Reszta rozpływała się we mgle.

Młodzieniec napiwszy się wody w rzece i odpocząwszy sobie nieco, począł przemyśliwać nad tem, w jakiby sposób teraz zająć się przygotowaniem pieczystego z combra jelenia, combra, który tak dziwnym i niespodziewanym sposobem dostał się do rąk jego. Ogień nie było znów tak trudno rozniecić i nie o to mu szło, ale lękał się by dym i blask nie zdradził jego samotnego pobytu w tej puszczy, leżącej na kraju Morawy i Szląska i używającej złej sławy. Mówiono, że kryje się w niej mnóstwo zbójców, którzy napa-

dają i rabują podróżnych i kupców przedzierających się tędy ku Krakowu. Żeby to jeszcze tylko rabowano, to mniejsza, ale zabijano. Młodzieniec nie miał wiele do stracenia, bo oprócz kożucha i miecza nic na nim nie było, ale i kożuch w onych czasach był coś wart, a miecz niemiecki był rzeczą bardzo nawet cenną. Mogli się więc na niego zbójcy złakomić.

Z drugiej jednak strony, niepodobna było wytrzymać całą noc bez ognia, wśród tego chłodnego i wilgotnego powietrza, w obec dzikiego zwierza, którego ponure ryki w miarę posuwania się nocy rozlegać się poczęły po puszczy; nie podobna na koniec nic nie jeść mając na sobie wyborny comber jeleni. Chłopak cały dzień nic prawie w ustach nie miał, boć kawałek podpłomyka i sera nic nie znaczyło, i głodny był bardzo. Bądź co bądź, postanowił rozpalić ognisko, wyszukawszy wprzódy jakie dogodne potemu, ukryte miejsce nad rzeką.

Obejrzał się dokoła i z wielką ostrożnością, starając się jak najmniej robić szelestu posunął się w dół rzeki kilkanaście kroków, upatrując jakiego wąwozu lub zagłębienia w brzegu, mocno przez wodę poszarpanym. Wiatr szumiał po puszczy i mgła coraz gęstszą się stawała. Wkrótce nawet na parę kroków młodzieniec nasz nic dojrzeć nie mógł. Szedł jednak wolno, ostrożnie, nadsłuchując pilnie, baczny na najmniejszy podejrzany szelest, z wprawą człowieka obeznanego

ze wszystkiemi tajemnicami i niebezpieczeństwami olbrzymich ówczesnych lasów.

Nagle zatrzymał się i nastawił uszów w kierunku rzeki. Zdawało mu się, że usłyszał jakieś głosy ludzkie, pochodzące jak gdyby ze środka ukrytej w nieprzeniknionej mgle, wody. Istotnie, rozlegały się tam jakieś głosy ludzkie, jakieś nawoływania, okrzyki. Rzeka widać w tem miejscu rozszerzała się znacznie, gdyż nie było widać drzew, a raczej ich wierzchołków, z przeciwnego brzegu. Wszystko pokrywała jedna wielka szara płachta mgły kłębiącej się pod wiatrem.

Młodzieniec wiedziony instynktem obrony przedewszystkiem, ukrył się w wiklinie i pilnie wzrok wlepił w stronę, zkąd dochodziły te głosy, mogące zwiastować tak dobrze niebezpieczeństwo jak pomoc. W ciszy nocnej po wodzie dobiegały go wyraźnie te głosy, męzkie, grube i silne, jak gdyby rozmawiało kilka osób. Głosy te ciągle wychodziły z jednego miejsca, co dowodziło, że rozmawiający nie płyną na łodzi, ale stoją na środku rzeki. Do mężczyzn dołączył się wkrótce płacz dzieci i krzyki kobiece. Zaraz też potem ukazało się kilka światełek, które przyćmione przez mgłę, wyglądały jak czerwone jakieś ogniki.

Teraz podróżny nasz wiedział czego się już ma trzymać. Rzeka znacznie w tem miejscu rozlewała się szeroko, tworząc małe jeziorko, na którem znajdowała się osada, czyli tak zwane mieszkania nawodne. Postanowił się do nich do-

stać, choćby dla tego, żeby zasięgnąć języka. Co postanowił to i zrobił. Szybko zrzucił ze siebie kożuch, związał go pasem koło combra jeleniego i to wszystko przymocował sobie do grzbietu. Miecz, kołczan i łuk umieścił tam także.

Tak przygotowany wszedł w rzekę, która mocno ogrzana przez cały dzień, cieplejsza była od otaczającego powietrza. Postępował póty, póki czuł grunt pod nogami, a potem począł płynąć. Wkrótce z mgły wyłoniła mu się czarna masa jakichś budynków, liczne ogniska i ludzie kręcący się koło nich, krwawo oświecani w ogniu i widocznie zajęci połowem ryb.

— Hop! hop! począł krzyczeć nasz podróżny.

Okrzyk ten wprawił wszystkich w niemałe zamieszanie. Kobiety i dzieci z wrzaskiem pouciekały i pochowały się do mieszkań, mężczyzni chwycili łuki, oszczepy i z natężeniem wpatrywali się w ciemną wodę, zakrytą oponą mgły.

— Hop! hop! powtórzył młodzian!

Wtedy jeden z mężczyzn olbrzymiego wzrostu zarośnięty cały, na pół nagi, okryty tylko kawałem skóry niedzwiedziej, uzbrojony w łuk i krótki oszczep, pochylił się nad wodą i huknął głosem grubym, odważnym.

— A kto tam?

— Swój odrzekł młodzian płynąc wciąż.

— Co za swój?

— Zbłądziłem w puszczy, poratujcie mnie władyko!

— Ilu was tam jest?

— Jeden tylko.

Wtedy mężczyzna ów olbrzymi, którego nasz młodzian nazwał władyką dla tego, że zdawał się być najstarszym między zebranymi na pomoście, szepnął coś do otaczających. Zaraz kilku młodych rzuciło się do łodzi i popłynęło ku naszemu podróżnemu. Z wielką ostrożnością zbliżali się do niego. Dwóch wiosłowało a trzech stało w łodzi trzymając łuki naciągnięte i ręce na cięciwach. Gdy się jednak przekonali, że na rzece znajduje się tylko jeden człowiek, dopomogli mu do wdrapania się na wątłą łódkę i otoczywszy go zaraz, nic nie mówiąc popłynęli ku osadzie. Tu po drabince spuszczonej do łodzi wprowadzili naszego bohatera na pomost, trzymając go pod ręce.

Zaraz go otoczyła gromada uzbrojonych mężczyzn, zarośniętych, w części w baranich czapkach, a w części z gołemi głowami, na pół nagich, czarnych, brudnych, dzikich, uzbrojonych w łuki, oszczepy, maczugi drewniane nasadzone ostremi krzemieniami, dzidy i miecze nawet. Z chat a raczej szałasów powysuwały się dzieci nagie, chude, brudne, kobiety mizerne i o dzikiem wejrzeniu. Wszystko to cisnęło się do młodzieńca, oglądało go z ciekawością, piszczało, popychało się, krzyczało.

Nakoniec ów najstarszy olbrzym zwany przez naszego podróżnego władyką, krzyknął dumnie

by się uciszono. Zapanowało głębokie milczenie. Władyka obrzucił od stóp do głów swemi dużemi niebieskiemi ale pełnemi dzikości oczyma, naszego podróżnego i zapytał:

— Zkąd jesteś?

— Z Krakowa.

Wywołało to ogólną ciekawość. Wszyscy baczniej słuchać poczęli.

— Ja wiem co to jest Kraków—rzekł na to władyka—ja tam raz byłem. Jest to gród na wysokiej górze, a w grodzie tym mieszka król.

— Tak, król Krak.

— On jest mocarz wielki, ma dużo ludzi zbrojnych i niewolników. Ja go widziałem, jak jechał na białym koniu w złocistych szatach z ogromnym mieczem u boku.

— Tak, on jest bardzo mocny—odrzekł młodzieniec.

— A co ty tu robisz?

— Ja jestem sługa królewski i jego poseł. Król wysłał mnie tam, daleko na wschód słońca za tą puszczą jeszcze i za górami, bym patrzał z drużyną, czy Niemcy nie idą.

— A jak się ty nazywasz?

— Ząbój!

— To tak jak ja! ozwał się któryś z gromady.

— Cicho tam! ryknął władyka. I dokądże ty teraz idziesz? zapytał zwracając do Ząbója.

— Do Krakowa, do króla. Niemcy idą z mieczem i ogniem, więc jadę oznajmić o tem królowi.

— Czy to straszny naród te Niemcy i dużo ich jest?

— Jak gwiazd na niebie—zawołał Ząbój,—mają na głowach wielkie hełmy żelazne i takie oto miecze jak mój.

Poczęto więc oglądać skwapliwie miecz jego który był wielki i ciężki.

— Zkądże ty masz taki miecz! pytał władyka.

— Od Niemców. Zabiłem jednego i zabrałem mu ten miecz.

Wywarło to wielkie wrażenie. Zabicie jednego z Niemców, których wprawdzie tu w głębi puszczy nie znano, ale o których przecież słyszano, wydało się zebranym czemś bohaterskiem. Zabój teraz wyglądał tu na prawdziwego bohatera, na istotę wyższą od wszystkich obecnych.

— A czemże go ty zabiłeś! pytał władyka.

— Z łuku. Wsadziłem Niemcowi strzałę w samo ślepie, a potem go maczugą przez łeb palnąłem i padł jak długi.

— Ho! ho! a gdzież te Niemcy są?

— Nie bój się, przyjdą tu oni do ciebie, nie trzeba ich szukać. Powiadam ci, że idą z wielką mocą na Kraków i jeno ich patrzeć jak tu przyleżą, bo oni zawsze idą nad rzekami, żeby mieli co pić i czem konie poić. A gdzie jeno ludzi spotykają zaraz ich zabijają, zabierają wszystko lub palą.

— I możność, że oni tu przyjdą?

— A nie inaczej.

— Ho! ho!—zafrasował się mocno władyka — a daleko oni jeszcze?

— Jeszcze daleko, ale będą tu nim miesiąc dwa razy powróci. Wojewoda ich nazywa się Rytygierz.

Władyka słuchał tego wszystkiego, ale udawał że go to nie wiele obchodzi. Podczas całej tej rozmowy dzieci i kobiety już powychodziły z chat i pilnie przyglądały się rzadko widzianemu gościowi. Młodsze co prawda pochowały się i tylko przez drzwi lub dziury w ścianach spoglądały, ale starsze otoczyły kołem Zabója, popodpierały brody na rękach i patrzały w niego jak w tęczę.

— A czegoż ty tu chciałeś żeś płynął przez wodę do nas? pytał dalej władyka.

— Ano cóż! pobłądziłem w puszczy, napadły mię żubry, koń mi uciekł. Więc zobaczywszy was popłynąłem, żebyście mi drogę wskazali i jeść co dali, bom głodny. A oto mam kawał mięsa jeleniego—niech niewiasty upieką.

Rozwinął tobołek swój i rzucił ów comber, z którym dotąd nic nie mógł zrobić.

— Dobrze, niech tam upieką zaraz, rozkazywał władyka.—A ty Zaboju rozgość się u nas Gość w dom, Bóg w dom. Zaraz ryb nałowimy. No! hej! do roboty.

Chwycono zaraz sieć i zarzucono ją na wodę. Zabój zmęczony tymczasem usiadł sobie na pomoście i oglądał się dokoła. Wszystko tu dla niego było ciekawe, gdyż w owych czasach takie

mieszkania na wodzie, były już wielką rzadkością i tylko gdzieś w głębi olbrzymich puszcz się znajdowały, z daleka od gościńców i dróg. Budowano je dla tego, żeby się ustrzedz od napadu nieprzyjaciela i dzikiego zwierza. W tym celu wbijano pale w dno rzeki, tak żeby wystawały nad wodę, na te pale kładziono pomost z desek, a na deskach wznoszono rzędem chaty lub tylko szałasy. Była to zwykle cała osada, złożona z kilkunastu rodzin. Z lądem taką osadę łączył wązki mostek, który na noc zdejmowano.

Wszystko to obejrzał Zabój, gdyż raz tylko w życiu, na Morawie widział taką osadę i to z daleka, więc był bardzo ciekawy całemu porządkowi tutaj. Ale nie śmiał zaglądać do środka chat, żeby nie wzbudzić podejrzenia.

Tymczasem ryb nałowiono i comber kobiety upiekły. Wszyscy mężczyzni usiedli do uczty. Rękami urywali kawałki mięsa i jedli.

— Pokażecie mi jutro drogę do Krakowa władyko?—pytał Zabój.

— Czy ja wiem, którędy to do Krakowa. Pojedziemy jutro do gontyny tam w puszczy i spytamy się starców. Oni ci pokażą drogę.

Niebyło co robić, zgodzić się trzeba było na ten projekt, który Zabójowi wcale nie był do smaku. Widocznie chciano się poradzić kapłanów co z nim zrobić. Tymczasem zjedzono comber i ryby do szczętu i za chwilę cała osada spała snem głębokim.

III.

Gontyna.

Różowy świt dobrze już zarumienił niebo, kiedy Zabój obudzony krzątaniem się koło niego otworzył oczy. Kobiety rozkładały już ogniska, koło których kręciła się gromada dzieci, a mężczyzni tuż nad wodą oczyszczali pomost, i ustawiali ławy proste, drewniane. Dzień robił się prześliczny i gorący. Mgły unoszące się nad rzeką powoli opadały i miotane lekkim wietrzykiem kłębiły się, zwijały i nikły. Puszcza, której ciemno-zielone głębie otaczały z obu stron rzekę, szemrała i grzmiała tysiącem głosów budzącego się dnia. Wiatr przynosił od puszczy aromatyczną woń żywicy, i szeroki, świeży oddech poranku. Pół nieba od wschodu, zakryte u dołu lasem, gorzało purpurą i złotem. Wisła szemrała a lekki plusk fali odbijającej się od pali wbitych w dno rzeki, dawał się słyszeć.

Zabój przeciągnął się i żwawo się zerwał na nogi. Spostrzegłszy stojącego na pomoście władykę i wydającego jakieś rozkazy, zbliżył się doń i oddawszy mu pokłon, zapytał:

— A kiedy mi pokażecie gościniec do Krakowa?

— Jaki gościniec?—oburknął się, zaraz dodał— czekaj, zaraz pójdziemy do gontyny i zapytamy się starców. Dziś więc tam będzie z całego opola i stanąć musisz przed wiecem. Starcy ci powiedzą co masz czynić i dokąd iść.

Nie w smak to było trochę Zabojowi. Jemu śpieszyło się mocno by donieść królowi siedzącemu na gródku w Krakowie, że Niemcy idą, a tu mu każą czekać na postanowienia wiecu, czyli sejmu i narady starszych opola. Nie przypuszczał, żeby tu w tej puszczy mogli mieszkać ludzie tak licznie, żeby aż opole tworzyli. Opole bowiem, w onych czasach było rodzajem gminy mającej wspólne grunta i rządzącej się swemi prawami. Ale widać, że tak było i chciał czy nie chciał Zabój zgodzić się musiał na to, co mu kazał czynić ów władyka, który był jakiś surowy i dziki trochę.

Zajęto się tymczasem połowem ryb, a jakaś stara kobieta przyniosła Zabojowi trochę w glinianym garnku świeżego mleka i placek owsiany. Zjadł to prędko bo mu się jeść chciało. Kilku z młodzieży uzbrojeni w łuki, kołczany, ora: włócznie i maczugi, siadło do łodzi i zagłı się w puszczy. Prawdopodobnie poszli polo

Wszałasach rozlegał się wesoły śmiech dziewcząt i dzieci, czasem śpiew jakiś o Dziedzilli bogince.

Nakoniec wyruszono na wiec. Władyka i kilku młodzieży, oraz starszych, uzbrojonych w łuki, maczugi, krótkie miecze, w co kto miał, siadło do trzech łodzi. Zabója oddano młodzieży pod dozór i przeprawiono się na brzeg Wisły, przeciwny temu z którego przybył nasz młodzieniec i zagłębiano się coraz w puszczę. Posuwano się niezmiermie wązką, ledwie widzialną ścieżynką, przez gąszcz, z którego strącano mokrą rosę poranną. Przebywano kilkakrotnie jakieś moczary, w które Zabój zapadał po kolana. Niekiedy z sitowia zrywały się gęsi dzikie lub żórawie, które krzykiem swoim napełniały brzmiącą tysiącem głosów ciszę puszczy. Młodzież do gęsi strzelała z łuków i parę sztuk ubiła, a nawet jeden młodzieniaszek bez wąsy, kamieniem rzuconym z procy zabił dużą tłustą kurkę. Przez gąszcz otaczających ich buków i dębów, przez mnóstwo drobnej roślinności pnącej się do góry, nie mogło się tu przedostać słońce i cień był mroczny w puszczy, przesiąknięty wilgocią i wyziewami gnijących roślin. Choć dzień był gorący tu był chłód zupełny, a rosa tak obficie leżała na liściach, że wszyscy podróżni mieli wkrótce mokre włosy niczem nie przykryte. Z głębi puszczy odzywała się kukułka i starsi mówili, że to dobry znak.

Nakoniec przebyto drożyną wijącą się jak wąż i starannie ukrytą wśród sitowia, jeszcze jedne wielkie moczary, porosłe tu i owdzie karłowatą olszyną, pokryte żółtemi kwiatami kaczeńcu. Moczary te zakończone były wielkiem usypiskiem z ziemi na które poczęto się drapać. Był to wał duży i szeroki, porosły bujną trawą i mnóstwem kwiatków, zwanych żabie oczka oraz ciemnoczerwonemi goździkami. Za wałem tym, gdy się na jego wierzch dostano ujrzał Zabój dużą polanę, bezdrzewną i na polanie tej kilkunastu mężów w słomianych kapeluszach, w kożuchach wywróconych włosem do góry, uzbrojonych w łuki i maczugi, siedzących na trawie, w około drewnianego budynku, będącego świątynią, czyli jak to wówczas nazywano: gontyną. Starcy wszyscy siwobrodzi, siedzieli w poważnem milczeniu a w dali, pod wałem stała w postawie pełnej uszanowania grupa młodzieży, także zbrojna i szepcząca między sobą.

Sama gontyna, był to niewielki drewniany budynek, wzniesiony ze starannie ociosanych belek, pomalowanych na czerwono i niebiesko. Dach kryty był gontami i ztąd zapewne nazwa gontyny. Wejście do środka stanowiły drzwi, otoczone dokoła misternie rzeźbionemi ozdobami z drzewa. Drzwi były zamknięte i nad dachem unosiła się gromada gołębi białych, które zrywały się, znów siadały na dachu, gruchając głośno. Słońce, któ-

re już dość wysoko się wzniosło, rzucało jasne promienie na gontynę i gorąco tu było bardzo.

Przed samym budynkiem, przed jego drzwiami stał wielki, stary, rozłożysty, z powyginanemi konarami dąb, u dołu suchy, u góry tylko ozdobiony koroną zielonych liści. Kora jego czarna, popękana była w wielu miejscach i sam środek tego pysznego, odwiecznego drzewa był spróchniały zupełnie. Gromady wróbli kryło się między rzadkiemi liśćmi u szczytu, napełniając grodzisko wrzaskliwym świergotem. Całe chmury wron i kruków przebiegało ponad polaną, siadało na okopisku, zrywało się znowu, by z głośnem złowróżbnem krakaniem przelecieć ciężko i powoli ponad grodziskiem.

Pod dębem, osłoniony jego konarami na pół w nich ukryty, stał wielki kamienny, niezgrabnie wyciosany posąg bożka Striboga. Przedstawiał on człowieka mającego trzy szkaradne z wielkiemi czarnemi oczami głowy. Trzy te głowy opasane były pewnym rodzajem przepaski w kształcie trójkąta. Bożek ten, zwany także Strzygą, wyciosany był z piaskowca, niegdyś białego, dziś przez czas i deszcze mocno zczerniałego. Tu i owdzie po kamieniu znać było szare pasy od deszczu, który sciekał z gałęzi dębu.

Panowała tu zresztą poważna, niczem niezamącona cisza około tej świątyni, w całem tem grodzisku, przerywana tylko świergotem wróbli na dębie, gruchaniem gołębi na dachu i kraka-

niem przelatujących wron. W upale dnia czerwcowego, w tej dolinie niczem nieosłonionej, skwarzyło się powietrze z pewnym, ledwie dającym się uchwycić szmerem, brzęczał bąk czarny z czerwoną przepaską szukający swego gniazda.

Starcy siedzieli wciąż koło świątyni w poważnem milczeniu, ocierając niekiedy pot kroplisty z czoła wywołany gorącem, ale kożuchów nie zdejmowali. Gdy uszedł do okopiska władyka z Zabojem i swymi towarzyszami, w milczeniu powitano się głowami i władyka wraz z paru innymi starszymi siadł w poważnem gronie wiecowem, młodzież zaś, otaczając ciągle Zaboja, cofnęła się pod okop.

Nakoniec rozwarły się z trzaskiem drzwi gontyny i na polanę wyszedł kapłan, wysoki, siwy jak gołąb starzec, w wysokiej czapce z bobrowego futra, ubrany w długie, białe ze lnu szaty, w postołach z łyka lipowego, dzierżąc w ręku długą laskę, zakrzywioną u góry. Otaczało go trzech innych kapłanów, młodszych znacznie, ubranych w takież suknie. Arcykapłan z powagą posuwał się ku siedzącym na ziemi starcom, a wielka jego, biała jak mleko broda, przy białem ubraniu, nadawała mu jakąś nieziemską postać.

Skoro go ujrzeli siedzący powstali natychmiast i pokłon mu oddali, a on głosem drżącym, opierając się jedną ręką na lasce a drugą wyciągając ku starcom, rzekł:

— Witajcie kmiecie i władykowie!

Potem zbliżył się do nich i siadł na wielkim głazie który tam sterczał z pomiędzy bujnie otaczającej go dokoła trawy. Co tam mówiono, Zabój z powodu oddalenia nie słyszał, widział tylko jak jeden starzec po drugim powstawał i coś głośno rozpowiadał machając przytem rękami. Wreszcie powstał władyka z osady nawodnej i drapiąc się po swym skudłaczonym ciasnym łbie prawił coś szeroko, co chwila wskazując na Zaboja. Mowa jego wywołała widocznie wielkie zaciekawienie, bo wszyscy powstawali i zbliżyli się doń, a arcykapłan kilkakrotnie mu przerywał, zadając nowe pytania. Wreszcie władyka zwrócił się ku Zabojowi i krzyknął swym grubym donośnym głosem:

— Hej Zabój! sam tu! bywaj!

Popchnęło naszego Zaboja zaraz kilku z młodzieży, mówiąc mu, żeby ruszał na wiec bo go starsi wołają. Poszedł więc trochę ze strachem, i stanął w poważnem tam kole, które mu się teraz ciekawie przypatrywało. Ten i ów nawet poszedł do niego i dotykał się jego długiego niemieckiego miecza, dziwiąc się jego wielkości.

— Parobku, ozwie się nakoniec swym drżącym głosem arcykapłan, zkąd wiesz że niemcy idą?

— Bom ich widział. Kupą wielką walą. Na to mnie król Krak wysłał, bym patrzał czy Niemcy nie idą.

— I tędy mówisz iść będą?

— A juścić, że tędy którędyż by szli. Oni zawżdy nad wodami idą, bo w puszczy by pobłądzili, jak ja pobłądziłem chociem swojak.

— A jak się ty zowiesz!

— Zabój,

— Ja nie o to się pytam. Twój ród jak się zowie.

— A no... ja jestem Chrobata... my tam wszyscy Chrobaci.

Tedy starzec oparł siwą głowę na ręce i począł myśleć. Teraz Zabój mógł mu się dokładnie przypatrzeć. Był on siwiuteńki jak gołąb i łysy zapewne, bo z pod bobrowego kołpaka wybłyskiwały mu się niewiele białych, długich i cienkich kusmyków. Głos miał drżący a twarz taką pomarszczoną i suchą jak kora na onym starym świętym dębie; który stał przed gontyną. Na ręce, na której głowę swoją wsparł, skóra pofałdowała się zupełnie i poodstawała od kości, a palce były długie, suche pogięte, jak szpony u jastrzębia. Głowy już także na karku utrzymać nie mógł i chwiala mu się jak kwiat maku poruszany wiatrem. Oczy zapadłe spłowiałe, zaszłe łzami podnosił co chwila i wpatrywał się w Zaboja, a suchemi szczękami ciągle ruszał, jakby coś żuł, od czasu do czasu kasłał sucho i stękał.

— Ilu tych Niemców jest! spytał znowu.

— Jak liści w boru.

— I ty parobku idziesz z tą wieścią o Niemcach do grodu krakowego?

— Tak i prosiłbym was ojcze, pokłonił się Zabój starcowi do kolan, byście mię prędko zwolnili i drogę wskazać kazali.

— Dobrze, zaraz odejdziesz. Dam ci przewodnika i posłanie do króla Kraka. Poczekaj.

Potem powstając z trudnością, rzekł:

— Kmiecie i władyki wieszczby zasięgniemy co nam z Niemcami, którzy tu idą, czynić należy.

I obróciwszy się do swych towarzyszy kapłanów dodał:

— Włócznię i źrebca niech wywiodą!

IV.

Wieszczba.

Między obecnymi zrobił się ruch. Jak tylko arcykapłan podniósł się z wielkim trudem ze swego siedzenia, powstali zaraz i wszyscy i ruszono teraz tłumnie, bo i dotąd osobno stojąca młodzież złączyła się z wiecowemi mężami, ku gontynie. Wszyscy odkryli głowy, gdy kapłan zdjął swój bobrowy kołpak przed posągiem Strzygi. Oddawszy temu kamiennemu bożkowi kilkakrotny pokłon wszedł do gontyny, której drzwi zostawił otwarte.

Zaraz z pomiędzy zebranych poczęli występować niektórzy i składać pod drzwiami różne ofiary, ten kurę, ów gołębia, tamten cielę, lub jagnię, inny podpłomyk, a jeszcze inny garść krup lub mąki. Koźlątko jakieś rzucone ze związanemi nogami pod gontynę głośno i żałośliwie beczało.

Wkrótce we drzwiach gontyny ukazał się siwobrody arcykapłan, w swych białych szatach,

ale przepasany nad biodrami czerwonym pasem suto nabijanym złotemi gwoździami. Na głowie w miejsce kołpaka miał szczerozłotą koronę, a w ręku wielki nóż wyrobiony z krzemienia. Posuwał on się wolno ku świętemu dębowi, a za nim szli inni kapłani śpiewając starą jakąś pieśń. Kiedy zbliżyli się przed bożka stanęli i oddali mu trzykrotny pokłon, powtarzając ciągle nazwę owego Bożka:

— Strzyga! Strzyga! Strzyga!

Zaraz też jeden z kapłanów przyniósł owe beczące koźle i położył je na wystającej nieco podstawie u nóg bożka, a arcykapłan zbliżywszy się kilkakrotnie pchnął swym ostrym krzemiennym nożem biedne koźlątko w samo serce. Krew trysnęła strumieniem i spływała na trawę po kamiennej podstawie. W ten sposób przebijano wszystkie przyniesione stworzenia — a gdy ofiara ta się skończyła, młodzież wzięła zabite stworzenia i oprawiać je poczęła. Nad oprawcami temi unosiły się gromadne kruki i wrony czekając na odpadki, chwytając one skwapliwie, walcząc o nie ze sobą.

Tymczasem kapłani na ścieżce od gontyny do okopu wiodącej ułożyli włócznie; ostrzami do siebie, w ten sposób, że tylko wązkie przejście pozostało między temi ostrzami. Gdy już to zrobiono, jeden z kapłanów wywiódł z gontyny na ocistej uzdeczce białego jak mleko źrebca, który edł rżąc głośno, co między obecnymi wywołało

radosne uniesienie, bo jak mówili, dobrą to było wróżbą. Koń był prześliczny i tylko na czole miał gwiazdkę czarną, a był on poświęcony największemu z bożków Jessemu, którego posąg ukryty był w głębi gontyny. Na koniu tym żaden człowiek siedzieć nigdy nie mógł.

Prześlicznego tego źrebca niespokojnie grzebiącego kopytami ziemię, przyprowadzono przed arcykapłana. Ten mrucząc swym smutnym i drżącym głosem jakieś słowa, wziął konia za uzdę i wprowadził go na ową wązką drożynę między ostrza włóczni. Wszyscy skwapliwie otoczyli konia i pilnie patrzyli czy nie zawadzi kopytami o które z ostrzy, co miało znaczyć nieuniknioną wojnę i wielki krwi rozlew.

Jakoż niespokojny źrebiec nie uszedł i kilka kroków gdy uderzył kopytem o jedno z ostrzy i odrzucił je daleko. Zaraz też podniósł się wielki krzyk i lament. Potrząsano groźnie włóczniami i maczugami i wołano:

— Na Niemce! na Niemce!

Młodzież w uniesieniu radości poczęła naciągać łuki i strzelać z nich do wron i kruków, które unosiły się nad grodziskiem czyhając na resztki z oprawianych zabitych zwierząt. Kilka z tych ptaków padło przeszytych strzałami, a reszta z krzykiem rozbiegła się do koła. Konia kapłani odprowadzili do gontyny, a kmiecie i władyki otoczyli Zaboja, wypytując go się o Niemców, o ich sile, o ich wojewodę, uzbrojeniu i drogę,

IV.



Wprowadził go między ostrza włóczni

którą pójdą. Zabój odpowiadał jak umiał, i prosił by go rychło odpuszczono, by królowi Krakowi mógł wieść o tem zanieść. Ale nie śmiano tego zrobić bez wiedzy arcykapłana, który poszedł do gontyny, zresztą mówiono, zjesz z nami co Bóg dał, a potem pójdziesz.

W rzeczy samej młodzież rozpaliła wielkie ogniska i piec przy nich poczęła zabite zwierzęta nie wyłączając wron i kruków poprzeszywanych strzałami. Przyjemna woń piekącego się mięsiwa mile łechtała podniebienie zgłodzonego trochę Zaboja, który dziś prócz mleka i podpłomyka owsianego nic w ustach nie miał, a przecie zrobił już kawał drogi do gontyny. Nie był więc od tego by poczekać na biesiadę, która zapowiadała się suto i obficie. Wszyscy też jakoś rozweselili się w obec nadziei pożywienia i wygrażali się Niemcom.

Przyniesiono z pobliskiego źródła wody w drewnianych kubłach, a kapłani z gontyny wytoczyli kilka beczek miodu i jabłeczniku starego. Każden dobył z za kożucha wielki róg do picia i toczono sobie owe napoje i pito. Starsi pozrzucali mocno dogrzewające im kożuchy i pokładli się na trawie w cieniu, po większej części nadzy, opaleni od słońca i wichrów, każdy poczynając pić, szedł z pełnym rogiem przed posąg Strzygi i oddawszy mu pokłon wylewał trochę napoju na skrwawioną jego kamienną podstawę.

Nakoniec ukazał się arcykapłan w towarzystwie jakiegoś średnich lat mężczyzny, w kożuchu i tak zwanej wścieklicy na głowie, to jest czapce barankowej, wysokiej i rozdwojonej u góry. Kożuch miał przepasany czerwonym skórzanym pasem, u którego wisiał długi oszczep w pochwie skórzanej, kołczan, łuk i maczuga suto nabijana ostremi krzemieniami uzupełniała jego uzbrojenie.

Ale jeżeli już uzbrojenie samo znamionowało w nim człowieka wyróżniającego się od innych, to jego twarz surowa, o małych czarnych i przenikliwych oczkach, jego broda czarna i chytry uśmiech na ustach, zwracały nań uwagę. Szedł on obok arcykapłana słuchając pilnie co ten do niego mówił i rzucając dokoła szybkie i bystre spojrzenia. Arcykapłan rzekł coś do jednego z młodzieży i ten zaraz zawołał:

— Zabój Chrobata, bywaj!

Zabój poskoczył do arcykapłana, który mu rzekł wskazując na męża idącego obok niego:

Oto jest Lisek, kmieć, który cię zawiedzie do grodu krakowego. Był on tam nieraz i wie którędy iść. Słuchaj go pilnie parobku, a teraz spożyj z nami biesiadę i potem w drogę bo czasu szkoda.

Jakoż wkrótce biesiada była gotowa. Upieczone owce, cielęta, kury i koguty. Włożono poćwiartowane na wielkich liściach łopuchu i wszyscy usiedli i jedli, rwąc mięso rękami, popijając

miodem i jabłecznikiem. Rozwiązały się języki, gwarzono głośno, śmiano się i odgrażano niemcom. Potem przyszedł starzec gęślarz i grając na gęśli, śpiewał stare pieśni o wielkich ojcach i wielkich wojnach.

Towarzyszył tej uczcie poważny szmer puszczy, kukanie kukawki, krzyki żórawi. Słońce już było dobrze wysoko i dopiekało mocno. Lekki wietrzyk przynosił od moczarów woń wilgoci i gnijących roślin. Różnobarwne motyle unosiły się nad polaną, siadając na kwiatach. Czasem gdzieś z puszczy, z jakiejś barci leśnej przyleciała pszczoła i kręcąc się brzęczała donośnie. Wróble wciąż świergotały na świętym dębie i zlatywały by zbierać okruchy zrozłamywanych podpłomyków przy biesiadnikach. Młodzież podjadłszy sobie poczęła zabawiać się na polanie strzelaniem z łuku, i ciskaniem włóczni, lub wyrzucaniem kamieni z procy. Niektórzy mocowali się ze sobą, lub ścigali się na równej murawie. Starsi siedzieli lub pokładli się wygodnie i pili miód i jabłecznik.

Nakoniec arcykapłan wezwawszy Liska i Zaboja kazał im ruszyć w drogę.

— A pokłońcie się tam odemnie królowi Krakowi,—mówił.

Oni też pokłonili się wszystkim i ruszyli. Przeszedłszy okop grodziska i przebrnąwszy bagna, otaczające go do koła, weszli w puszczę, gdzie ich ogarnął roskoszny chłód. Lisek szedł opierając się na swej maczudze i milczał zrazu długo,

chrząkając tylko od czasu do czasu, ale gdy już uszli kawałek drogi ciężkiej, bo zarosłej mnóstwo krzewów, przez które przedzierać się musieli, i wydostali się do lasu pełnego samych starych buków, których korony ginęły w górze i zasłaniały niebo. Lisek ozwie się głosem gardłowym i stłumionym:

— Toś ty Chrobata!

— Tak, a wy!

— Ja tutejszy, Szlązak. A byłeś ty. kiedy w tej puszczy?

— Byłem bom przecie jechał ku granicy niemieckiej, ale teraz pobłądziłem i nie wiem którędy iść.

— No, już ty się o to nie bój. Ja cię wyprowadzę, bo znam tę puszczę dobrze i zbrodziłem ją nieraz chodząc w różne strony.

— I duża to puszcza?—pytał Zabój zaciekawiony.

— Ho! ho! gdybyś nią przeszedł, ot tak w tę stronę—wskazał na północ, tobyś doszedł do ziemi na których mieszkają Polanie, Mazury i inne ludy. I nie szedłbyś wcale polami, jeno ciągle puszczą. A tu, kędy słońce zachodzi to doszedłbyś do ziemi Czeskiej i jeszcze dalej, do ziemi Sorabskiej i niemieckiej. Końca tu niema ta puszcza...

— A mówicie, że ją znacie Lisku?

— Znam tę część jeno, która idzie od naszej ziemi do ziemi Chrobackiej, do grodu Krakowego.

Byłem tam w tym grodzie nie raz jeden. A dawnoś ty opuścił on gród Zaboju?

— O! dawno. Miesiąc już z pięć razy się obrócił...

— No, ty nie wiesz co się tam dzieje, co ludzie gadają...

— A cóż gadają?

— Gadają, że pod oną górę na której grodek Krakowy stoi, a którą zowią Wąwolem, jest jaskinia wielka...

— A jest, samem ją widział.

— Owóż, że w jaskini tej osiadł teraz straszny zwierz, co go smokiem ludzie nazywają.

— Smokiem! a bo to są smoki na świecie?

— Młodyś jeszcze parobek Zaboju i dużoś rzeczy nie widział na świecie. Ja starszy od ciebie i wiem, że smoki są, bom własnemi oczami patrzał na smoka.

— Smoka? widzieliście smoka? — pytał niezmiernie zaciekawiony Zabój.

— A juścić że smoka. Widzisz, smoków jest już bardzo nie wielu i rzadko go spotkać można. W tej puszczy raz widziałem smoka i jeszcze dotąd skóra na mnie cierpnie.

— I jakże on wyglądał?

— Jest to ni zwierz, ni ryba, ni ptak. Bo to i po ziemi łazi, i w wodzie pływa i po powietrzu lata. Straszny zwierz! Jak roztworzy paszczę to całego żubra połknie jak nic, a cóż dopiero człeka. Szyję ma jeno cienką i długą,

a nóg cztery z pletwami jak gęś albo kaczka. Ma też dwa skrzydła i kiedy leci, to szum taki słychać w powietrzu...

Nie skończył Lisek tego opowiadania o smoku, gdyż nagle zatrzymał się, stanął i dając znak ręką Zabojowi by był cicho, pilnie nadsłuchiwać począł. Zabój stanął i zrobiwszy wielkie oczy patrzał na Liska, nierozumiejąc o co idzie i nadsłuchując także. Ale nic nie słyszał, jeno szum w puszczy i kukanie kukułki. Dzięcioł tylko gdzieś niedaleko pukał swym dziobem w dziuplę drzewa, nic więcej.

V.

Z b ó j e.

Zdumienie Zaboja było jeszcze większe, gdy Lisek podnosząc nakoniec głowę szepnął:

— Cicho braciszku, cicho! tu niedaleko są jacyś ludzie. Ukryjmy się w tych oto krzakach.

To rzekłszy z niezmierną ostrożnością, nie robiąc żadnego szelestu jak wąż przysunął się ku kępie krzaków i młodzieży, poczynającej w tem miejscu gęsto podszywać las. Za nim, zachowując także wielką ostrożność, bo mu Lisek ciągle znaki dawał, poszedł i Zabój i wkrótce przycupnęli za krzakami patrząc przed siebie i nadsłuchując bacznie. Zabój, choć był młody i uszy miał dobre, pomimo największych usiłowań nic dosłyszeć nie mógł, a Lisek przyłożywszy rękę zwiniętą w kształcie trąbki do ucha ciągle słuchał. Nakoniec podniósł się, wyprostował i rzekł, zawsze szeptem.

— Ludzie tu byli jacyś niedaleko, ale już poszli.

— I cóż to dziwnego? zaśmiał się Zabój,—albo to ludzie po puszczy nie chodzą, czy co?

— Ot głupi!—mruknął Lisek—młody i pstro we łbie. W puszczy chodzą ludzie, ale zawsze lepiej nie spotykać się z niemi, bo nie wiesz na kogo natrafić możesz. W tej stronie, ku której idziemy zbóje się włóczą, sami Morawcy i Czechy, a też jacyś tam Lutycy, co się wilkami przezywają. I gorsi są oni od wilków prawdziwych. Na kogo napadną zdradziecko, ten już więcej świętej ziemi nie obaczy. Oto dla czego z ludźmi lepiej się nie spotykać w tej puszczy, rozumiesz teraz parobku!

— Rozumiem, ale coby nam oni wzięli? kożuchy i łuki...

— Coby wzięli, toby wzięli, a najprzód wzięliby ci życie, a to każdemu jest miłe. No, dodał—posłuchawszy chwile, teraz możemy iść dalej. Tylko ty sobie pamiętaj, jak dam ci znak tak język za zębami, sza! bo tu o życie idzie. W puszczy takiej jak ta oto, wszystko na człeka czyha.

To mówiąc swym posuwistym krokiem ruszył naprzód, mając już teraz głowę spuszczoną i pilnie wpatrzoną w ziemię. Nic nie mówił, a Zabój nie śmiał go zaczepić, choć radby był dowiedzieć się coś o onym smoku co w grodzie Krakowym w jaskini Wąwelowej siedzi. Ale Lisek nie odzywał się wcale, tylko szedł żwawo przodem, opierając się na swej maczudze i rzucając

od czasu do czasu bystre spojrzenia do koła po puszczy. Niekiedy stawał i słuchał, ale nic, jeno szum drzew napełniał tu ciszę swym szmerem, czasem wybiegła naprzeciw nich sarna i popatrzywszy wielkiemi swemi oczami, znikała w podskokach w gęstwinie.

I szli tak jakiś czas, gdy nagle Lisek idący wciąż przodem, zatrzymał się jakby piorunem rażony i przyklęknąwszy, pilnie począł dokoła oglądać trawę.

— A co to?--szepnął,—krew?

Jakoż w tem miejscu murawa była mocno stratowana i powdeptywana w ziemię, gałęzie na krzakach sąsiednich połamane, jak gdyby tu ktoś upartą stoczył walkę. Na trawie znać było stopy ludzkie silnie wyciśnięte i świeciły jakieś duże, ciemne, mokre plamy. Pod jednym z krzaków leżały strzępy jakiegoś odzienia czerwonego i kilku strzał połamanych. Rozglądając się dalej Zabój spostrzegł rzucony o kilka kroków dalej puginał, cały krwią pokryty, z rękojeścią prześlicznej roboty. Nic podobnego jak żyje nie widział, choć u Niemców nieraz oglądał różne puginały, bo Niemcy kochali się w takiej broni. Podniósł i pokazał ten puginał Liskowi. Ten obejrzał go starannie i wytrzeszczywszy oczy z wielkiego przerażenia, szepnął do Zaboja:

— Tu, kogoś zamordowali zbóje. Te głosy, którem słyszał to ich były głosy. Ale gdzie trupa podzieli?

I oglądał się do koła. Obok śladów stóp ludzkich, były ślady kopyt końskich; a dalej, Lisek poszukując znalazł trupa, całkiem prawie nagiego, ogromnego męża z brodą. Mąż ten miał roztrzaskaną głowę pałką i ciepły był jeszcze. Ciało miał w kilku miejscach podziurawione strzałami. Leżał rzucony między krzaki, obficie do koła zlane krwią i w pięści ściśniętej silnie trzymał garść rudych kudłów, które widać wyrwał ze łba zbója. Wrony zlatywały się już do trupa i siadając po sąsiednich drzewach krakały szkaradnie.

— A co? nie mówiłem—szepnął Lisek patrząc na przerażonego tym widokiem Zaboja.—Ale nie mamy tu co robić! chodźmy dalej.

Szedł z głową ciągle spuszczoną wpatrując się w ziemię za śladami stóp ludzkich, i kopyt końskich, skręcając tam gdzie one skręcały, zatrzymując się gdzie się one zatrzymywały. Niekiedy gdy ślady ginęły, przyklękał na ziemi, zawracał, szukał, dopóki ich w końcu nie znalazł.

— Dokądże my idziemy?—spytał nakoniec Zabój zaniepokojony mocno tem ściganiem zbójów. Czy nie lepiej iść w bok, bo tak możemy wpaść w łapy zbójeckie.

— Iść w bok, chyba po to, żeby pobłądzić. My musimy iść tędy, którędy szli zbóje, bo tak nam droga wypada,—odrzekł nie odwracając głowy Lisek. Wiem ja co robię, nie pierwszyzna-mi po puszczy chodzić i zawsze najlepiej iść za

zbójami z tyłu, jak przed nimi lub bokiem. Na to jestem twój przewodnik, żebyś mię słuchał, a nie chcesz, to się zawróć!

— Nie sierdzcie się Lisku,—przepraszał Zabój,—róbcie jak chcecie, byleście mię do Krakowa zawiedli. Nie boję ja się też tam znów tak bardzo zbójów, nie z takimi obwiesiami się biłem i pobiłem ich na nic.

— No, no, nie gadaj tak, bo nie wiesz co to są oni Lutycy wilki. Nie tak to ich łatwo zjeść jak się tobie zdaje, kupa ich też jest wielka, nie jeden albo dwóch. Latoś zeszłego roku całe opole mężów czterdziestu robiło na nich obławę. I cóż? wrócili z niczem, straciwszy pięciu swoich a zabili jeno jednego Lutyka. To wilki i smoki przerażliwe.

— Ale ale! powiedzcie mi też Lisku co jeszcze o tym smoku na Wawelu, zagadnął po chwili Zabój.

— Teraz nie czas gadać,—mruknął Lisek— i lepiej zrobisz jak stulisz gębę. W puszczy trzeba być cicho, bo nie wiesz, czy za krzakami nie czycha na ciebie łuk i strzała.

Uznał w tych słowach Zabój słuszność i nie odzywał się nic, tylko postępował jak mógł najciszej i najostrożniej za Liskiem. Weszli teraz na jakiś grunt grząski i bagnisty, porosły kępkami bujnej i zielonej trawy, uzłocony kwiatami żółtemi kaczeńca. Gdzie niegdzie widać było kałuże rdzawej, brudnej wody, mieniącej się w różne barwy tę-

czy od słońca. Drzew tu było nie wiele, same olchy i wierzby karłowate i pogięte dziwacznie. To też słońce dopiekało mocno. Na kępkach trawy, na powalonych pniach drzew siedziały wielkie ropuchy i brzydkiemi oczami patrzały na podróżnych. Czasem żmiję szkaradną dostrzegli, która sycząc uciekała gdzieś pod krzewy olch. Ślady kilkunastu ludzi i kilku koni ciągle było widać, głęboko odznaczone w grząskim i błotnistym gruncie. Roje komarów i rozmaitych muszek unosiło się nad bagnami, a w dali w sitowiu, które zieleniało, odzywały się głosy kurek wodnych.

— Niedaleko jest jeziorko,—mruknął Lisek,— zatrzymamy się tam, odpoczniemy i trzeba będzie ubić choć parę kurek, żeby mieć co jeść. W Krakowie nie będziemy wcześniej jak jutro nad odwieczerz.

W rzeczy samej niedługo przyszli nad jeziorko, do koła otoczone puszczą, gęsto po brzegach porosłe trzciną, we środku tylko wolne błyszczące pod słońce jak tafla roztopionego srebra. Gromady ptactwa wodnego unosiły się nad jeziorem, pływały po jego spokojnej, cichej wodzie, ruszały się w trzcinie. Od czasu do czasu jakaś ryba ogromna plusknęła się i zakłóciła spokój jeziora. Wielkie sokoły rybołowy kołysały się na swych skrzydłach nad wodą, upatrując zdobyczy. Brzegi aż niebieskie były od kwiatków, żabich oczek, a na wodzie pływały wielkie, ciemno-zielone liście.

Na liściach tych siadały blado-niebieskie lub zielone jętki, czasem motyle, niekiedy duże, czarne żuki wodne. Słońce oświecało wspaniałe ten ruchliwy, pełen życia, wrzawy, a czasem spokoju i ciszy obraz. Szmer puszczy, rozhowor tajemnicy buków i olch starych dochodził aż tutaj. Na przeciwnym brzegu wznosiły się piasczyste, stromo pościnane wzgórza, a na nich rosły olbrzymie sosny i świerki, których aromat żywiczny, wiatr przynosił aż tutaj i mieszał z wilgotnemi, ciężkiemi wyziewami bagien i jeziora.

Gdy podróżni nasi stanęli na brzegu, zaraz wyrwało im się z pod nóg parę kurek. Zabój zwinny i zręczny w jednej chwili naciągnął łuk i ze świstem wypuściuł strzałę. Kurka ugodzona, zrobiła kilka koziołków w powietrzu i spadła w trzcinę na jeziorze. Już Zabój zdejmował kożuch, żeby się za nią rzucić do wody, gdy nagle uczuł na ramieniu ciężką rękę Liska. Odwrócił się żwawo i ujrzał Liska z natężoną uwagą nadsłuchującego. Teraz i on usłyszał jakieś wrzaski dalekie, coraz bardziej zbliżające się i wkrótce na przeciwnym brzegu ujrzeli gromadę ludzi pieszych i konnych, uzbrojonych i krzyczących czegoś głośno. Zdawało się, że spostrzegli naszych podróżnych, gdyż potrząsając mieczami i włóczniami, rozdzielili się na dwie części i poczęli okrążać jezioro z dwóch stron.

— W wodę!—krzyknął Lisek i rzucił się między trzcinę z szybkością myśli. Za nim pobiegł

Zabój. Przez jakiś czas Lisek biegł między gęstą trzciną, przedzierając się przez nią z trudnością, gdyż była stara i gruba, płosząc mnóstwo ptastwa, które z krzykiem zrywało się w górę. Zabój posuwał się za Liskiem, ale myślał sobie, że się ukryć nie zdołają, bo połamana trzcina i spłoszone ptactwo zdradzić ich musi. Lisek jednak nie zważał na to, tylko przedzierał się ciągle dalej, aż w końcu dostał się do brzegu trzciny, to jest do miejsca, gdzie zaczynała się już czysta i niezarośnięta woda. Tu zatrzymał się, obejrzał dokoła, dobył swego krótkiego miecza, starannie wybrał dwie grube trzciny, uciął je jak mógł najniżej, wierzchołek ułamał i dając jednę Zabojowi rzekł:

— Wsadź tę trzcinę pod wodę i daj nurka i idź za mną.

Schylili się obadwaj i schowani pod wodą puścili się naprzód.

Dno było grzęzkie i bagniste i wkrótce tak głębokie, że musieli płynąć, starając się jak najmniej i najlżej poruszać wodę. Spotykali ryby, wielkie szczupaki, olbrzymie stare karpie, które zdumione niewidzianemi gośćmi w popłochu przed nimi uciekały. Liny wyślizgiwały im się z pod nóg i błota. Mnóstwo płotek, okoni i karasków, błyszczących srebrną łuską pod słońce rozbiegały się w różne strony. Wielkie pająki wodne, unoszące się na powierzchni na swych długich nogach z szybkością strzały uciekały. Wiele za-

ginionych już dziś gatunków ryb, w pancerzach twardych i o kolczastych grzbietach z przerażeniem spoglądało na ludzi, przemykających się pod wodą.

W ten sposób dostali się Lisek i Zabój do przeciwległego brzegu trzciny i tu się zatrzymali. Zaszywszy się trochę w gąszcz sitowia, wystawili głowy na powierzchnię wody. Ztąd mogli widzieć jak ścigający ich, obiegłszy dokoła jezioro, zatrzymali się na tem samem miejscu z którego nasi podróżni przed chwilą rzucili się do wody. Zbóje oglądali się dokoła a wielu wskazywało rękami na jezioro, na połamaną trzcinę.

— Będą nas szukali na jeziorze—szepnął Lisek,—gdyby zabardzo do nas się zbliżyli. wsadź trzcinę w usta i zanurz się. Bądź spokojny nie udusisz się. Przez trzcinę będziesz mógł oddychać choćby do wieczora. Mnie to nie pierwszy raz się przytrafia. Ale sza! kilku zbójów rzuca się do wody. Pamiętaj com ci powiedział. Gdyby który z nich dał nurka i spostrzegł nas, za łeb go i utopić.

VI.

Pod wodą.

Jeszcze nie było potrzeby zanurzać się. Dobrze ukryci w trzcinie Lisek i Zabój czekali rezultatu poszukiwań, jakie właśnie zbóje rozpoczęli. Pięciu z nich rozebrało się do naga i z maczugami w rękach puścili się na jezioro tą samą drogą, którą nasi podróżni szli, co dowodziło, że ślad był bardzo widoczny. Wkrótce ukazali się oni na środku niezarośniętym jeziora i zatrzymali się oglądając dokoła. Nic jednak nigdzie nie było widać, tylko kurki wodne, spłoszone, gromadą unosiły się nad jeziorem, krzycząc przeraźliwie. Zabój i Lisek trzymając tylko głowę nad wodą widzieli doskonale zbójów, pięciu olbrzymich, zarośniętych, dzikich i strasznych chłopów.

Zatrzymali się oni i poczęli naradzać, poczem rozdzielili się w różne strony jeziora za poszu-

kiwaniem zbiegłych. Dwóch popłynęło w kierunku naszych znajomych.

— Teraz czas,—szepnął Lisek,— zanurz się i przycupnij na samem dnie.

Zrobili tak i Zabój zaraz przekonał się, że istotnie przy pomocy trzciny oddychać można, choć było to trochę trudnem i obchodzić się trzeba było małą ilością powietrza. Usiadł na miękkim grząskim mule i patrzał przed siebie. Słońce oświecało jezioro i całe życie podwodne widać było jak na dłoni. Nic w tem oświetleniu przed okiem siedzącego na dnie ukryć się nie mogło. Widzieli prawie każdą rybę przepływającą, każdą odnogę zerwanych korzeni roślin wodnych. Przedewszystkiem atoli baczną zwracali uwagę na płynących środkiem jeziora zbójów. Ci kierowali się wprost ku nim. Widać było na dnie wielkie, jakie swem ciałem rzucali, cienie. Cienie te ruchliwe poruszały się z ogromną szybkością ku nim. Widzieli jak przepłynęli nad nimi, jak jeden nawet potrącił sobą trzcinę trzymaną w ustach przez Liska. Zbóje ruszyli się trochę w szuwary, a widząc je nietknięte zawrócili i znów wypłynęli na środek jeziora. Zabój cieszył się już w myśli, że kierunek poszukiwań gdzie indziej będzie zwrócony, że to nakoniec pozwoli mu wystawić choć na chwilę głowę z wody i odetchnąć trochę lepiej. Oddychał on przez trzcinę, to prawda, ale ciężko i czuł, że długo tak nie wytrzyma.

Omylił się jednak myśląc, że zbóje w tej stronie zaniechają poszukiwań. Jeżeli Lisek znał sposób ukrywania się przez dłuższy czas pod wodą, znali go i zbóje, gdyż był to środek praktykowany od wieków w całej Słowiańszczyznie, nie bardzo lubiącej wojować i ukrywającej się chętnie w borach i wodach w razie napadu nieprzyjaciół. Jakoż zbóje zawróciwszy na środek jeziora zatrzymali się tam i cicho między sobą naradzać się poczęli. Rezultatem tej narady było to, że obaj zanurzyli się w wodę i stanęli na dnie, oglądając się dokoła. Nie mogli jednak spostrzedz naszych podróżnych, którzy siedzieli w cieniu, jaki rzucała trzcina gęsto rosnąca. Zresztą długo pod wodą w ten sposób wytrzymać nie było podobna jakoż wypłynęli zaraz na wierzch.

Ale teraz, naradziwszy się znowu ze sobą chwycili się innego, lepszego sposobu. Kilku szybkiemi ruchami skierowali się ku trzcinie prawie w to miejsce gdzie Zabój i Lisek byli ukryci. Widzieli oni, jak też nad nimi zatrzymały się dwa olbrzymie cienie i z biciem serca oczekiwali, co z tego będzie. Zabój był prawie pewny, że zbóje ich dostrzegli i gotował się już do obrony. Odpiął od pasa miecz swój długi i trzymał go w ręku, widząc że Lisek puginał znaleziony w lesie, dzierżył w garści z postawą gotową do odporu.

Tymczasem zbóje kręcili się tu i owdzie probując pojedynczych trzcin, widocznie w zamiarze

zużytkowania ich w ten sam sposób jak nasi znajomi. Na nieszczęście trzcina trzymana w ustach przez Liska bardzo im się spodobała, i poczęli nią poruszać tak silnie, że Szlązak musiał oburącz ją przytrzymać, by mu jej nie wydarli. Nie na wiele to jednak się przydało, gdyż w tejże chwili jeden ze zbójów dał nurka, trzymając nóż w ręku, widocznie chcąc trzcinę uciąć przy korzeniu, gdzie była grubsza a zatem snadniejsza do oddychania. Nim Lisek mógł się spostrzedz, ujrzał tuż przed sobą olbrzymią kudłatą głowę i dwoje strasznych oczów wlepionych w niego z wyrazem zdziwienia i przerażenia. Zbój zupełnie zgłupiał. Spuścił na dno i stanął, jakby skamieniały, nie wiedząc co robić.

Lisek jednak nie stracił przytomności. W oka mgnieniu jak tygrys rzucił się na zbója, chwycił go jedną ręką za ów łeb kędzierzawy, a drugą wepchnął mu puginał po samą rękojeść w piersi. Zbój rozpaczliwie rzucił kilkakrotnie rękami i padł na błotniste dno jeziora, czerwieniąc wodę dokoła krwią, która mu buchała z piersi strumieniem.

Teraz i Zabój postanowił coś zrobić, zwłaszcza, że nieprzyzwyczajony i wzruszony widokiem strasznej walki, dusił się i czuł koniecznie potrzebę odetchnięcia powietrzem. Z przytomnością i zręcznością właściwą ludziom tych czasów, gdy wszystko polegało na osobistem męztwie i determinacyi, widząc nad sobą pływającego ciągle dru-

giego zbója, pchnął się do góry. Zbój schwycony za nogę, wciągnięty został pod wodę i tu jednem pchnięciem wielkiego miecza zamordowany. Woda tak się krwią zaczerwieniła, że kiedy Zabój potem wypłynął na wierzch i z uczuciem niewypowiedzianej ulgi odetchnął głęboko, to w okół niego woda wszędzie była czerwona.

Wkrótce na powierzchni ukazała się i głowa Liska. Zaczerpnąwszy pełną piersią powietrza uśmiechnął się szydersko i szepnął:

— No, tośmy ich sprzątnęli, cicho, sprawnie aż miło. Ale teraz trzeba koniecznie trupy wepchnąć między trzcinę, żeby nie wypłynęły na wierzch i żeby tutaj wody posoką nie farbowały. Odpoczęliśmy sobie trochę i dalej pod wodę.

To mówiąc zanurzył się a za nim Zabój. Trupy obu zbójów leżały nieruchome na dnie jeziora, a krew ciągle z nich płynęła i nim zmieszała się z wodą, tworzyła długie purpurowe pasy. W jednej chwili załatwili się z trupami. Wepchnęli je między trzcinę i szuwary tak mocno, że uwięzły tam na długo zapewne, poczem znowu wypłynęli na wierzch.

— Będą miały ryby co jeść—mruknął Lisek oddychając i oglądając się dokoła.

Na brzegu byli wciąż zbóje, pozsiadali tylko z koni i pokładli się na trawie, gadając głośno i śmiejąc się jeszcze głośniej. Po jeziorze trzej pozostali robili jeszcze poszukiwania, starannie przeglądając trzcinę.

Lisek widząc to, rzekł do Zaboja:

— Masz ty swoją trzcinę?

— Mam!

— Trzymaj ją dobrze, bo to jedyny nasz ratunek. Odpocznij sobie dobrze, bo niedługo znów trzeba będzie pójść pod wodę. Musimy tak doczekać do wieczora, jeśli nic nie zajdzie takiego, coby nas oswobodzić mogło.

— A po cóż my pójdziemy pod wodę. Przecie tu już szukać nie będą.

— W tej chwili szukać nie będą to prawda, ale nie znalazłszy nas gdzieindziej i nie widząc powracających swych towarzyszy, przypłyną tu wszyscy, a dziesięciu nie damy tak łacno rady jak dwom. Prawda?

— Ano, chyba prawda.

— A przytem widzisz jak posoka się rozchodzi? Te obwiesie mają w sobie tyle krwi jak wieprze nieprzymierzając. Otóż ta posoka wypłynie zaraz na środek, bo wiatr tam falę pędzi. Spostrzegą to i domyślą się wszystkiego, a wtedy jeśli tu zostaniemy, będzie z nami krucho.

Mówił to wszystko Lisek spokojnie, cicho, uśmiechając się zdradliwie i bystro swemi oczami patrząc dokoła. Ale Zabój przeraził się jego słowami. Chłopakowi nie chciało się umierać z ręki zbójeckiej i nie uśmiechała mu się wcale walka pod wodą, gdzie jedno pchnięcie, jedno zadraśnięcie jest już śmiercią.

— Cóż więc zrobimy Lisku kochany,—pytał mocno zaniepokojony.

— A cóż, damy nurka i trzymając trzciny w garści jak pierwszą razą, popłyniemy pod wodą do innego miejsca. Tam nas szukać tak odrazu nie będą, a też noc zapadnie, bo słońce już jest nizko, a w nocy łacno nam będzie się wymknąć.

Tymczasem zbóje naszukawszy się po całem jeziorku naszych podróżnych, nanurzawszy się do syta, wychodzili na brzeg jeden po drugim. Gdy już wszyscy sie zeszli, oprócz oczywiście tych którzy już nigdy na brzeg wyjść nie mogli, bo leżeli martwi w trzcinie, Lisek szepnął.

— No, Zaboju czas już pod wodę. Ślepie dobrze wytrzeszczaj i czyń to co ja będę czynił.

W tejże chwili na brzegu rozległy się krzyki. Zabój spojrzał i widzi jak zbóje pokazują rękami na to miejsce gdzie oni byli. Krew bowiem wypłynęła już na środek czystej wody jeziora, wielką ciemno-czerwoną plamą. Widocznie spostrzegli ją z brzegu i domyślili się jaki los spotkał ich towarzyszy. Teraz wśród przekleństw i krzyków straszliwych, prawie wszyscy rzucili się do jeziora, zostawiwszy zaledwie paru przy koniach.

— Czas pod wodę Zaboju,—mruknął Lisek i lekko się zanurzył.

Zabój to samo uczynił i popłynął pod wodą za przewodniczącym mu Liskiem. Ten posunął

się znaczną przestrzeń brzegiem trzciny i uszedłszy trochę między nią, zatrzymał się i pchnął się na wierzch. Obaj wytknęli głowy nad wodę, zakryci szuwarami i spojrzeli do koła. W tem miejscu trzcina tworzyła zaokrąglenie i doskonale było widać ztąd, co się dzieje tam gdzie dwaj zbóje życiem przypłacili swe poszukiwanie.

Siedmiu coś zbójów przypłynęło tam i wszyscy prawie zanurzyli się pod wodę, wydostając się co chwila na powierzchnię, żeby zaczerpnąć powietrza i znuwu spuszczając się na dół. Wkrótce znaleźli widać trupów, bo z krzykiem i strasznemi przekleństwami ukazali się na powierzchni jeziora. Jakoż tak było. Unosząc dwa, krwawiące się jeszcze trupy swych towarzyszy, trzech popłynęło do brzegu, reszta zaś prowadziła dalej poszukiwania naszych podróżnych. Nacięli oni trzciny i z temi trzcinami w ustach pozanurzali się w wodę. Widać ich było jak chodzili między szuwarami, bo ponad wodą ruszały się owe trzciny jakby były żywe. Szczęściem że zrazu poszukiwania swoje ograniczyli na nie wielkiej przestrzeni, ale powoli poczęli coraz dalej się rozchodzić.

Zabój widział to wszystko i z niepokojem patrzał na Liska, który nic nie widział, jeno co chwila spoglądał na niebo. Słońce zachodziło powoli i promienie jego ukośnie już tylko padały ponad drzewami okalającej jezioro puszczy. Wkró-

ce schowało się za drzewa, i mrok zapadać począł, a przytem z jeziora podnosić się poczęła mgła biała, która tak szybko gęstniała, że wkrótce na trzy kroki nic widać przed sobą nie było. Jakoż zbójców Lisek oraz Zabój dostrzedz już nie mogli, jeno od czasu do czasu słyszeli ich krzyki i pluskanie się w wodzie. Jeżeli na wierzchu nic dojrzeć nie można było, to tembardziej pod wodą, gdzie zaległa czarna, nieprzenikniona ciemność. To też zbójcy dali widać pokój poszukiwaniu, bo wkrótce słychać było ich głosy z daleka, jakby z brzegu.

— Jesteśmy ocaleni,—mruknął Lisek—teraz na brzeg jeno ostrożnie i cicho.

Zaraz się puścił przez szuwary, lekko odsuwając ją, lub tnąc puginałem. Trzask łamanej trzciny zagłuszał rechot żab i krzyk zwołujących się na noc żórawi. W lesie też słyszeć było ryk dzikiego zwierza, i żubrów, które zbiegały się do jeziora by napoić się wodą. Dzięki temu Zabój i Lisek przedostali się szczęśliwie na brzeg jeziora.

VII.

Napad na pasiekę

Czas już był wielki, bo Zabój przebywszy parę godzin w wodzie, nieprzyzwyczajony do tego, zmęczony ogromnie dygotał z zimna i dzwonił zębami głośno. Kożuch mu zupełnie przemókł i przy chłodzie wieczornym, przy mgłach niezdrowych wznoszących się z jeziora, było mu bardzo zimno.

— To nic,—mówił Lisek,—rozgrzejesz się jak będziemy szli. Mamy przed sobą kawał jeszcze drogi.

— A dokądże my będziemy szli? Nie lepiejże to tu gdzie zaszyć się w krzaki i odpocząć choć trochę—ja ledwie idę.

— Gdybyś ty Zaboju rozumiał niebezpieczeństwo jakie nam grozi, tobyś tak nie gadał. Musimy iść i jak najdalej odsunąć się od jeziorka. Tu w puszczy, ot tam ku wschodowi słońca, mie-

szka pasiecznik Sławko, mój stryjec i człek dobry. Gdy do jego pasieki dojdziemy, będziemy mogli spać i odpoczywać bezpiecznie. A teraz w drogę!

Nic na to Zabój nie odrzekł, bo cóż miał odrzec i mrucząc powlókł się za swym towarzyszem, kuląc się w mokrym kożuchu i dzwoniąc zębami. Z jeziorka wyszli na brzeg przeciwny temu, na który przybyli, okrążyli piaszczyste wzgórza i znaleźli się w puszczy. Lisek przez chwilę stanąwszy na wzgórzu nadsłuchiwał, czy jakie głosy do niego nie dojdą, ale nic—otaczała ich poważna cisza. Mgły wydobywające się z jeziora powoli p^częły się rozwłóczyć po puszczy i wieszać między drzewami jak płachty szare. Fale jeziora z lekkim pluskiem uderzały o brzeg.

Lisek mruknął pod nosem:

— Nie podoba mi się to milczenie zbójów. Knują coś zdradliwego, to widoczne.

To rzekłszy zawrócił i starannie pozacierał ślady nóg swoich i Zaboja widniejące na piasku, a na wzgórze sam wrócił tyłem. Uczyniwszy to, jeszcze przez chwilę słuchał, potem położył się i przyłożywszy ucho do ziemi bacznie słuchał, ale widać że i ten sposób nic mu nie powiedział, bo wstał i rzekł:

— Dalej w drogę!

I niezważając wcale na Zaboja ruszył żwawym krokiem naprzód. Szedł ze spuszczoną głową, opierając się na maczudze, którą potrafił za-

chować, nie oglądając się i nic nie mówiąc. Od czasu do czasu tylko stawał i obmacywał rękami drzewa, widocznie dla przekonania się kędy jest północ. W lesie było bardzo ciemno, a wysokie korony drzew zasłaniały niebo, pokryte zresztą chmurami. Lisek nie był zrażony ani ciemnościami panującemi w puszczy, ani brakiem wszelkiej drogi, jeno szedł swym posuwistym, pewnym krokiem. Zwinność tych ruchów rozgrzała Zaboja, który żeby się nie zgubić i nie stracić Liska z oczów, musiał tuż za nim postępować i deptać mu prawie po piętach. W puszczy wreszcie było cieplej jak nad jeziorem. Drzewa rozgrzane całodziennem słońcem, powietrze nieporuszane przez najmniejszy wietrzyk, było parne nawet.

Po puszczy, w jej czarnych głębiach, nierozjaśnionych żadnem światłem, rozlegały się ryki dzikiego zwierza i hukanie puszczyka. Zabój, mniej obeznany z życiem puszczy, gdyż zawsze służył w zbrojnej drużynie Kraka, niekiedy drżał ze strachu, gdy usłyszał gdzieś w pobliżu ponury ryk niedźwiedzia lub żubra, wycie wilka lub rysia. Lisek jednak nie zważał na to, tylko szedł ciągle. Jeżeli natrafili na gąszcz drobnych krzaków, to puszczał Zaboja przodem, a sam w tyle każdą zdeptaną lub złamaną gałęź podnosił i prostował.

— Dla czego to czynicie Lisku?—pytał Zabój.

— Bo jestem pewny, że o świcie zbóje puszczą się za nami w pogoń i jeśli ślad znajdą,

łatwo nas dogonią. Oni mają konie a my na piechotę idziemy. Byle jeno dostać się do Sławka!

— Albo to u Sławka wziąść nas nie mogą?

— Nie bój się nie wezmą. Chata Sławkowa to gródek, nie gorszy od Krakowego na Wawelu, zbudowany z kloców drzew, częstokołem obwiedziony. A przytem Sławko ma pięciu parobków, on szósty, nas dwóch — nie damy się wziąść dziesięciu zbójom.

Jakoż nad samem świtaniem, zmęczeni ogromnie, usłyszeli naszczekiwanie psów.

— Gródek Sławka już nie daleki,—odetchnął Lisek.

Zabój radośnie przyjął tę wiadomość, bo ledwie już nogi wlókł, tak był zmęczony. Nad świtem zerwał się chłodny wiatr i szumiał po puszczy. Wiatr ten zdawał się przynosić Liskowi jakieś głosy, bo zatrzymał się, przyłożył ucho do ziemi i wstając coś niespokojnie kiwał głową. Ale dzień się już robił. Słabe, białe, niepewne brzaski, od wschodu, przedzierały się przez stare lipy, buki i modrzew, gęsto tu rosnący. Szczekanie psów słychać było coraz bliżej i coraz głośniej, nakoniec z poza zasłony krzaków, podróżni nasi ujrzeli na usypisku gęstą ścianę z częstokołów i strzechy kilku chat za nią. Zewnątrz częstokołu stało mnóstwo uli, otoczonych olbrzymiemi lipami. Na jednej ze strzech bocian usłał sobie gniazdo i słychać było jego klekot. Psy ujadały zaciekle.

Kiedy Zabój i Lisek zbliżyli się do częstokołu, wyjrzała z zaniego rozczuchrana jakaś głowa, pełna słomy we włosach i głos gruby odezwał się:

— A kto tam?

— Swój, o gościnę prosim,—odrzekł Lisek.

Przez jakiś czas rozczochrany ów chłop przypatrywał się pilnie podróżnym, a potem pokazując się zupełnie z za częstokołu z oszczepem w garści, huknął:

— A wy zkąd idzieta?

— Mój bracie,—odrzekł na to Lisek,—ty się o to nie pytaj, jeno idź do Sławka i powiedz mu o nas. Jam jest Lisek stryjec Sławka:

— A! to wy Lisek, czumuż nie gadata? Nie poznaliście to mnie czyco? Jam jest Miłosz.

— Witaj Miłoszu—zawołał Lisek, ale otwórz bramę i puść nas, bo nam pilno.

— Tego uczynić nie mogę bez Sławka. Pójdę do nich i zapytam. A jakże się zowie ten parobek co z wami przyszedł Lisku?

— Zabój.

— Idę do Sławka,—i mrucząc coś Miłosz, chłop ogromnego wzrostu, zlazł powoli z częstokołu i poszedł krzycząc:

— A precz Burek, leżeć kundel!

Czekając na jego powrót Lisek, położył się na murawie tuż przy bramie i prawił:

— Głodnym jak pies i oczy mi się kleją. U Sławka najemy się i wyśpiemy bezpiecznie do syta.

Właśnie nadszedł sam Sławek, mąż wielkiego wzrostu, ale zgarbiony od starości, z dużą siwą brodą, w płóciennej koszuli, rzemieniem przepasanej i obaczywszy Liska, kazał go zaraz puścić do środka wraz z Zabojem. Było to duże obejście, otoczone dokoła częstokołem. Były tam trzy chaty, słomą kryte, z belek zbudowane i mchem przetykane. Pod szopą był bróg z sianem świeżo widocznie skoszonem, a koło brogu stały cztery krowy i owiec kilka. Dwa wielkie psy wiązał właśnie Miłosz, a one warczały i ujadały na przybyłych. Kiedy tych wprowadzono do środka zaraz bramę zamknięto i zasunięto na wielkie zasuwy z belek.

A co tu u was słychać kmieciu Sławku,—rzekł Lisek oglądając się,—jak czasu wojny.

— A tak. Zbójca Szydło włóczy się po puszczy i wczoraj słyszę za jeziorkiem ubił jakiegoś kupca co z towarami jechał. A choć ja go się to nie boję, ale ostrożność nie zawadzi.

— Dobrze mówicie kmieciu, — odrzekł na to Lisek,—bo my oto z tym parobkiem ledwieśmy im się wymknęli. Ja wam to opowiem.

Chodźmy do świetlicy. Jeść wam się zapewne chce, co? Czem chata bogata tem rada. Jest placek, mleko, ser, jaja, miód.

— O! żeśmy głodni to głodni! Od wczoraj niceśmy w gębie nie mieli. I spać nam się chce.

— Podjadłszy sobie, pójdziecie spać oto na bróg. Świeże siano aż miło jak pachnie. A po-

tem Lisku opowiedz mi o tych łotrzykach co po puszczy się włóczą i spokoju ludziom nie dają.

Zaprowadził ich do chaty, kędy na polepie, na środku gorzał ogień i parę niewiast się koło niego kręciło. Jedna w dzieży ciasto miesiła a druga mleko grzała przy ogniu, Dym przez otwór w strzesze i przez drzwi leniwo wyłazil na zewnątrz. Zaraz przed gośćmi zastawiono co było w chacie, i kiedy ci sobie podjedli dobrze, Sławek powiódł ich na bróg. Słońce już weszło i ciepło było na dworze. Z puszczy wiatr przyniósł świeże powietrze i woń żywicy, śpiew ptasząt. Bocian stojąc na gnieździe na jednej nodze klekotał ciągle. Parobcy Stawka kręcili się i oprzątali obejście, a koguty po płotach trzepocząc w lśniące skrzydła piały radośnie. Zabój i Lisek wdrapali się na bróg i w słodkiem uczuciu bezpieczeństwa ułożyli się na sianie.

— No wyśpij się dobrze Zaboju, bo potem w drogę trzeba iść. Nikt nam tu nie przeszkodzi i spać możemy lepiej i pewniej jak w Krakowym grodzie.

Nie bardzo się z tem zgadzał Zabój, bo choć grodek Sławki był mocny, ale przecież daleko mu było do Krakowego na Wawelu, Ale nie chciało mu się gadać. Oczy mu się kleiły i sen go morzył. Jakoż wkrótce na miękkiem i wonnem sianie usnął snem kamienuym.

Jak długo spał nie wiedział. Obudził go jakiś hałas i wrzawa. Otworzył oczy, ale olśnio-

ny promieniami słońca, które już wysoko się wzbiło i padało nań prosto, przymknął je znowu. Do uszu dochodziły mu jakieś urywane słowa i krzyki. Nie zrozumiał ich jednak dobrze, na pół jeszcze spał. Muchy siadały mu na spoconej twarzy i cięły go nielitościwie. Chciał się przewrócić na drugi bok i ukryć się w cieniu, jaki rzucała belka brogu, gdy wzmagająca się wrzawa i krzyki, zmusiła go do powtórnego otworzenia oczów. Podniósł nieco głowę i widzi, że Lisek leży na sianie a w ręku łuk dzierży i napina go mocno.

— Co to Lisku? spytał.

— Cicho! schowaj głowę bo ci ją przestrzelą odrzekł Lisek trzymając wciąż rękę na cięciwie.

Tedy Zabój spojrzał dokoła. Ze szczytu brogu doskonale widać było cały gródek Sławkowy i otaczającą go dokoła puszczę. Przed częstokołem tedy stało kilkunastu zbrojnych ludzi i wszyscy na koniach, w wielkich czapkach bobrowych, do których poprzypinane mieli ogony końskie albo czaple pióra. Wszystko to było brodate i okrutne z wejrzenia, dzierżąc łuki w rękach, maczugi, topory i miecze żelazne.

Za częstokołem zaś otoczony swą czeladzią stał Sławek, także zbrojny i rozmawiał z onymi jeźdźcami.

— Więc nie wydasz Sławku tych dwóch obwiesiów?—pytał jeden z jeźdzców ubrany w czerwony żupan i widać wojewoda innych.

— Nie, nie wydam!

VII.



Strzała zagłębiła się w oku wojewody.

— Bodaj ciebie pioruny ubili stary wilku!—zaklął wojewoda zbójecki i w tejże chwili ze zręcznością i zwinnością wielką naciągnął łuk i wystrzelił. Szczęściem że koń jego trochę rzucił łbem i strzała utkwiła tylko w kołpaku Sławka.

W odpowiedź na to, Lisek puścił cięciwę i strzała ze świstem przeleciała dziedziniec, częstokół i zagłębiła się w oku wojewody. Rzucił on rozpaczliwie rękami, koń się jego spiął na obie zadnie nogi i jeździec z jękiem runął na ziemię.

VIII.

Walka.

Zbójcy ujrzawszy swego wodza ugodzonego śmiertelnie i spadającego z konia, zaryczeli jak stado dzikich zwierząt. Wśród strasznych przekleństw, w jednej chwili zeskoczyli z koni, i z maczugami lub toporami w rękach rzucili się ku bramie. Nim się Sławek ze swymi ludźmi mógł opatrzeć już dudniały po bramie ciężkie uderzenia. podobne do huku gromu, rozlegając się po puszczy, powtarzane po rannej rosie tysiącznem echem po puszczy. Kto żył rzucił się ku częstokołowi na obronę i Lisek chwyciwszy w jednę rękę swój krótki oszczep, w drugą puginał znaleziony w lesie, zsunął się z brogu i potrząsając bronią, z okrzykiem biegł ku bramie.

Zabój nie rozumiał tego wszystkiego co to znaczy. Jeszcze się zupełnie z mocnego snu nie ocknął i zdawało mu się, że śni. Przetarł oczy kułakiem raz, przetarł drugi raz i przekonał się

nakoniec, że to na co patrzy, nie jest wcale snem ale ciężką i krwawą rzeczywistością. Jeżeli zbóje wywalą bramę, pomyślał, zginęliśmy i chciał już za przykładem Liska zsunąć się z brogu i pobiedz na pomoc Sławkowi i jego ludziom, gdy rozpatrując się bacznie w położeniu, powziął przekonanie, że na tem miejscu może być pożyteczniejszym, jak gdzieindziej. Bróg znajdował się w samym rogu obejścia Sławkowego, tuż przy częstokole, którzy w tem miejscu odpowiednio do kształtów usypiska zaginał się, tak żo Zabój doskonale widział zbójców z boku. Obrońcy nie wiele mogli szkodzić napastnikom, ukrytym pod deskami bramy i z wielką trudnością mogli ich razić. Tu zaś gdzie znajdował się Zabój, rabusie byli jak na dłoni, niczem nie zasłonięci.

Postanowił więc nie opuszczać brogu, chyba w ostateczności. Ułożył się wygodnie na sianie ukryty za jednym ze słupów utrzymujących dach brogu, wziął swój wyborny łuk i z ręką na cięcinie począł między napastnikami szukać swej ofiary. Spostrzegł, że jeden z nich miał w ręku olbrzymi żelazny, niemiecki topór, i ten oczywiście był najniebezpieczniejszy. Był to przytem chłop ogromnego wzrostu i olbrzymiej zapewne siły. Pod jego uderzeniami brama jęczała jak żywa i drzazgi z niej leciały. Gdyby ten zbój dłużej w ten sposób rąbał bramę, ta by wkrótce z pewnością uległa.

Zabój więc nie wiele myśląc, naciągnął łuk, wymierzył dobrze i puścił strzałę. Ze zgrzytem i świstem przeszyła one powietrze i.... utkwiła po same pióra w boku owego zbója uzbrojonego w żelazny topór. Zachwiał się, potoczył i chwytając się za bok, oparł plecami o częstokół. Topór wypadł mu z ręki i stał tak oddychając ciężko. Kilku zbójów przyskoczyło do niego, pytając go się o coś, widocznie głęboko przerażeni i oglądając się na bróg, z którego strzała wypadła. Ale ztamtąd już druga strzała świsnęła i uderzyła innego zbója w szyję, tak że mu ją na wylot przeszyła. Ten padł odrazu wyrzucając ustami potok spiekłej, czarnej krwi. Kiedy nakoniec trzeci legł od strzał Zaboja, kiedy z częstokołu i z daszku bramy obrońcy poczęli lać gorącą wodę, z krzykiem, i przekleństwami i odgrażaniem się pięściami uciekli z pod gródka i zatrzymali się dopiero w takiej odległości, gdzie ich strzały dosięgnąć nie mogły. Stracili w pierwszym tym napadzie czterech towarzyszy, dwóch mieli rannych, wszyscy prawie byli poparzeni. Skupili się na skraju puszczy i poczęli się widocznie naradzać co dalej czynić, bo wymachiwali rękami, krzyczeli, potrząsali pięściami w bezsilnej wściekłości w kierunku gródka.

Obrońcy winszowali sobie zwycięztwa. Rannego zbója i ciągle opartego o częstokół wciągnęli do wnętrza, ale zbój ten już ledwie dyszał i wkrótce umarł, gdy mu strzałę wyrwano. Młodzi pa-

robcy pobiegli do Zaboja wciąż leżącego na brogu i pilnie przypatrującego się zbójom, i krzyczeli, że wart być wojewodą, bo on właściwie ocalił gródek. Zabój zaś mówił, żeby do niego jeszcze który przyszedł, to we dwóch łatwiej im będzie szpikować zbójów strzałami, gdyby im się zachciało jeszcze raz uderzyć na gródek. Wszyscy byli przekonani zresztą, że rabusie dostawszy dobrą nauczkę, więcej nie będą próbowali brania gródka mocą, jeden tylko Sławko nic nie mówił, ale stanąwszy za częstokołem pilnie patrzał na ruchy zbójów.

— Cóż się Sławku niepokoicie?—pytał Lisek, choćby nawet raz jeszcze uderzyli, toć ich tylko sześciu, a nas ośmiu i jesteśmy w gródku. Niebezpieczeństwa nie ma. Ale oni nie tacy głupi, żeby nas chcieli mocą brać.

— Hm! hm! hm!—mruknął Sławek a miał zwyczaj chrząkać tak jak był czem bardzo zajęty,— hm! hm! hm! ja się też o to Lisku nie boję, żeby oni mnie mieli mocą brać i tegobym tylko pragnął. Ale oni mocą nie będą mię brali, jeno zdradą jaką i tem się gryzę, bo nie wiem co im do łba przyjdzie. A przytem wiedz o tem, boć ja znam Szydła któregoś tak gracko ubił, i wiem wielu on ma ludzi. Do niedawna miał ich dwudziestu, a może zebrać drugie tyle, boć po puszczy mnóstwo włóczy się próżniaków, nie szukając dalej, choćby ten Dobromir co na wodzie mieszka, o dzień drogi ztąd, za gontyną...

— To i on się wącha ze zbójami?—spytał Lisek zdziwiony.

— A tak. Gościniec, którym kupcy jadą z Niemiec do Kijowa i do Carogrodu i dalej jeszcze na koniec świata, tamtędy, koło jego nawodniska idzie. Napada na nich i rabuje. Otóż widzisz nic łatwiejszego, jak żeby sobie sprowadzili trzy razy tylu łotrzyków ilu ich jest teraz. Mają konie, wyślą jednego i na noc sprowadzą taką kupę, że się nie obronimy. W dzień napadu się nie boję, jeno zdrady jakiej, w nocy zasie wszystkiego się boję...

I chrząkał niespokojnie i patrzał na zbójów, którzy ciągle stali w kupie na skraju lasu i naradzali się pilnie. Potem rozłożyli wielkie ognisko i zdawali się osiedlać tu na długo. Sławko myślał, że wysłali jednego po posiłki, ale obliczywszy ich, postrzegł że są wszyscy. Tedy nie wiedział co to znaczy i gryzł się tem bardzo. Wkrótce jednak dowiedział się na swą wielką szkodę o zamiarach zbójów.

Kiedy się bowiem rozpaliło dobrze ognisko, zbójcy wiązali koło strzał pęki suchej trawy, zapalali ją i rozrzuciwszy się przed częstokołem, strzały owe ogniste puszczać poczęli na częstokół i strzechy słomiane. Strzechy przez upały trwające od niejakiego czasu, były mocno wysuszone i choć ta i owa strzała zgasła, inna padła nie zrządziwszy żadnej szkody, przecież dwie czy trzy utkwiły w strzesze i odrazu ją zapaliły.

Wrzawa się ogromna zrobiła między ludźmi i kobietami Sławkowemi. Poczęto gasić ogień, ale nie na wiele się to przydało, gdyż ogniste strzały coraz gęściej szły, i przyduszony w jednem miejscu pożar, w drugiem zaraz wybuchał. Zabój wprawdzie z drugim parobkiem pilnie upatrywali zbójców i byle się który pokazał, lub nieostrożnie odsłonił, temu zaraz posłali strzałę, tak że dwóch jeszcze ubili, co zrobiwszy zeszli ze stogu i pobiegli do Sławka rwącego włosy z rozpaczy, by gaszenie ognia zostawił kobietom i dwom ludziom, ażeby zresztą parobków wypadł i wstępnym bojem pomordował zbójów, których jest już tylko czterech. Sławko nie chciał tego zrazu słuchać, tak mu szło o ratunek swej chudoby, ale za radą Liska zgodził się na to. Został więc sam, jeszcze z jednym parobkiem w gródku przy ogniu, a Lisek, sprawiwszy pięciu pozostałych, otworzył bramę i wypadł na pole. Wszyscy rzucili łuki i kołczany, tylko uzbrojeni byli w lekkie tarcze drewniane skórą powleczone, w maczugi i oszczepy; topory kamienne i miecze.

Otworzywszy bramę wypadli z krzykiem i puścili się zaraz pędem, potrząsając swoją bronią. Zbójcy nie spodziewając się tej nagłej wycieczki, leżeli ukryci za krzakami i drzewami, bawiąc się ciągle puszczaniem swych ognistych strzał. Spostrzegłszy atoli pięciu zbrojnych ludzi, pędzących jak wicher na nich, zerwali się na równe nogi i przerażeni do najwyższego stopnia

poczęli uciekać do koni, które pasły się na skraju puszczy. Ale już paru parobków i Zabój, jako młodsi i zwinniejsi siedzieli im na karkach. Zabój dzierżąc oburącz swój wielki niemiecki miecz, dognał jednego ze zbójów i strasznem cięciem rozpłatał mu łeb na dwoje. Drugi zbój potknął się o krzak i runął jak długi; zaraz też parobek Sławkowy maczugą rozbił mu głowę, aż mózg wyprysł. Dwaj pozostali zbóje uciekali co sił mieli, ale i ich dognano tuż prawie przy koniach. Oskoczeni dokoła, choć się zacięcie bronili, a nawet Miłosza zranili oszczepem, przecież zamordowani zostali okrutnie. Tak więc wytępiono wszystkich co do nogi, u stóp gorejącego wciąż gródka Sławkowego.

Zwycięzcy zdobywszy siedm koni, bo trzy przestraszone uciekły w puszczę, obdarłszy z sukien kosztowniejszych i zbroi zabitych, powrócili w tryumfie do gródka i poczęli ratować dwie chaty ogarnięte przez ogień. Ale ratunek był już prawie nie możliwy. Jedna chata, w której była świetlica Sławkowa zgorzała ze szczętem, a druga stała w płomieniach. Szczęściem że nie było wiatru, a wody było podostatkiem. Ocalono trzecią chatę, brogi, ule, ale dwie spaliły się i leżały z nich na ziemi, tylko czarne, zwęglone belki. Zdobycz jednak była tak znaczna, że Sławko nie wiele się martwił spaleniem chat, które przecież mając drzewa do sytu łatwo będzie można odbudować. Siedm koni,

piękne szaty, mnóstwo broni żelaznej, więcej było warte niż dwie chałupy.

Było już koło południa i wszyscy byli mocno pomęczeni, bitwą i ratunkiem od ognia. Słońce przytem dopiekało mocno i żar był nieznośny. Pokładziono się w cieniu pod brogiem i pod lipami, a kobiety przyniosły miodu w plastrach, podpłomyków, sera i jaj gotowanych, które pochłonięto odrazu. Postawiwszy jednego na straży i nakazawszy kobietom, żeby także pilnowały, zwycięzcy uznojeni bojem, porozciągali się na miękkiej murawie i zasnęli.

Dobrze już było po południu gdy Lisek pierwszy otworzył oczy. W obejściu gródka było cicho, jeno paru chłopaków małych, z białemi jak konopie włosami, nagich, jakby dopiero na świat przyszli, opalonych od słońca, brudnych i czarnych przewracało się swawoląc po murawie. Ze spalonych chat dymiło się i bocian, któremu gniazdo zgorzało latał kołując nad pogorzeliskiem. Z poza częstokołu dochodziło krakanie wron i kruków, które zbiegły się do trupów zbójeckich i szarpały je, czyniąc przytem wrzawę nieznośną. Zresztą było cicho.

Lisek obudził Zaboja, mówiąc, że czas w drogę, że niedługo chłód wieczorny nastanie, że wypoczęli sobie dobrze i mogą dziś jeszcze kawał drogi zrobić. Obudził też Sławka i żegnał go już, gdy kmieć przecierając oczy kułakiem, rzekł:

— Czekajno Lisku... cóż ci się tak śpieszy! Hm! hm! hm! chrząkał—dopomogliście mi do opędzenia się zbójom, muszę was przecie czemś wynagrodzić...

— Ba!—odrzekł Lisek śmiejąc się swym szyderskim śmiechem,—dopomogliśmy to prawda, ale najprzód nie mielibyście Sławku zbójów na karku gdyby nie my, a potem broniąc was, broniliśmy własnej skóry. Nie macie więc za co nas wynagradzać. A wiecie co ja wam powiem kmieciu Sławku a mój stryjcu kochany?

— No gadaj.

— Dajcie nam oto dwa konie z tych, cośmy je na zbójcach zdobyli. Zawszeć to lepiej na koniu jechać, jak piechotą przedzierać się przez puszczę.

— Hm! hm! hm! krząknął Sławko—ja właśnie to samo myślałem, żeby wam dać, tobie i Zabojowi, po jednym koniu. Idźcie tedy i wybierzcie sobie.

Wybrali sobie tedy dwa ładne myszate koniki, okiełznali, i pożegnawszy się z gościnnym kmieciem, zaopatrzeni w dwa serki i dwa placki, dobrze uzbrojeni, wypoczęci i spokojniejsi, opuścili zagrodę Sławkową.

Kiedy zjeżdżali z nasypiska słońce chyliło się już ku zachodowi i wiatr się jakiś mocny zrywał i wył po puszczy. Lisek spoglądając do góry, wprzód nim jeszcze w las wjechali, widział jakieś mętne, szare chmury na skraju widnokręgu. Ale nie wiele go to tam teraz obchodziło. Był zadowolony z konia i pośpiewując sobie puścił się wesoło w drogę z Zabojem.

IX.

Burza.

Podróżni nasi żwawo się posuwali. Konie zbójeckie były dobre i umiały chodzić po puszczy. Zresztą gadał Lisek, jeżeli przez całą noc będą szli, jeżeli im nic nie przeszkodzi, to jutro koło południa powinni być w grodzie Kraka. Puszcza już niedługo się skończy, mówił dalej Lisek, a zaczną się góry, których tu pełno.

Podróż była bardzo przyjemna. Słońce już skryło się za drzewa i chmury, które coraz bardziej rosły i coraz więcej pokrywały niebo. Wiatr wzmagał się także, a choć nie mógł przedostać się do środka lasu, szumiał jednak po szczytach drzew i miotał niemi, jak słabą trzciną. Teraz dopiero Lisek zwrócił na to baczniejszą uwagę.

— Będzie burza, mówił—byle tylko nie wielka, bo to w puszczy nie jest bardzo bezpieczna.

— A cóż nam tu zrobić może,—pytał Zabój, deszcz nas tylko zmoczy, a toż przecie nie jest nic strasznego.

— Nie wiesz co gadasz braciszku,—odrzekł Lisek,—jak przyjdzie dobra burza to zmiata drzewa, jak kłosy zboża. Niech nas Bóg od tego broni.

— A to pierwsze o tem słyszę—mówił Zabój.

— Boś młody Zaboju, toś ty dużo jeszcze nie słyszał i nie widział. Tu w tej puszczy jest jedno miejsce, w którem latoś przeszłego roku burza szalała. Do dziś dnia nic tam nie widać jeno wielkie kupy zwalonych drzew, a niektóre dęby to burza tak pogięła, jakby to były powrósła a nie drzewa.

Tymczasem kiedy tak gadali, wicher ciągle się wzmagał, choć na dole było jeszcze cicho, jeno na górze, u szczytu drzew szalało coś potężnego. Szum był ogromny i przepełniał sobą puszczę. Czasem odłamana gałęź, lub masa strąconych liści spadała pod stopy podróżnych. Niekiedy znowu wicher wpadł w środek puszczy, między drzewa i kręcił się jak szalony, porywając liście, gałęzie i niosąc je w górę. Wył wtedy tak jak stado zgłodniałych wilków. Z nieba, z czarnych chmur, które zasłoniły już sobą wszystko, dochodziły już ponure ryki zbliżającej się burzy. Zwierzęta pochowały się gdzieś i nie słychać było wcale wesołego kukania kukułki, ani krzyków żórawi, ani świergotu innego ptactwa. Tylko wi-

cher szumiał i jęczał przeraźliwie. Wkrótce w boru zrobiło się tak ciemno, że na trzy kroki nic nie było widać i podróżni musieli zwolnić biegu koniom, żeby gdzie nie rozbić się o jakie drzewo. Nakoniec Lisek stanął i rzekł smutnym głosem.

— Nie możemy jechać dalej. Jest tak ciemno, że łacno moglibyśmy pobłądzić, a to byłoby gorsze od wszystkiego. Nie wiem nawet czyśmy już nie pobłądzili. Szkoda, wielka szkoda, żeśmy nie przenocowali w gródku Sławki a jutro świtaniem nie ruszyli. Ale stało się, i niema o czem gadać. Wyszukajmy sobie jakiego schronienia i może nam się uda rozpalić ognisko.

Zleźli z koni i prowadząc je za cugle poczęli szukać owego schroniska, przed wichrem który coraz częściej dostawał się między drzewa i coraz częściej wyprawiał swe harce. Ale jakież może być schronisko w puszczy? Stanęli za jakiemś wielkiem, starem drzewem, osłaniającem ich trochę od wiatru.

— Tu będzie najlepiej,—rzekł głośno Lisek,— bo wicher tak wył, że trzeba było głośno krzyczeć, by jeden drugiego mógł dosłyszeć. Weź mego konia a ja skrzeszę ognia.

Zabój wziął trzymać konia Liskowego, a ten przycupnął pod drzewem, nazbierał suchego mchu i liści, dobył krzemień i o tylec oszczepu począł krzesać ogień. Wkrótce kilka iskier padło na suchy mech i zatliło go. Lisek począł silnie dmuchać i płomień buchnął. Zaraz też ułożył stos

wielki z gałęzi i wielkie ognisko rozjaśniło ponure, czarne, wietrzne wnętrze puszczy.

Gdy ogień już był gotowy Zabój spytał:

— Cóż będziemy teraz robili?

— A cóż, będziemy siedzieli, cóż innego robić? Mamy ogień i raźniej zaraz jakoś na duszy byle go nam ulewa, ktorej jeno patrzeć, nie zagasiła go. Ale dąb jest wielki i konary jego, to jakby dach nad nami. Siedźmy i czekajmy świtu.

Usiedli tedy w milczeniu i wpatrywal i się w płomyki czerwone i złote ognie, smutni, przerażeni trochę wzmagającą się siłą wiatru. Wył on teraz, świstał, jęczał, po puszczy. Co chwila rozlegał się przeraźliwy trzask złamanej gałęzi. Burza coraz bardziej się zbliżałai po niebie słychać było ponury turkot, jakby setki wozów po kamieniach jechało. Grzmoty te rozlegały się po puszczy i powtarzane przez tysiączne echa nabierały chciwej i strasznej jakiejś mocy. Wiatr dostając się pod dąb, pod którym ukryli się Lisek i Zabój, czasem tak porwał płomieniem, że nagiął go aż do ziemi, a dym i popiół ciskał w twarz siedzących. Biedny dąb jęczał nad nimi wszystkiemi swemi gałęziami i konarami, a prawdziwy deszcz z liści leciał. Puszcza była straszna z temi swemi nieprzejrzanemi ciemnościami, z tem wyciem wichru, jękiem drzew i ponurym grzmotem zbliżającej się szybko burzy.

Lisek siedział oparty plecami o dąb i patrzał się smutny na ogień, Zabój niespokojnie się oglądał dokoła. Przerażała go czarność wnętrza puszczy, w której kto wie co się może ukrywać, jaka zdrada czyhać może.

— Ja bo bym tu ognia nie palił,—rzekł nakoniec—każdy nas może łacno obaczyć a my nawet wiedzieć o tem nie będziemy.

— A któż nas może obaczyć?—spytał Lisek.

— Czy ja tam wiem? choćby zbójcy...

— Najprzód zbójców już niema, bośmy ich do nogi wymordowali dzisiaj. Zkądżeby się brali? A potem ty Zaboju nie wiesz, boś młody jeszcze, że w takim czasie jak teraz, kiedy Bóg strasznie się gniewa i kiedy jeno patrzeć jak pocznie piorunami mówić, a huraganem łamać wszystko przed sobą, że w takiej chwili nie człowiek jest straszny jeno świat!... Ale ty tego nie rozumiesz...

— Czemuż niemam rozumieć? gadajcie Lisku!

— Nie rozumiesz, boś młody. Trzeba mieć tyle lat co ja mam i zbrodzić oną puszczę olbrzymią, być za siódmą rzeką i za siódmą górą, żeby to wszystko rozumieć. Jak w tej puszczy burza pocznie grzmieć, to wszystko będzie drżało i zwierz i człowiek i drzewo. Ja się boję tej burzy.

— A może jej nie będzie, może wiatr rozpędzi wszystko — pocieszał Zabój dokładając do ogniska drew.

— O nie, wiatr jej nie rozpędzi, bo on jest jej posłem. A oto Bóg się gniewa!

W tejże chwili grzmieć straszliwie zaczęło tuż nad głowami podróżnych i puścił się gęsty deszcz. Wielkie gęste krople spadały i szumiały po liściach, a grzmoty wciąż grały rozlegając się i rycząc po puszczy. Wkrótce deszcz ten zamienił się w ulewę. Zrazu korona starego dębu zasłaniała dostatecznie naszych podróżnych, ale wkrótce i przez nią przeciekać woda zaczęła. Deszcz lał potokami i zagasił ognisko, które syczało, czasem jeszcze błysło konającemi płomykami, nakoniec całkiem zagasło. Ciemność ogarnęła naszych podróżnych, którzy przytuliwszy się do dębu i do koni, drżących ze strachu, stali tak wsłuchując się w straszne granie burzy. Nie była to jednak zupełna ciemność. Rozjaśniały ją ciągle błyski oślepiające piorunów, które oświecały bladym blaskiem na chwilę drzewa puszczy i twarze Liska i Zaboja. W tych krótkich chwilach światła widzieli oni drzewa, stare sosny i buki gnące się pod naciskiem wichru jak trzciny. Piorun za piorunem spadał z łoskotem okropnym, wstrząsając wszystkiem. W puszczy szumiało, wrzało, jęczało coś ciągle. Nasi podróżni przemokli już byli od deszczu, który spadał jak rzeka i pod nogami czuli wodę. Pioruny padały tuż koło nich, rozdzierając drzewa, zapalając je niekiedy, a deszcz ogień ten zaraz gasił. Byli oślepieni i ogłuszeni, Zabój odwrócił się twarzą do dębu i nie chciał patrzeć na ten groźny obraz szamoczącej się na-

IX.



Rozjaśniały ją ciągle błyski oślepiające piorunów.

tury. Konie musiano trzymać silnie, bo przestraszone zrywały się i stawały dęba.

Ale był to dopiero początek, wśród nieustannego grzmotu piorunów, szumu, deszczu, świstu, wichru, rozległo się nagle jakieś przeciągłe wycie, jakiś jęk niby z tysiąca piersi ludzkich wydobyty! Słychać było jakby tam, w głębi puszczy w tych nieprzejrzanych ciemnicach coś szamotało się, coś toczyło straszną walkę. A potem nagle, jak z bicza trzasł rozległ się okropny trzask i skrzypienie walących się drzew. To szedł huragan. Szedł on ku naszym podróżnym, którzy prawie każdy krok jego rozróżniali wzmagającym się łoskotem druzgotanych drzew. Waliły się one jak snopy. Przy błaskach piorunów widzieli sosny zwalające się na sosny, buki łamiące się przez pół i zieloną koronę swych liści zwieszające ku ziemi. Wicher był tak silny, że dobrze musieli się trzymać żeby ich nie poprzewracał. Deszcz miotany wiatrem siekał teraz z ukosa, dostawał się pod koronę dębu, oblewał ich potokiem wody. Huragan ciskał im w twarz liście, gałęzie, kępy trawy, zabite ptastwo. Widzieli przy błasku błyskawic, jak tuż o kilka kroków od nich wielką sosnę zwinął tak i pokręcił nią całą, jakby kto wyżymał płótno, a potem wyrwał z korzeniem i rzucił na koronę dębu pod którym stali. Stary dąb zatrzeszczał, zadrżał ale wytrzymał i ocalał. Huragan przeszedł nad nim i zginął gdzieś w głębiach puszczy. Z jego przejściem

uciszyło się trochę, wiatr prawie ustał i pioruny mniej licznie padały. Wielkie tylko błyskawice oświecały jeszcze las i deszcz ciągle lał jak z cebra.

— Jesteśmy ocaleni!—odetchnął ciężko Lisek i znużony padł raczej niż siadł na kałużę wody, jaką deszcz utworzył pod dębem.

Burza istotnie oddalała się. Grzmoty i pioruny były coraz rzadsze i coraz cichsze, a w końcu słychać było tylko daleki huk, mruczenia jakieś głuche, a powoli i to ucichło. Ulewny deszcz zmienił się w drobny kapuśniaczek, choć z liści drzew spadały jeszcze ciągle duże i gęste krople. Wiatr prawie całkiem ustał i zrobiła się wielka cisza w zdruzgotanym lesie.

— Trzebaby ognisko rozpalić—mówił Zabój.

— A czemże go ty rozpalisz? zkąd weźmiesz suchego drzewa? tu wszystko przemokło i niema nawet o czem myśleć. Zresztą świtać będzie niedługo.

Zgarnął trochę gałęzi macając, usiadł na nich, oparł się plecami o dąb i nie zważając że mu na twarz kapała woda z liści drzemał trochę. Zabój przywiązawszy konia do drzewa, obszedł dąb na około, rozumując, że ponieważ fala szła od tej strony od której oni stali, tedy z drugiej musi być suchsze trochę miejsce. Było ono istotnie suchsze ale nie wiele. Położył się jednak tutaj i zasnął, otulając się od zimna przemokłym kożuchem.

Obudził go Lisek gdy już świtało. Deszcz zupełnie ustał i powietrze było chłodne ale świeże. Niebo czyste, bezchmurne, zapowiadało dzień słoneczny i ciepły. Ale obraz zniszczenia jaki panował w puszczy, przeraził do głębi Zaboja, który nigdy jeszcze nic podobnego nie widział. Znać było wyraźnie drogę którą szedł huragan. Na drodze tej wszystkie prawie drzewa leżały połamane, pogięte, powyrywane z korzeniami. Że dąb, pod którym się nasi podróżni schronili ocalał to był cud prawie. Na jego koronie leżała zwalona i powykręcana stara sosna, i ona to może zasłaniając sobą dąb, ocaliła go od losu innych drzew. Mnóstwo zabitego ptastwa, wiewiórek, nawet rysia i żubra przygniecionego drzewem spotkali nasi podróżni, gdy zaraz o świtaniu puścili się w dalszą drogę.

X.

Gród Kraka.

Lisek pozbierał kilkanaście zabitych wróbli, jednego głuszca, paru drozdów, a z żubra wyciął cały comber.

— Zaraz dostaniemy się w góry,—mówił,— tam jest suszej. Rozpalimy ogień i upieczemy; jeść mi się chce jak psu ostatniemu, a w Krakowie nie będziemy wcześniej jak na odwieczerz. Trzeba się też przy ogniu osuszyć, bo drżę z zimna, a nim słońce grzać zacznie, dużo jeszcze wody upłynie.

W puszczy było bardzo mokro. Z drzew kapał ciągle wczorajszy deszcz i niezdrowe pary podniosły się dokoła. Ale zaczęły się już góry i wkrótce ujrzeli dużą skałę, prawie nagą, porosłą jeno tu i owdzie jałowcem i mchem. Pod skałą rozkładała się łąka, bujną zarosła trawą i strumyk z wodą czystą jak łza, trochę wezbrany przez wczorajszą burzę, przerzynał łączkę

i ginął gdzieś dalej między skałami. Bo już teraz jak okiem było zasięgnąć, piętrzyły się góry i wzgórza, zarosłe lasem lub łyse całkiem. Zabój wyszukał suche miejsce ogrzane już trochę przez słońce, i tu postanowił zapalić ognisko. Konie spętali i puścili na trawę na łąkę, a sami zajęli się zbieraniem mchu jak najsuchszego. Z wielkim trudem, tak wszystko było przez burzę zmoczone, udało im się rozpalić ognisko. Lisek zdjął z siebie kożuch i położył się spać, mówiąc, że całą noc czuwał; Zabój zaś zajął się przygotowaniem pożywienia. Oskubał ptaki i ponadziewał je na patyki by się piekły, to samo zrobił z combrem żubra i pilnował, żeby się pieczeń nie przypaliła. Gdy już wszystko było gotowe, obudził Liska i z wielkim apetytem spożywać poczęli, przygotowane im przez burzę pożywienie. Ale zjeść wszystkiego nie mogli. Pół combra zostało, które Lisek owinąwszy w liście ułożył w uplecioną kobiałkę z łyka jaką miał na sobie. Napili się wody ze strumienia, okiełznali konie i wypoczęci, najedzeni, wśród ślicznego dnia letniego puścili się dalej w drogę.

Jechali teraz wyciągniętym stępem wśród gór i malowniczych widoków. Słońce już było wysoko i dopiekało mocno. Puszcza powoli rzedniała i miejscami napotykali całe pola posiane żytem i chaty wiosek. Tu i owdzie spotykali się z ludźmi, jadącymi w pole i witali się z nimi. Przebyli już wszystkie niebezpieczeństwa i byli

spokojni i weseli. Wkrótce dostali się na szeroki, piasczysty gościniec, idący tuż nad Wisłą i prowadzący przeto do Krakowa. Koło południa gdy gorąco było nie do zniesienia, zatrzymali się w jakiejś wiosce tuż nad Wisłą leżącej, żeby przeczekać upał i wieczorem po chłodzie dostać się do grodu, który był już niedaleko.

Kmieć, człek jeszcze młody, Władybój zwany, przyjął ich gościnnie i poczęstował mlekiem i chlebem. Lisek dobył z kobiałki comber żubra i nawzajem zaprosił Władyboja. Jedli tedy i gadali.

— To wy do grodu jedziecie?—pytał Władybój.

— Tak do grodu i pilno nam bardzo. A cóż tam w grodzie słychać?—pytał Lisek.

Nieszczęście i koniec, cóż ma być innego słychać? Nikt tam z nas nie chodzi, chyba żeby Kneziowi zanieść daninę, bo strach wielki i o śmierć łatwo.

— No, cóż—to takiego?

— Albo to nic nie wiecie, czy co?

— Nie wiemy nic, jako żywo. Nie byliśmy tu dawno i jedziemy z daleka.

— Ano... on smok, słyszeliście o nim?—pytał Władybój.

— Coś tam słyszeliśmy. I cóż ten smok?

— A cóż, siedzi w jaskini pod Wąwelem i kiedy głodny, pożera wszystko co spotka. Szczęściem, że nie lata, bo mu Kneź Leszek, starszy syn Kraka przestrzelił oba skrzydła z łuku, wy-

puszczawszy na to cały kołczan strzał. Ale to nie wiele pomaga. Smok łazi i pływa po wodzie i jak mu owcy albo cielęcia co dzień nie dadzą to pożera ludzi, niewiasty i dzieci. Strach więc jest wielki i nikt nie chodzi do grodu. Sam Kneź siedzi zamknięty na Wąwelu, jak czasu wojny.

— Ale skądże się ten smok wziął?—pytał Zabój,—przecie dawniej go nie było. Jak Kneź zakładał gródek na Wawelu, to jaskinia była pusta, jeno trochę kości tam leżało.

— Czy ja wiem, zkąd się ten smok wziął. Przyleciał zkądciś od gór i koniec. Kara Boża i nic więcej, bo to teraz takich smoków już nie ma na świecie i najstarsi ludzie nie pamiętają, by tu smoki były. W puszczy tej ono, co na zachód słońca leży, to podobno żyły dawniej smoki.

— A tak, ja sam widziałem jednego,—odrzekł Lisek.

— Widzieliście?—zawołał z ogromnem zaciekawieniem Władybój—i jakże on wyglądał?

Tedy Lisek począł opowiadać jak on smok wyglądał, a Władybój ciągle głową kiwał i gadał:

— To tak samo jak ten na Wawelu. Ja go tu co prawda nie widziałem, ale mi ludzie o nim opowiadali.

Tak pogadawszy z Władybojem i przespawszy się trochę na sianie, gdy już słońce miało się ku zachodowi, Lisek i Zabój puścili się w drogę. Władybój żegnając się z nimi ostrze-

gał ich by się mieli na baczności, bo smok zwykle wieczorem wyłazi z jaskini i biada tym co ich spotka na swej drodze. Radził tedy, żeby przeszli gdzie Wisłę i żeby z tamtej strony dostali się do grodu, bo z tej, gdy pod samym Wawelem będą chcieli przepłynąć, napotkają z pewnością smoka. Łódki tam teraz nie ma, bo się ludzie boją. Za wsią zaraz jest bród i niech tu przejdą Wisłę.

Dał im wyrostka by ich do brodu doprowadził. Jakoż przeszli Wisłę wpław, jakkolwiek w skutek nocnej burzy woda trochę przybrała i już drugim brzegiem jechali. Puszcza tu była przerzedzona i tylko na górach jeszcze widać było lasy. Niedaleko od grodu na wysokiej górze, tuż nad samą Wisłą, była gontyna ukryta w lesie brzozowym i dębowym, kędy był posąg bożka Jessego, sławny na całą Chrobacką ziemię. Kiedy się wdrapali na tę górę, bo tędy szła droga, słońce już zachodziło i gród Kraka widać ztąd było doskonale. Widać tedy było sam zamek na Wawelu oświecony jasno złotemi promieniami zachodzącego słońca. Był on drewniany, zbudowany z wielkich bali dębowych, drenicami kryty i zaopatrzony w wieżę, także z bali dębowych wzniesioną. Cały zamek otaczał częstokół. Gród to był wielce obronny, bo stał na górze stromej i sam był silnie zbudowany i obszerny. Pod Wawelem, ale nie od strony Wisły widać było rozrzucone chaty, słomą

po większej części kryte. Z drugiej strony za Wisłą, na wysepce, na jeziorku, unosiła się wysoka gontyna.

— Tę gontynę król Krak zbudował, — mówił Zabój, — dla bogini Dziedzilli i kapłani tam siedzą bardzo mądrzy.

Cały ten widok daleki jeszcze i u dołu ginący w mgle wydobywającej się z Wisły i w ciemnościach, u szczytów oświecony purpurowo zachodzącem słońcem, był prześliczny. Dolina w której leżał gród, wśród puszcz okolicznych, wśród skał i gór, była jakby jakiemś ciepłem, zacisznem schroniskiem. W dali widać było błękitne pasy lasów i oślepiające pod słońce wierzchołki gór, śniegiem pokrytych. Wisła wśród pól zielonych wiła się jak srebrna wstęga otoczona puchem mgły szarej i mętnej.

— Trzeba tu teraz ostrożnie jechać, — mówił Lisek, — żeby się ze smokiem nie spotkać. Ty Zaboju lepiej znasz ten kraj, prowadź-że mię.

Opuścili brzeg Wisły, jako niebezpieczny i puścili się przez pola kołując i mając się na wielkiej baczności. Żywej duszy nie spotykali, tylko przepiórki i wróble płoszyli, ukryte po zbożach. Bo wielkie łany zboża kłosącego się już leżały dokoła grodu. Skowronki wzbijały się w górę pod czyste niebo i zawisłszy jak czarne punkciki, śpiewały.

Słońce już zaszło i powoli zmrok zapadać począł, kiedy dostali się w ulicę między chaty

leżące u stóp Wawelu. Na ulicy nikogo nie było, a wszystkie chaty pozamykane były szczelnie; tylko dymy wydobywające się przez kominy zdradzały, że w chatach tych ludzie żyją. Psy zawzięcie ujadały lub wyły przeraźliwie, pochowane gdzieś po kątach. Widocznie, że przerażeni byli wszyscy sąsiedztwem smoka.

Zabój i Lisek pędem co koń wyskoczy przelecieli przez ulicę i już wdrapywali się na górę, na Wawel, gdy nagle rozległ się straszliwy ryk, jakby z pod ziemi idący. Konie tak się przeraziły, że spięły się i gwałtem chciały nawracać, ledwie jeźdzcy zmusili je, że poszły dalej. Biedne stworzenia drżały na całem ciele i potem się okryły.

Ryk wciąż się rozlegał. Było w nim coś strasznego. Wśród ciszy wieczornej, rechotanie żab od strony wody, naszczekiwanie psów, cirkanie przepiórek i tysiące wreszcie szmerów towarzyszących końcowi dnia letniego, ryk ten był jakby zwiastunem nieszczęścia, obrazem grozy wiszącej nad tą piękną okolicą. Jeźdzcy nasi przestraszeni nim do najwyższego stopnia, popędzali konie, które i tak biegły jak szalone i w końcu dopadli bramy w gródku.

Z ponad bramy, z okienka umieszczonego pod daszkiem, wychyliła się głowa w lisiej czapce i nie mogąc dojrzeć z powodu szybko zapadającego zmroku naszych jeźdzców, słysząc tylko tentent a potem głośne sapanie koni, zapytała się:

— A kto tam?

— Swój, z poselstwem do króla Kraka jedziemy.

— Z poselstwem?... a któż wy?

— Zmiłuj się, braciszku. — rzekł Lisek,— puszczaj nas do środka bo nas smok pożrze.

— Ale kto wy tacy?

— Jam jest Zabój, puśćcie nas...

— Dobrze, otworzę wam bramę, ale zostaniecie w niej nie ruszając się pod strażą, dopóki starosta Zbiszek nie dowie się o was.

— Idź i powiedz tylko staroście, że Zabój od niemieckiej granicy przyjechał.

— Dobrze.

I mrucząc zlazł ów strażnik z daszku i powoli odsuwać począł ciężkie wrzeciądze w bramie. Czas już był wielki, bo ryk coraz donośniej, coraz bliżej się rozlegał i widocznie smok się zbliżał. czując może ludzi blizko. Konie dygotały od wielkiego strachu.

Ledwie weszli do środka, strażnik gwałtownie zamknął bramę i oddychając ciężko, zawołał:

— Bodaj was bies porwał, o małom smoka do grodu nie wpuścił. Uf!—sapnął potężnie,— bo był tłusty i gruby i przytykając oko do okienka w bramie mruknął:

— Czego ta poczwara chce? dostał przecież dzisiaj dwa barany, czy mu nie dosyć.

Smok, którego chód ciężki, podobny do zgrzytu słychać było, ryczał coraz bliżej i coraz donośniej, prawie tuż pod częstokołem. Psy w całym gródku wyły z okropnego widać strachu. Tymczasem strażnik, który miał tylko oszczep w ręku, obejrzał się na naszych podróżnych i spytał:

— Macie łuki?

— Mamy.

— To chodźmy do świetlicy nad bramę i poślijcie temu czartowi kilka strzał, żeby go odpędzić od grodu.

Mówiąc to, kazał im konie zostawić w sieni bramy, a sam po drabinie poprowadził ich do świetlicy. Tu ostrożnie odsunął okienko i rzekł do Zaboja:

— No, weź go dobrze na cel, a mierz w ślepie, które mu się świeci jak ogień.

Zabój spojrzał ale z powodu ciemności nic dojrzeć nie mógł, tylko poruszającą się leniwie jakąś czarną masę, w której świeciły dwa jasne punkciki. Mimo to rozciągnął łuk z wielką siłą i strzała ze świstem wypadła. Zaraz rozległ się straszliwy ryk, słychać było jakiś trzask, jakieś potężne sapanie i czarna owa masa szybbko znikła.

— No, poleciał! — rzekł strażnik, — dobrześ go poczęstował. A teraz chodźcie do starosty Zbiszka.

XI.

Król Krak.

Starosta Zbiszek, człek stary, pomarszczony na twarzy i przygarbiony nieco, ale krzepki jeszcze, kazał natychmiast gdy się dowiedział o przybyciu Zaboja stawić go przed sobą.

— Czy to ty byłeś przez Knezia wysłany na niemiecką granicę?

— Ja, i właśnie wracam ztamtąd.

— Co? czy Niemcy co knują?...

— Wojnę knują, idą na nas z wielką siłą, — odrzekł Zabój.

— Patrzajcie! ot, dola nasza. W domu smok, z którym nikt sobie rady dać nie może, a za domem gorszy od smoka Niemiec, — gadał Zbiszek kręcąc się i nadziewając kubrak na siebie modrej barwy.

Gdy się już ubrał i miecz przypasał, rzekł do Zaboja:

— Czekajże tu, ja dam Kneziowi znać o tobie. Stary jest i może się wywczasuje już, ale trzeba go obudzić, bo to ważna nowina.

Powlókł się kaszląc ciężko i utykając na jedną nogę. Wkrótce wrócił i rzekł:

— Kneź czeka,—pójdź do niego.

Przeprowadził go przez kilka izb, w których przy kominach z gliny i kamieni ulepionych, a na których paliły się wielkie kłody drzewa, siedzieli na drewnianych ławach pachołcy, w płóciennych kubrakach i uzbrojeni w miecze. Niektórych Zabój znał i chciał się witać z nimi, ale Zbiszek nie dał mu się zabawiać niczem, gadając:

— Kneź czeka, a wiesz że jest niecierpliwy i srogi gdy w gniew wpadnie.

Doszli w końcu do izby Kraka, przed drzwiami której stał na straży z włócznią w ręku, w rysim kołpaku pachołek. Weszli do środka dużej świetlicy, której ściany okryte były cennemi makatami ze wschodu, a na makatach tych wisiały łuki prześliczne, miecze, tarcze z żelaznej blachy, oszczepy i włócznie. Dalej zaś na ławie leżała rzecz nader rzadka i kosztowna w tych czasach, całkowita zbroja żelazna, z hełmem ozdobionym rysim łbem i końskim ogonem, z koszulką drucianą, naramiennikami i nagolennikami. W kącie stał wielki komin, zbudowany z wypolerowanych kamieni, które się świeciły jak złoto. Na kominie gorzał duży ogień jasno oświetlający izbę, a przy ogniu stało młode chłopię i poprawiało on

ogień, podsycając go ciągle drobno porąbanemi drewienkami. Blaski tego ognia włóczyły się po całej świetlicy i przeglądały w tarczach i mieczach na ścianie, w zbroi na ławie. W kącie, na berle drzemał ulubiony sokół Kraka, z kapturem na łbie.

Sam Krak leżał wsparty na wezgłowiu łoża, pokrytego takimże drogim kobiercem jak ściany i pilnie patrzał we drzwi. Ubrany był w biały płócienny kubrak, a nogi miał w trzewikach z czerwonej skóry. Przy nim u wezgłowia stał nagi oszczep i tarcza żelazna polerowana mocno, tak że w niej cały komin i ogień na nim i pacholę odbijało się, jak w zwierciadle. Na owej tarczy wymalowany był misternie czarny kruk. Tarczę tę dostał Krak w podarunku od cesarza Carogrodzkiego i lubiał ją bardzo, tak że zawdy u jego wezgłowia stała.

Sam Krak był to mąż olbrzymiego wzrostu i olbrzymiej siły. Barczyste plecy jego, gdyby podparły dąb, toby go wywróciły. Na tych barkach, na krótkim i grubym jak u tura karku, spoczywała wielka głowa, porośnięta bujnym, czarnym, skędzierzawionym włosem, tu i owdzie dobrze przypruszonym siwizną. Włosy te spadały mu na czoło i nad oczami przystrzyżone były równo, żeby nie zasłaniały wzroku. Czoło spalone słońcem, bronzowe prawie, poorane zmarszczkami. kończyło się dwoma krzaczastemi brwiami, czarnemi jak pióra krucze i groźnie ścią-

gniętemi. Z pod tych brwi patrzało dwoje oczów także czarnych, szeroko rozwartych, pełnych ognia, przenikliwości i srogości. W ogóle cała twarz ciemna, obrośnięta bujną brodą siwiejącą więcej niż włosy, miała wyraz srogości i nieustraszonego niczem męztwa. Gdy Zbiszek i Zabój weszli do świetlicy, zerwał się ze swego łoża, siadł na niem i wpoił swe dzikie oczy w Zaboja. Ten podszedł ku Krakowi, pokłonił się ręką nizko i ujął go za kolana, poczem odszedł skromnie do drzwi.

— Tyś Zabój?—spytał Krak głosem grubym jak u żubra.

— Tak Kneziu.

— Wracasz od granicy niemieckiej?

— Tak Kneziu.

— Z czem wracasz? gadaj!..

— Niemcy idą Kneziu na ciebie i na gród twój. Wiedzie ich sławny wojewoda Rytygierz i kiedym ruszył z tą wieścią do ciebie, będzie temu ze dwadzieścia dni, to już był w czeskiej ziemi i mieczem a ogniem sobie poczynał.

— Zkąd wiesz, że on idzie na mnie?

— Schwytaliśmy jednego niemca i przypiekłszy mu podeszew, dowiedzieliśmy się o tem. Gada on niemiec, który był jakimś znacznym między swemi, że wojewoda Rytygierz zasłyszał o waszej córce Kneziu, Wandzie i chce ją pojąć za żonę...

Na te słowa Krak zerwał się z siedzenia, i chwycił w uniesieniu strasznego gniewu za oszczep. Oczy mu się świeciły jak dwa ognie

XI.



Tyś Zabój ?— spytał Krak

i iskry z nich się sypały. Był taki straszny że chłopię pilnujące ognia przycupnęło w kącie i kwilić poczęło.

— Moją córkę Wandę chce pojąć ten czart niemiecki za żonę? Bodaj go pioruny spaliły tego psa przeklętego! Dam ja mu żonę!...

Chodził po świetlicy wielkiemi krokami i z taką siłą, że aż się trzęsła cała, sapiąc potężnie. Ale uspokoił się zaraz, cisnął oszczep w kąt, i założywszy ręce na tył stanął przed drżącym Zabojem, który chociaż był parobek smagły, musiał jednak dobrze głowy zadzierać by spojrzeć w oczy Krakowi, takiego był ten Kneź olbrzymiego wzrostu.

— Widziałeś Niemców? dużo ich jest?

— Jak liści w lesie. Rozlecieli się niby szarańcza po całej Czechii i do Morawy już sięgli. Tu i owdzie Czechy ich biją, i ja sam z władyką Bolkiem w zasadzce potłukliśmy trochę Niemców i wzięli i ich wodza do niewoli, który wyśpiewał wszystko. Gotholf on Niemiec się zwał i Czesi spalili go na stosie przed gontyną.

— I mówił wyraźnie, że na mój gród idą, że wojewoda ich chce Wandę wziąć za żonę?

— Tak Kneziu, gadał to wyraźnie, i dodawał, że Rytygierz, gdybyście mu Kneziu córki nie dali, mieczem wszystko wytnie a ogniem spali.

Krak znów przeszedł swym ciężkim krokiem dwa razy świetlicę, poczem spytał:

— Jak prędko tu niemcy być mogą?

— Jeśli im nic nie stanie na przeszkodzie, to prędzej nim miesiąc się obróci.

— Dobrze! odejdź,—Zbiszek zostań.

Zabój pokłonił się do kolan Kraka i wyszedł. Przez chwilę król chodził swemi wielkiemi, ciężkiemi krokami po świetlicy, zamyślony głęboko, oddychając głośno i trąc czoło. Była taka cisza że słychać było miarowy krok straży koło częstokołu i trzask ognia w kominie. Nakoniec Krak zatrzymując się przed Zbiszkiem, z rękami w tył założonemi, jak to miał zwyczaj czynić, zapytał:

— A to piękne rzeczy! Nieprzyjaciel w domu i nieprzyjaciel za domem. Bodaj to siarczysty bies porwał! Ten Rytygierz, ja go znam, on tu już raz wałęsał się niedaleko nas, po Panonii, wielkiej krainie co leży za górami. A ten smok? Nie jest że to straszne nieszczęście? Do wszystkich piorunów trzeba z nim raz skończyć! Jeżeli nikt się nie znajdzie, to ja sam, wziąwszy oszczep i tę oto tarczę, pójdę na niego wstępnym bojem.

— Ze smokiem to tam kneź Leszek da sobie radę, tak przynajmniej mówi. Z jakimś kupcem greckim, co tu przyjechał z towarami, coś tam od dwóch dni pietraszą i smażą, żeby onego smoka zgładzić ze świata i mówią, że zgładzą.

— Cóż to za kupiec grecki?—nic o nim nie słyszałem!

— Raz go jeno widziałem, bo się nikomu nie pokazuje, tylko siedzi w świetlicy kuezia Leszka.

Stary już jest siwy. Ludzie opowiadają, że kiedy przyjechał na rynek Krakowa i dowiedział się o smoku, to dziwił się wielce, że go dotąd nie ubito, że on by to zrobić potrafił. Kneź Leszek, który chodził wtedy po rynku i zbierał daninę, usłyszał te słowa kupca i zaraz go wziął do siebie i teraz coś tam warzą a pieką.

— I dawno to było?

— Dwa dni temu.

— I czemu mnie o tem nie powiedziano?

— A oczemże tu gadać kneziu! Mało to już było takich junaków, którzy głośno krzyczeli, że zabiją smoka a on ciągle żyje? Mnie się widzi, że i z tym kupcem tak będzie.

— Prawda i to Zbiszku, ale Greki to mądry naród, a grody u nich takie wielkie jak nasze opola całe z niwą i lasami. Ha! muszę ja z tym kupcem i Leszkiem pogadać, bo tego smoka zabić trzeba koniecznie wprzódy nim na Niemców wyruszymy. Cóż Zbiszku myślisz o Niemcach?

— Co myślę kneziu? Myślę, że trzeba im stawić czoło, zwołać wszystkich mężów i wyruszyć na Rytygierza. W puszczy też należy poczynić zasieki i zasadzki.

Krak nic na to nie odpowiedział, tylko chodził po świetlicy trąc czoło, szarpiąc brodę i wąsy, a potem rzekł do Zbiszka:

— Idź no Zbiszku obacz czy Leszek i on kupiec nie śpią jeszcze, a jeżeli nie śpią, niech tu do mnie przyjdą.

Zbiszek skłonił się i miał już wyjść, gdy rozległ się znowu okropny ryk smoka, napełniający ciszę nocy letniej, niesłychaną wrzawą. Ryk był tak silny, że wszystko się trzęsło prawie. Chłopię poprawiające ogień na kominie aż przysiadło ze strachu i wytrzeszczyło swe wielkie, przerażone oczy. Krak aż skoczył z gniewu i krzyknął:

— Bodaj cię czart pochłonął, bodaj cię wiła zdusiła, boginka porwała, mora zamęczyła, przeklęty smoku. Czego on tak ryczy! Czy mu nie dano jeść dzisiaj? Ej, do biesa, oszczepem przebiję tego, kto mych nakazów nie wykonywa!

Zbiszek zatrzymał się na te słowa i swym suchym, kaszlącym, spokojnym głosem odrzekł:

— Nie sierdźcie się kneziu, bo wasze rozkazy zawsze są wykonane należycie. Smokowi rzucono dziś barana i cielaka, a któż to wie czego on chce. Łazi po nocy i kiedy Zabój przybył, to ledwie go nie porwał. Zabój mu strzałę posłał i tem odpędził od częstokołu.

— Dobrze, dobrze,— idź zawołaj mi Leszka.

Zbiszek wyszedł, a Krak wciąż przechadzał się po świetlicy, wsłuchując się w ryki strasznego potworu, ryki ciągle się powtarzające.

Smok zdawał się oddalać i znowu zbliżać, jakby błądził koło grodu. Krak ostrożnie odsunął drewnianą zasuwę od maleńkiego okienka i spojrzał. Ale noc była ciemna, bezksiężycowa i nic widać nie było, okrom bielejącej się Wisły. Od wody podnosiły się mgły białe, niezdrowe i za-

słaniały wszystko. Widać tylko było tuż pod okienkiem, tulącego się do częstokołu i wpatrzonego przed siebie strażnika, w lisiej czapie z czaplem piórem, jak wsparty na włóczni stał i zdawał się słuchać ryków przerażających smoka, którego Krak pomimo pilnych poszukiwań nigdzie dostrzedz nie mógł. Nagle coś plusnęło w wodzie, jakby wpadł w nią wielki kamień, lub kloc drzewa i na białej powierzchni Wisły, coś zaczerniało i ruszać się poczęło. Krak w jednej chwili porwał za łuk, odsunął okienko zupełnie, naciągnął cieciwę i strzała ze świstem wypadła. Skutku tego strzału dojrzeć nie można było, gwałtowne pluśnięcie i bolesne zaryczenie, znamionowało, że smok ugodzony został i dobrze, kiedy aż ryczał z bólu. Potem słychać było jeszcze pluskanie szybkie, smok znikł gdzieś we mgle i zaległa zwykła cisza nocy letniej.

W tej chwili właśnie drzwi się otworzyły i do świetlicy wszedł młodzian i z pokorą objąwszy Kraka rękami za nogi, ucałował je obiedwie. Był to Leszek pierworodny syn knezia na Krakowie.

XII.

Leszek Krakowicz.

Lech zwany zdrobniale Leszkiem, starszy syn Kraka, który miał ich dwóch, był wysokim jak ojciec młodzieńcem, o jasnych, konopiastych włosach, przyciętych nad czołem równo. Ubrany w zwyczajny biały, płócienny kitel, krótki bo do kolan ledwie sięgający, przepasany rzemieniem suto nabijanym różnemi świecidłami, pokłoniwszy się stanął w pokornej postawie przy drzwiach i czekał na rozkazy ojca. Krak swym grubym, surowym głosem, wpatrując się bystro w syna, zapytał:

— Co to za kupiec grecki u ciebie siedzi?

— Siedzi on u mnie, bo powiedział że zabije smoka. Od dwóch dni smaży i gotuje coś, co jak się wsadzi w barana i rzuci tego barana smokowi, tak on zaraz pęknie i rozleci się na drobne kawałki. Tak mówi on kupiec.

— Zkądże on jest?

— Z Carogrodu ojcze. Uczony to mąż i ma ze sobą jakieś wałki, po których popisane są różne znaki i on na to patrzy i szepcze coś do siebie. Powiada że u nich w Carogrodzie wszyscy znają się na takich znakach.

— I powiada że smoka zabije?

— Tak powiada. Ja mu za to obiecałem, że żadnej daniny składać mi z targu nie będzie przez dziesięć lat, jeżeli smoka zabije.

— Jakże on się zowie?

— Trudno wymówić jego nazwisko, takie dziwaczne, a przytem zapomniałem.

— Czemu tu nie przyszedł?

— Bo już śpi. Stary jest i słaby.

— I kiedyż on tego smoka zabije?

— Jutro. Dziś nie kazał mu nic dać jeść, żeby był głodny. To też barana i cielę, jakie Zbiszek wysłał dla smoka, zatrzymałem. Głodny jest i łazi i ryczy aż strach teraz.

— Hm!—mruknął Krak—idź spać a jutro rano przyprowadź mi tego Greka, chcę go obaczyć.

To mówiąc kiwnął głową synowi, chłopięciu pilnującemu ognia kazał precz pójść i zrzuciwszy trzewiki z nóg i czerwony żupan z grzbietu, owinął się w niedźwiedzią skórę i legł na wezgłowiu. Wkrótce słychać było tylko głośne i ciężkie chrapanie króla Kraka w świetlicy.

Nazajutrz o świcie, gdy się tylko na gródku ruszać poczęto, zaraz rozeszła się wieść że Le-

szek przy pomocy brata i kupca greckiego postanowił zgładzić smoka. Potwór ten całą noc ryczał z głodu i teraz przy wschodzie słońca, ludzie ukryci za częstokołem, lub za okienkami dworca widzieli straszne zwierzę, leżące nad brzegiem Wisły i bijące ze wściekłości wielkim ogonem o ziemię. Każde uderzenie rozlegało się dokoła jak huk jakiś straszny, a ryki potwora przerażały wszystkich. Nikt z mieszkańców grodu nie śmiał wyjść za częstokół, ani też w mieście na dole nie było widać żadnego ruchu. Wszyscy siedzieli w swych chatach, pozamykani starannie. Opowiadano, że w nocy jakiś rybak płynący Wisłą cudem tylko uszedł przed smokiem, wsadziwszy mu w paszczę wiosło. Zwierz ciskał błyskawice ze swych ślepi, z których jedno zranione wczoraj strzałą Zaboja sączyło brudną, czarną posokę.

Zabój z Liskiem wyszli także pod częstokół by się przypatrzeć poczwarze. Nic podobnego jak żyje nie widzieli i prawie zdrętwieli z przerażenia spojrzawszy na strasznego smoka, leżącego nad Wisłą, na piasku i ryczącego donośnie.

Na szyi olbrzymiej długości, szyi cienkiej, podobnej do łabędziej, mieścił się wielki łeb z ptasim dziobem. Łeb ten był grubszy od szyi, a równy jej co do długości. Opatrzony on był w dwa ślepia, z których jedno jak się wyżej rzekło, sączyło krwawą, brudną posokę, i miało jeszcze odłamek strzały w sobie, oraz w paszczekę, na-

kształt dziobu ptasiego. Paszczę tę, smok ryczący otwierał i wówczas widać było długi cienki język i dwa szeregi strasznych zębów. U cielska, grubego i podługowatego były dwie przednie nogi uzbrojone w pazury wielkości rąk ludzkich, a między palcami była błona jak u ptaków wodnych. Nogi przednie z tylnemi złączone były skrzydłami z czarnej błony jak u nietoperza, a wielki, płaski ogon, taki sam jak u bobra, leżał na piasku i bił w niego niezwyczajną siłą. Całe ciało nakoniec okrom skrzydeł i brzucha, pokryte było twardą łuską, od której strzały i pociski się odbijały jak od żelaza lub kamienia. Chcąc zranić potwora, trzeba było mierzyć w ślepie lub brzuch lub skrzydła. To też miał on skrzydła tak poranione i ponabijane strzałami, że latać wcale nie mógł. Było to dzieło Leszka, starszego syna Kraka, młodzieńca walecznego i mężnego, który nieraz całemi dniami czychał ukryty na smoka, by mu skrzydła poprzestrzelać i tym sposobem mniej szkodliwym go uczynić. Jakoż smok latać już teraz nie mógł, a choć na wodzie pływał z dawną, niezmierną szybkością, na lądzie jednak na koniu już można było przed nim uciec, co dawniej było wprost niemożliwem, z powodu że smok goniąc jakąś ofiarę, zrywał się do lotu a lot ten miał szybszy od jaskółki.

Teraz atoli głodny i wściekły leżał na piasku ryczący i bijąc ogonem, wyciągając swą długą szyję dokoła i patrząc krwawemi ślepiami. Z poza

częstokołu, z okien dworca obsypywano go strzałami, na które nie zważał, a które odbiły się od jego twardej łuski, jak od najlepszej zbroi. Czasem tylko gdy strzała uwięzła w poranionych i zlanych posoką czarną skrzydłach, ryczał boleśnie, potrząsając zranionem skrzydłem, jakby chciał ulecieć. Zabój kilkakrotnie naciągał łuk mierząc w ślepie, ale i tutaj natrafiał na łuskowatą powiekę, którą zwierz szybko zasłaniał oko i to, że wczoraj zdołał zranić smoka w jedno oko uważano za rzecz nadzwyczajną. W końcu zwierz podniósł się, wyciągnął swą długą szyję, popatrzał dokoła i schronił się do swej jaskini, pod Wawelem. Ztamtąd dochodziło tylko potężne jego sapanie, podobne do szumu olbrzymiego wodospadu, lub do wichru wstrząsającego drzewami w lesie.

Gdy tak witano na dziedzińcu dworca smoka i rozpowiadano, że dziś Leszek z kupcem carogrodzkim ma na niego wyprawę zrobić, w świetlicy Kraka, który już wstał ze snu, zebrali się obaj jego synowie, kupiec carogrodzki i Zbiszek. Drugi syn Kraka, także Krak nazwiskiem, ale młodszy od Leszka, stanął sobie przy kominie, na którem gorzało jak zwykle ognisko i jak co dzień pacholę pilnowało tego ognia. Młodszy ten Krak, był całkiem podobny do ojca, miał jego bujne, kędzierzawe czarne włosy czarne ponure, dzikie oczy. Stanął w kitlu białym z rzemiennym pasem, u którego miecz wisiał, założył

ręce na piersi i milczał, patrząc z podełba na wszystkich.

— Witajcie mi,—mówił Krak stary przypasując miecz do boku i zwracając się do kupca carogrodzkiego dodał z lekkim ukłonem głowy, witaj nam gościu w naszej dziedzinie.

Kupiec ów, siwowłosy starzec z wielką, białą jak mleko brodą, ubrany w długą białą szatę oszytą purpurowemi paskami, skłonił się Krakowi pokornie i składając ręce na piersi, rzekł łamanym trochę wschodnich słowian językiem:

— Sługą sług twoich jestem królu potężny i mocny—i co rozkażesz to spełnię, choćbym życiem to miał przypłacić.

— Mówiono mi kupcze, odrzekł na to pokorne powitanie Krak, że macie jakiś sposób tajemniczy nieznany nikomu, zabicia smoka, który strasznym jest nieprzyjacielem moim i ludu mojego, gorszym od Obrów i od Niemców. Masz że taki skutek kupcze?

— Wszystko jest w ręku Boga, potężny Królu, rzekł na to kłaniając się kupiec — ale oto w piśmie jednem ojca mego znalazłem wiadomość jak należy robić tak zwany ogień grecki, który niszczy, pali się nawet na wodzie, rozrywa na szczątki tych, którzy go się dotkną. Taki ogień zrobiłem i chce nim smoka zgładzić, jako żywo.

Słowa te wszystkich zadziwiły niezmiernie, oprócz Leszka, który już wiedział o co idzie.

— Czarownik jesteś wielki kupcze, rzekł Krak poglądając na Greka z trwogą i nieufnością — ale dam ci wszystko co będziesz chciał byleś onego smoka zgładził.

— O jedno tylko chcę prosić, by moi ludzie mogli przyjeżdżać tutaj z towarami wschodniemi nie płącąc żadnej i nikomu daniny.

— Dobrze—odrzekł Krak—zaprzysięgniemy na garść włosów naszych i na trawę, że nie będą wasi ludzie i niewolnicy wasi płacili żadnej daniny.

— A teraz, rzekł kupiec, nauczyłem już walecznego syna waszego, o, królu mocny i potężny, jak ma sobie postępować, by smoka zabić. Ja już stary jestem i nogi mi nie służą, bym miał chodzić do walki ze smokiem.

Leszek wystąpił naprzód i obejmując nogi ojca rzekł:

— Pozwólcie mi ojcze pójść na smoka.

— Jakże to! sam chcesz iść?

— Sam.

— Nie, tak być nie może. Pójdziecie razem z Krakiem. Wychowałem was synowie moi w poszanowaniu cnót moich, obu wam przystoi uzbroić się i nieodzownie stanąć do walki z potworem, albowiem jesteście połową mojego żywota, do której należy następstwo w tej ziemi.

Krak dotąd milczący, ruszył się od komina i kłaniając się ojcu do kolan, rzekł:

— Nie wierzę ja ojcze ani w ten ogień grecki, ani w tego kupca. Jeżeli mi każecie, pójdę z oszczepem jeno w garści i z tarczą na smoka, ale pocóż próżne ofiary? Obaj tam zginiemy i nie będzie kto miał królować w Chrobacyi po twej śmierci. Gdybyście ojcze chcieli mię posłuchać, to najlepiej by było rzucić ten nieszczęśliwy gródek i przenieść się gdzieindziej. Ale jak każecie pójść, pójdziemy. Żal mi tylko Leszka.

— Nie lękaj się braciszku, zawołał Leszek, smoka zabijemy.

— Idźcie więc, rzekł Krak.

Obaj bracia jeszcze raz pokłonili się ojcu i wyszli. Gdy przechodzili przez sąsiednią izbę, otworzyły się drzwi boczne. i ukazała się w nich postać niewieścia. Ubrana cała biało, z wieńcem z kwiatów na głowie, z rozpuszczonemi, długiemi i jak złoto jasnemi włosami, stała ona we drzwiach, stała oświecona wdzierającemi się przez zasunięte okna blaskami dnia. Była ona podobna do boginki, taka była piękna. Była to Wanda, jedyna córka Kraka.

— Braciszku Leszku i braciszku Kraku! szepnęła.

Podeszli ku niej w milczeniu, Krak surowy i dziki, Leszek uśmiechnięty.

— Co chcesz siostrzyczko?

— Idziecie na smoka. O! weźcie odemnie ten talizman, co mi go kupiec jeden przywiózł z Italskiej ziemi, z Rzymu.

I włożyła na Leszka wiszący na złotym łańcuszku krzyżyk, a potem rzuciła mu się w ramiona i załkała głośno. Ucałowała obydwóch i mówiąc:

— Gdybyście nie wrócili, jabym się utopiła, i znikła za drzwiami.

Leszek ocierając łzy ruszył, a za nim Krak jak zawsze ponury i milczący.

XIII.

Walka ze smokiem.



Obaj bracia uzbroili się jak na wojnę, na tę straszną, niebezpieczniejszą niż wojna wyprawę. Na głowy włożyli żelazne chełmy, ozdobione rysiemi łbami, na piersi wdziali koszulki. druciane, przypasali krótkie miecze do boku, zarzucili na lewe ramiona tarcze żelazne, na których podobnie jak na ojcowskiej misternie namalowany był kruk czarny, i tak wyruszyli na dziedziniec dworca. Tu czekały już na nich dwa niewielkie zwinne i wytrwałe, myszate koniki. Otoczeni przez wszystkich, którzy byli w dworcu, żegnając się z nimi, dosiedli koni. Wielu płakało ściskając synów królewskich; zwłaszcza z Leszkiem, który miał dokazać głównego dzieła i którego wszyscy kochali, żegnano się serdecznie. Nie było nikogo prawie we dworcu, ktoby nie przyszedł uścisnąć młodzieńca. Siedział on na swym koniu i uśmiechał się dobrotliwie, podczas

gdy Krak wzrokiem dzikim i okrutnym poglądał do koła. Jego czarne oczy z pod hełmu rzucały błyskawice i obejmowały niekiedy brata wzrokiem nienawiści pełnym.

— Nakoniec zjawił się kupiec carogrodzki, a za nim dwóch jego niewolników niosło nieżywe jagnie. Zbliżył on się do królewicza Leszka i szepnął mu do ucha:

Wiesz królewiczu jak się masz zachować, ale ja ci to jeszcze raz powtórzę. Gdy się zbliżysz do smoka zapal oto to łuczywo w gębie jagnięcia umieszczone, ciśnij jagnie przed smoka i uciekaj co koń wyskoczy. Dla zapalenia łuczywa, masz tu woskową świecę zapaloną i jedź w imię Boga Wszechmogącego, Boga chrześcijan!

Leszek przyrzekł, że wszystko uczyni tak jak mu Grek powiedział, wziął jagnię przed siebie, pochodnię w prawą rękę i wyruszył. Krak dobył oszczepu i wyruszył za bratem. Gdy już otwierano im bramę, wśród ogólnych życzeń i płaczu, rozległ się z okienka dworca śliczny, srebrny głos królewny Wandy:

— Żegnajcie mi braciszkowie!

Obrócili się obaj i ujrzeli królewnę w otwartem oknie przesyłającą im białemi rączkami pożegnanie. Wkrótce wyjechali za bramę i słychać było odgłos kopyt końskich uderzających o skalisty grunt góry Wawelu.

W tejże chwili do bramy, gdzie stał Zbiszek dopadł na swym koniu Zabój, uzbrojony w łuk i swój długi miecz niemiecki.

— Zbiszku, puśćcie mnie i ja pojadę na smoka za królewiczami. Nie zostawię ich przecie samych.

— Dobrze, jedź!

To mówiąc Zbiszek rozwarł bramę i wypuścił Zaboja. Właśnie w tej chwili smok, który miał słuch wyborny a węch jeszcze lepszy, zaryczał donośnie i leniwie wywlókł się ze swej jaskini. Zabój usłyszał ten ryk, który tak przeraził jego konia, że spiął się na zadnie nogi i gwałtem zawrócił ku bramie. Chłopak musiał całej siły użyć, żeby zmusić konia do dalszej drogi. Pędem zbiegł z góry zamkowej dzierżąc nagi miecz w swej ręce, gotów obces rzucić się na smoka, taka go jakaś wściekłość ogarnęła. Ale właśnie spostrzegł obu braci, okrążających góry i jadących spokojnie stępa. Zatrzymał się, bo bał się rozgniewać królewiczów, bez których wiedzy i woli wyjechał. Posuwał się więc za nimi wolno, zdaleka, nie spuszczając ich z oczów ani na chwilę, gotów nieść im pomoc w razie potrzeby. Jechali oni ciągle noga za nogą, tuż obok siebie, Leszek z zapaloną świecą w ręku, Krak z gołym oszczepem. Dzień był gorący i w ciszy jaka panowała dokoła słychać było niemal skwarczenie się powietrza w warze słonecznym. Ćwierkanie przepiórek ze zbóż, dochodziło aż tutaj. Kilka lip stojących koło drogi szumiało cicho, a roje pszczół z sąsiednich uli z brzękiem obsiadało poczynające już kwitnąć drzewa. Ryk przeraźliwy smoka urywany teraz, drżący wściekłością powtarzał

się co chwila, wstrząsając dokoła powietrze i płosząc ptastwo, które z krzykiem i piskiem wznosiło się w górę.

Nagle Zabój widzi, że obaj bracia zatrzymali się i Leszek trzymając w jednej ręce łeb jagnięcia z owem łuczywem, drugą pochylił świecę gotowy do zapalenia łuczywa każdej chwili. Krak dzierżąc oszczep i zasłaniając głowę tarczą, pochylił się na koniu tak, jakby chciał się naprzód rzucić na niewidzialnego jeszcze wroga. W tem miejscu skała tworzyła takie wklęśnięcie, że ani Zaboja, ani obu królewiczów z dworca dojrzeć nie można było. Zabój zatrzymał także konia, zdjął szybko łuk i z ręką na cięciwie czekał na pokazanie się smoka, gdyż zapewne bracia dla tego się zatrzymali, że usłyszeli jego oddech ciężki i syczący, jaki wydawał idąc. Postanowił Zabój dobrze wymierzyć i nim królewicze co zrobią, wpakować smokowi strzałę w ślepie. Ale koń drżał tak pod nim i tak się rzucał, że o dobrem wymierzeniu nie było nawet co myśleć. Wobec tego, Zabój zdecydował się szybko. Zeskoczył z konia, którego zaraz puścił a który rżąc w szalonym pędzie pognał nazad, sam zaś przykląkł na jedno kolano i ze strzałą na cięciwie czekał.

Nie długo czekał. Z po za skały ukazała się najprzód olbrzymia rozwarta, najeżona zębami paszcza smoka, z językiem wysuniętym, sycząc i wydając krótkie, urywane ryki. Ogromne, sze-

roko rozwarte, krwawe oczy wpatrzyły się w braci, którzy nie ruszyli się z miejsca, ale walecznie dotrzymali placu, choć konie im się spięły i rzucały jak szalone. Zabój ze spokojem, z pewnością ręki, naciągnął silnie łuk i strzała ze świstem wyleciała. Rozległ się straszliwy długi, przeciągły ryk, a zaraz potem potężne uderzenie ogonem. Zabój cisnął łuk i porwał za miecz stając na nogach, i poglądając przed siebie. Smok już cały rzucił się ku braciom, zlany posoką, bo strzała Zaboja uwięzła mu w drugiem, zdrowem ślepiu, z taką siłą, że widać było tylko jej koniec oblepiony piórami. Smok ryczał z bolu i z wściekłości bił ogonem w ziemię tak, że pryskało w górę. W tejże chwili Leszek zdołał zapalić łuczywo umieszczone w mordce jagnięcia i samo jagnie cisnąć przed smoka. Zrobiwszy to zawrócił konia i już sunął się w pędzie kilka kroków, gdy nagle buchnął płomień, rozległ się huk jakby piorunu i dym zakrył wszystko przed oczami Zaboja. Widział on jednak przez jedno oka mgnienie Leszka jak szamotał się ze spinającym się koniem, widział jak nad głową jego błysnął niby wąż oszczep Kraka, jak Leszek rzucił parę razy w powietrzu rękami i... potem wszystko przed oczami zakrył mu dym, kurz, szczątki kamieni rozlatujących się z siłą na wszystkie strony.

— Coś złego z Leszkiem się stało! Krzyknął Zabój i popędził co miał sił naprzód.

Wśród smrodliwego i duszącego dymu ujrzał najprzód konia Leszka pędzącego gwałtownie naprzód, a potem samego królewicza leżącego na ziemi, z gołą głową, bez hełmu i zlanego krwią. Obok Leszka stał Krak pieszo, ocierając o trawę skrwawiony swój oszczep. Mnóstwo szczątków rozerwanej skały, ziemi, murawy, drgających jeszcze kawałków smoka leżało dokoła.

— Co to się stało?—zawołał Zabój do Kraka odwróconego doń tyłem i zajętego ciągle ocieraniem swego oszczepu. Zadrżał Krak i odwrócił się gwałtownie na słowa Zaboja. Był strasznie, trupio blady. Oczy mu świeciły dziko, a usta drgały jak w febrze. Obrzucił wzrokiem stojącego przed nim Zaboja i przez chwilę miał takie wejrzenie, jakby się chciał rzucić na niego z oszczepem. Ale widząc w ręku Zaboja wielki miecz niemiecki, którym chłopak w uniesieniu groźnie potrząsał, wstrzymał się i stał milczący, patrząc ciągle na niespodziewanie pojawiającego się Zaboja, jak na nieziemskie jakieś zjawisko.

— Kto zabił Leszka?—krzyknął Zabój.

Krak znowu zrobił ruch groźny, ale jeszcze raz się powstrzymał, zwłaszcza, że słychać było głosy ludzkie, tentent biegnących koni, wrzawę spieszącej pomocy.

— Kto zabił?—mruknął, — alboś głupi, alboś oszalał Zaboju, że takie pytanie zadajesz. Smok dosięgnął go pazurem i rozpłatał głowę biednego mego brata.

To rzekłszy siadł na trawie, zakrył rękami twarz i głośno płakać począł. Trząsł się cały w tym płaczu, jakby nim dreszcze miotały, a potem rzucił się na murawę i tarzał się w pyle jęcząc donośnie.

Biedny Leszek leżał tymczasem na ziemi, obsypany pyłem, twarzą do góry po której ciekła krew jeszcze. Piasek dokoła był zlany krwią. Wielkie niebieskie oczy królewicza były szeroko rozwarte z wyrazem przerażenia i niewysłowionej grozy, usta na pół uchylone zdawały się pytać o coś. W ręku trzymał jeszcze zgaszoną świecę woskową, którą mu dał był kupiec carogrodzki. Zabój niezważając na jęki i płacz Kraka, podniósł leżący opodal hełm Leszka i oglądał go starannie. Znać na nim było rysę i zagłębienie jak gdyby od silnego cięcia mieczem.

— Smok niemiał miecza,—mruknął Zabój,— i niech mi nikt nie gada, że Leszek zginął od pazurów smoka. Widziałem ja wśród dymu błysk oszczepu nad głową Leszka.

Mówiąc to, zdjęty wielkim żalem, zbliżył się do leżącego i ciepłego jeszcze Leszka i począł badać jego ranę. Była to wielka, głęboka rysa przez głowę. Cięcie, czy uderzenie było tak silne że mózg wyprysnął. Leszek musiał umrzeć w jednej chwili. Od mnóstwa wylanej krwi, jasne włosy królewicza pozlepiały się i pomieszane z mokrym od krwi piaskiem, leżały jak jakieś brudne ciemno-czerwone pręgi.

Leszek nie żył i Zabój czekając na przybycie ludzi, których słyszał nadchodzących, obrócił się do smoka. Działanie tajemniczego „ognia greckiego,“ jak go nazwał kupiec carogrodzki, było tak silne, że smok został rozerwany na szczątki i tworzył teraz jakąś miękką, grzązką, krwawą masę bez kształtu i życia. Tu i owdzie leżały pojedyncze kawały jego cielska. Owdzie część pancerza, tam kawał szczęki, tu łapa jedna, tam skrzydło. Potwór już nie mógł nikomu szkodzić, został zabity. Zabój podniósł kilka łusek oderwanych od cielska i dziwił się ich twardości.

Jeszcze przypatrywał się smokowi, gdy na czele kilkudziesięciu ludzi nadbiegł Zbiszek a za nim powoli kto żył jeno przychodził, bo wieść się rozeszła, że smok zabity. Wszystkie kobiety wszystkie dzieci z Krakowa krążyły teraz koło potwornego bezkształtnego cielska, które walało się w piasku. Radość ztąd powstałą mroczy tylko smutek z powodu, że zwycięztwo nad smokiem tak drogo zostało okupione, śmiercią królewicza Leszka.

Przyniesiono zaraz ze dworca nosze, położono na nie trupa Leszkowego wśród ogólnego płaczu i poniesiono do dworca. Krak szedł tuż za trupem, zalewając się łzami i ciskając od czasu do czasu ukośne, okropne wejrzenie. Gdy przyniesiono ciało na dziedziniec dworca, wyszedł stary król Krak, wybiegła królewna Wanda i zawodząc głośno, obsypywać poczęła krwawą głowę Leszka

pocałunkami. Jęk, płacz był tak wielki, że serce pękało.

Złożono ciało w świetlicy i płaczki przyszły i omyły ze krwi i piasku biedną głowę królewicza i zawodziły cały dzień nad nim. Nad Wisłą na piasku układano już wielki stos na którym zwłoki królewicza nazajutrz miały być spalone.

Wieczorem tegoż dnia zagadnął Lisek Zaboja.

— Powiedz mi Zaboju, nie widziałeś jak ten smok rozpłatał głowę królewiczowi?

— Smok Lisku?—to nieżaden smok; jeno brat rodzony. Wśród dymu widziałem podniesiony oszczep jego, widziałem jak Leszek rzucił rękami i jak padł. Powiadam wam, że gotowem przysiądz, że to Krak zabił Leszka.

Lisek usłyszawszy to, uśmiechnął się swym szyderskim uśmiechem i kładąc palec na ustach szepnął:

— Tsstt! o tem nikomu nie gadaj, jeżeli ci życie miłe. Tak ci radzi Zaboju człek, który dawno żyje, dużo widział, i wie że taką tajemnicę źle jest posiadać. Radzę ci Zaboju milcz jak ryba.

XIV.

Pogrzeb Leszka.

Nazajutrz olbrzymi stos, ułożony z suchych i smolnych drzew, wznosił się zupełnie ukończony nad brzegiem Wisły, w pobliżu smoczej jamy, teraz pustej zupełnie. Dzieci i kobiety tłumnie tę jamę oglądały, gdzie zresztą nic oprócz kości nie było. Chociaż smutek z powodu śmierci Leszka był wielki, przecież wszyscy oddychali jakoś swobodniej, weselej i raźniej. Tłumy ludu zeszły się z okolicy, z najdalszych nawet stron i wszystko to rozłożyło się obozem nad Wisłą w pobliżu stosu i smoczej jamy, do której zaglądano. Zbierano starannie rozrzuconą do koła łuskę smoka i chowano ją skrzętnie, jako lekarstwo na wiele chorób i przypadłości. Wielu przybywszy wieczorem nocowało nad rzeką, paląc ogniska, gotując sobie jeść. Ruch był wielki, życia jeszcze więcej.

O świcie, ledwie słońce wschód zarumieniło, wśród tego zbiegowiska zaroiło się jak w ulu.

Rozpalono znowu ognie, kobiety krzątały się koło nich, dzieci krzyczały, wielu mężczyzn kąpało się w Wiśle. Pomiędzy tem rojowiskiem ludzkiem, kręcili się kupcy ze Wschodu, przybyli właśnie na wielki jarmark jaki w święto Kupały odbywał się w Krakowie, i sprzedawali paciorki, świecidła, materye wschodnie, miecze, łuki, hełmy, złote i srebrne przedmioty. Coraz inni ludzie napływali ciągle nad Wisłę. Wielu płynęło na łodziach z tamtej strony rzeki, byli tacy co ją wpław przebywali. Zbiegowisko to głównie dla tego się robiło, że starym obyczajem król miał wyprawić wielką stypę dla ludzi. Jakoż na górze dworcowej rzezano woły i owce, świnie i gęsi, kozy i rozliczne ptactwo. Na rynku uprzątano i wytaczano ogromne beczki miodu i jabłeczniku i piwa. Kilka wołów piekło się już na ogromnych ogniskach pod górą, a niewolnicy królewscy znosili na głowach kosze pełne chleba żytniego i placków owsianych. Stypa zapowiadała się bardzo obficie i coraz też tłumniej na nią ściągano ze wszystkich stron. Wieść o zabiciu smoka rozeszła się daleko piorunem, i wielu przybiegało do grodu dla dowiedzenia się czy to prawda, a zobaczywszy przygotowania do pogrzebu i stypy, zatrzymywało się, czekając na ciekawe widowisko i sytną ucztę. Mężczyzni po większej części na pół nadzy, uzbrojeni byli w łuki i strzały, w maczugi, włócznie lub krótkie oszczepy. Wielu pomimo gorąca miało kożuchy

na sobie, lub niedźwiedzie w switkach białych i wilcze i rysie skóry włosem do góry obrócone. Kobiety były w chustkach na głowie. Dziewczęta tylko były bez chustek, z kosami zaplecionemi i na plecy spadającemi.

Słońce było już wysoko, kiedy z gontyny za Wisłą, na jeziorku, przybył arcykapłan i kilku kapłanów i wylądowawszy wprost, ruszyli do dworca. Kłaniano im się po drodze, a kobiety całowały białe ich szaty i ściskały ich za kolana. Wkrótce potem z jękiem i płaczem wielkim wyniesiono ciało Leszka. Arcykapłan i kapłani szli koło zwłok i głosem smutnym, grobobym wołali co chwila:

— Halele Lele po coś ty umarł?

A w odpowiedzi na to rozlegał się jęk płaczek i płaczków, którzy w rozpaczy targali się za włosy, ranili sobie twarz i zawodzili tak żałośnie, że wkrótce wszyscy płakali i ze wszystkich piersi rozlegał się jeden wielki jęk. Zwłoki Leszka ubrane w świtkę z purpury, leżały odkryte i widać było jego bladą twarz i bujne złote włosy, nakryte hełmem i rysim łbem. Nogi miał obute, odwiecznym obyczajem, w lipowe postoły, nowiutko zrobione i przytwierdzone rzemieniami do kostek. Za nim niesiono jego oszczep, łuk, i kołczan pełny strzał i prowadzono myszatego konia, na którym stoczył ostatnią walkę ze smokiem. Gdy zobaczono tego bladego trupa ulubionego przez wszystkich młodzieńca, płacz je-

szcze bardziej się wzmógł, a niewiasty aż tarzały się po ziemi z wielkiej boleści. Kilka dzieweczek rzucało kwiaty na zwłoki. A kapłani wciąż swym grobowym, ponurym głosem wołali:

— Halele Lele po coś ty umarł? Nie miałżeś co jeść i co pić i pocóżeś ty umarł?

Za zwłokami, za koniem Leszka postępował król Krak, z twarzą bladą i strasznie zmienioną. Co chwila podnosił rękę i ocierał łzy kapiące mu z oczów jak groch. Wielki jego bobrowy kołpak z czaplem piórem, drżał mu na głowie. Szedł potykając się jak człowiek, który nic nie widzi i spierał się na ramieniu drugiego a teraz jedynego swego syna, królewicza Kraka. Ten był blady i płakał także. Wielki hełm przykrywał mu czoło i rzucał cień na oczy, dziko patrzące dokoła. Obok króla z drugiej strony postępowała królewną Wanda w wieńcu na głowie, gołej i okrytej tylko bujnemi zwojami złotych włosów. Była ona bladą niezmiernie, i żałośliwie płakała łamiąc białe rączki. Za nią posuwało się kilka kobiet i dziewek jej służebnych i płacz był tak wielki, że kamienie by poruszył. Orszak kończył stary, zgarbiony Zbiszek, Zabój, Lisek i tłum ludu. Zbiszek niósł wielką urnę glinianą, w którą miały być zebrane popioły Leszka. Kilku starych gęślarzy i kobziarzy wydobywało ze swych narzędzi żałosne tony podnosząc jeszcze bardziej boleść ogólną.

Cały ten orszak powoli i z wielką uroczystością posuwał się ku stosowi, ułożonemu nad brze-

giem Wisły, gdzie już stali pachołcy z zapalonemi łuczywami, od których dym smolny, przy ciszy letniego poranku rozchodziły się daleko. Słońce padało wprost na bladą twarz trupa, i oświecało ponure, sine jej rysy. Wietrzyk leciutko chwiał złotemi włosami zmarłego. Psy w mieście, poruszone jękiem ogólnym wyły żałośnie, powłaziwszy na strzechy.

Nakoniec zbliżono się do stosu, który tłum otoczył do koła. Zwłoki wniesiono na szczyt, ułożono na wznak, na najsmolniejszych drwach. Potem związano mocno konia łańcuchami żelaznemi i także umieszczono na stosie obok zwłok królewicza. Łuk i strzały Leszka rzucono między drwa. Płaczki wciąż zawodziły żałośnie a kapłani rzucali swe ponure pytania, które chórem powtarzali wszyscy mężczyzni. Gęślie wciąż żałośliwie brzmiały.

Na skinienie arcykapłana pachołcy dzierżący smolne łuczywa, podpalili niemi stos, który złożony z drew suchych i żywicznych, starannie w tym celu wybranych, w krótkim czasie buchnął wielkim płomieniem. Wszyscy zaraz odsunęli się na znaczną przestrzeń, tylko kilkunastu ludzi zaopatrzonych w długie tyki otoczyło stos, żeby nie dać uciec koniowi, który palony ogniem rzucał się jak szalony i rżał żałośliwie, ale łańcuchów krępujących go zerwać nie mógł. Płomienie ogarnęły wkrótce wszystko i cuchnący dym palącego się ciała rozchodził się do koła.

Koń tak się rzucał, że stos pod nim zawalił się i biedne zwierzę wpadło do środka, gdzie go nakoniec dym zadusił. Ludzie otaczający stos, tykami podgarnęli rozlatujące się drwa, i olbrzymi płomień wzbił się w górę, pochłaniając zwłoki nieszczęśliwego królewicza Leszka.

Stos gorzał bardzo długo i musiano drew dokładać kilkakrotnie, żeby spopielić zupełnie zwłoki królewicza i konia. Król Krak, jego rodzina, znaczniejsi mężowie i kapłani nie czekali na to, ale wrócili do dworca. Lud zaś ucztował na rynku miasta, a gęślarze grając na gęślach wychwalali w śpiewie bohaterskie czyny Leszka. Do późnej nocy w ten sposób ucztowano, a zebranie popiołów miało nastąpić dopiero nazajutrz.

Stos tlił się przez całą prawie noc i nad ranem dopiero przygasł. Zaraz też o świcie z równą jak dnia poprzedniego uroczystością, w obecności kapłanów, królewicza Kraka i królewny Wandy, oraz starszyzny i niezliczonego tłumu ludu przystąpiono do schowania popiołów spalonych zwłok Leszka. Stary król Krak nie był już na tej uroczystości. Zachorował bowiem mocno i leżał w swej świetlicy jęcząc i płacząc.

Wyszukane bardzo starannie, niespalone jeszcze zupełnie kości biednego Leszka włożono w urnę i urnę tę procesyonalnie poniesiono daleko za miasto, na górę porosłą lasem, gdzie na jej szczycie zakopano w ziemię.

Tak się zakończyły uroczystości pogrzebowe, trwające blizko trzy dni. Lud począł się rozchodzić i Kraków tak przez chwilę ożywiony przybrał zwykłą swą postać. Owszem zachowywano się z pewnym smutkiem, bo obiegały wieści że stary król Krak niebezpiecznie jest chory. Smutek ten był tem większy, że wieść o zamordowaniu Leszka przez brata poczęła wszędzie obiegać, wszyscy o niej mówili i domagali się pomsty. Mówiono, że hełm miał na sobie rysę jak od cięcia mieczem, że gdyby smok zawadził był pazurem o głowę Leszka, to byłby my skórę z włosami zdarł, ale nie zrobiłby takiej strasznej głębokiej rany.

Wieści te mówili wszyscy, powtarzano je sobie w dworcu królewskim, ale do uszu starego Kraka jeszcze one nie doszły. Oszczędzono mu tej ostatniej boleści, zwłaszcza, że powszechnie mówiono, że król długo nie pożyje. Śmierć ulubionego syna zwaliła go z nóg. Sprowadzono różnych wróżbitów, czarodziejów i czarownice do króla ale to nie wiele pomagało. Aż ktoś, Lisek podobno, poradził żeby sprowadzono sławną czarownicę babę Jagnę, mieszkającą w puszczy pod Łysą-Górą, o dwa dni drogi od Krakowa. Słyszał Lisek o niej wiele gdy w tamtych był stronach.

— Gadali tam, opowiadał Zbiszkowi, że baba Jagna potrafi zmarłych wskrzeszać, starych odmładzać, po powietrzu latać, przemieniać się w pta-

ka, rybę, kota, w co się jej podoba. Wielka to ma być czarownica.

Zbiszek dziwił się temu wszystkiemu i odpowiadał:

— Bywa to, bywa, tak na świecie.

Ale sam nie chciał się rozporządzać i poszedł do królewicza Kraka, zapytać się czy posłać po ową czarownicę. Królewicz Krak, który teraz po całych dniach, uzbrojony jak na wojnę, łaził po górach i lasach okolicznych ponury i dziki, albo siedział przy chorym ojcu, gdy mu Zbiszek powiedział o wielkiej czarownicy, spojrzał z podełba na mówiącego, mruknął coś niezrozumiale i odwracając się tyłem do Zbiszka, bo nikomu teraz w oczy nie patrzał, rzekł:

— Poślijcie kiedy chcecie.

Królewna Wanda, do której Zbiszek także poszedł po radę, aż klasnęła w białe rączki i zawołała:

— Natychmiast Zbiszku posłać. Wszyscy parobcy dworscy niech jadą. Konie rozstawić i sprowadzić onę czarownicę rozstawnemi końmi.

Jakoż Zbiszek tak zrobił, kazał Liskowi zaraz ruszyć i dał mu dziesięciu parobków i kilkanaście koni, żeby je rozstawiono po drodze, żeby onę babę czarownicę „Wielkiego Ożoga,“ jak ją zwano, sprowadzić jak można najprędzej. Z Liskiem pojechał także Zabój. Powrotu ich oczekiwano z niecierpliwością, gdyż stary król codzień był słabszy. Co dzień rano kazał zwoły-

wać starszych do siebie i gadał z nimi o wojnie z Niemcami, o Rytygierze, który miał przyjść niedługo pod Kraków i nalegał, by zgromadzono wojowników, by smolne pozapalano beczki na górach, by rezesłano gorejące wici po wszej krainie.

— I ja teraz choruję, narzekał kiedy wroga jeno patrzeć. Starsi potakiwali mu, ale o wojnie nie myśleli, bo nic o Niemcach i o Rytygierze słychać nie było. Do puszczy wysłano tylko na przeszpiegi kilkudziesięciu ludzi. Sławka pasiecznika ostrzeżono, by się miał na baczności, do gontyny Jeszego w puszczy posłano o tem wiadomość i na tem poprzestano. Wszyscy byli więcej zajęci chorym królem, pogłoską o zabiciu Leszka przez młodszego Kraka, niż wojną, którą uważano za majaczenie chorego. Zbiszek wprawdzie dobrze wiedział co o tem trzymać, ale stary od śmierci ulubieńca swego Leszka i w obec choroby króla stracił głowę i łaził po dworcu jak nieprzytomny.

XV.

Czarownica Jagna.

Lisek i Zabój drugiego dnia podróży nad wieczorem dobili się nakoniec do chaty baby Jagny. Chata owa stała w głębi czarnej, bukowej puszczy, w strasznem wyrwisku między skałami, tuż u podnóża Łysej - Góry, na szczycie której stała sławna gontyna bożka Lelum-Polelum. Chałupka to była niewielka z belek grubych zbudowana, mchem i gliną utkana, ukryta w owym wąwozie, między gąszczem leszczyny, jałowcu i głogu. Prawie pod samą chatą przepływa potok górski, z czystą jak łza wodą, szumiąc i pieniąc się po skalistym, pełnym zagięć i spadków gruncie, stanowiącym jego dno. Lisek całe popołudnie błądził po puszczy nim nareszcie przed samym zachodem słońca zdołał odszukać chatę Jagny. On i towarzysze jego, których było pięciu, bo resztę trzeba było ustawić przy rozstawionych na drodze koniach, byli niesłychanie zmęczeni tą

podróżą, prawie wśród ciągłych puszcz i lasów rzek i strumieni, gór i skał rozmaitych.

Prawie ciemno było, gdy stanęli pod chatą Głucha cisza, kołysana szmerem odwiecznych buków i szumem potoku otaczała chatę. Ze strzechy otworem u szczytu umieszczonym, wydobywał się dym i tłumiony szerokiemi konarami drzew rozłaził się leniwie do koła.

Lisek zeszedł z konia i kazał toż samo uczynić Zabojowi, reszcie zaś towarzyszy otoczyć dokoła chatę baby Jagny i uważać, gdy on krzyknie, żeby zaraz trzech wpadło do izby jemu na pomoc. Postanowił bowiem, że gdyby czarownica jechać nie chciała wziąć ją mocą, choć z drugiej strony wolałby łagodnie rzecz całą załatwić. gdyż w gruncie rzeczy, bał się trochę baby.

— A nuż, urok na niego rzuci, przemieni go w kota, psa albo kamień? i postanawiał w ostateczności uciec się do gwałtu.

Zabój z wielkim strachem zeszedł z konia i stanął z Liskiem przy drzwiach chaty. Wszystko tu bowiem było straszne. Dzika okolica, posępna pustka, wyrwy skaliste zakrywające widnokrąg, olbrzymie, odwieczne drzewa, szum potoku i nakoniec na dobitką ujrzał Zabój rozpiętego na drzwiach chaty wielkiego puhacza. Skrzydła i ogon miał on przybite kołkami do drzwi i patrzał szklistemi, martwemi okrągłemi oczami przed siebie. Aż się wstrząsł Zabój na ten wi-

dok, ale patrząc, że Lisek nie zważa na to, tylko śmiało kołacze do drzwi, nabrał jakoś odwagi.

Przez długi czas nikt nie otwierał drzwi zbitych z mocnych dębowych desek, tylko słychać było jakieś ponure mruczenie. Nakoniec usłyszeli dobijający się trzask otwieranych drugich jakichś drzwi, ciężkie jakieś stąpanie, sapanie i głos gruby, prawie męzki a jednak kobiecy, chrapliwy, i drżący od starości, odezwał się:

— A kto tam i czego potrzebuje?

— Otwórzcie babciu,—rzekł Lisek,—otwórzcie! Sprawa bardzo pilna.

— Pilna? a ja niemam nic pilnego na świecie. Więc idźcie sobie zkądeście przyszli i nie depczcie mi tam z tyłu chałupy kwiatków, trawek i ziółek...

Zakasłała się przytem okropnie i spluwając a sapiąc człapała się od drzwi w głąb chaty. Żadnego zresztą światła nie było widać, a noc coraz ciemniejsza w puszczy zapadła. Ten głos ponury baby czarownicy, to że wie iż otoczono jej chatę, wywarło zabobonne wrażenie na obecnych, nawet Lisek uczuł jakieś dreszcze, choć niepokazywał tego po sobie. Zabój całkiem stchórzył i ukrył się za plecami Liska.

Ten przez chwilę milczał, nakoniec zdobywając się na odwagę, począł znowu stukać coraz silniej do drzwi. Ale wewnątrz już nic się nie ruszało i nie dawało znaku życia. Cisza niczem niezamącona panowała wewnątrz a zewnątrz, tyl-

ko wiatr szumiał między drzewami, konie parskały i w głębi puszczy gdzieś porykał dziki zwierz. Lisek dobijał się ciągle, a gdy to nie pomagało, zatrzymał się i rzekł na pół do siebie, na pół do Zaboja:

— Co tu robić? niech bies porwie czarownicę.

— Czy by Lisku nie było lepiej poczekać do rana?—wtrącił nieśmiało Zabój, któryby dużo za to dał, żeby mógł być ztąd o sto mil.

— Zaczekać do rana? śmierć braciszku nie czeka, i każda chwila dla starego króla jest droga. Zresztą czart wie, czy babę rano jeszcze znajdziemy w norze. Może wyfrunąć.

— A którędyż by wyfrunęła? Przecież pilnujemy dobrze całej chałupy.

— Pilnujemy! pilnujemy!—mruknął z niechęcią Lisek.—Nie wiesz to czy co, że czarownice mogą się zamieniać w co chcą i choćby dymnikiem wylecą na świat na ożogu, na Łysą Górę na wesele czarownic. Bodajże ją...

I znowu się począł dobijać coraz silniej, już teraz w gniewie zapominając o strachu i o wszystkiem. Miał ochotę kazać podłożyć ogień pod chałupę i spalić babę Jagnę, jeśli nie wyjdzie. Ale nie trzeba było uciekać się do tej ostateczności, gdyż znowu rozległ się suchy kaszel, człapanie nogami i drżący gruby głos się odezwał:

— Czego ty Lisku chcesz odemnie? Idź mówię ci z Bogiem!

Lisek usłyszawszy swe imię wymówione przez babę, zdrętwiał. Oczy wytrzeszczył, usta szeroko rozwarł i stał tak niemy, nie wiedząc co robić i mowić. Gdyby był przytomniejszy i gdyby go był zabobon nie zaślepiał, byłby się domyślił że baba podsluchała jego rozmowę z Zabojem. Ale w tej chwili był tem przerażony.

— Zkąd wiesz moje nazwisko, babo Jagno?— spytał drżącym głosem.

— Ja wszystko wiem. Wiem pocoście tu przyjechali.

— No, po co?

— Stary król jest chory, umierający i chcecie bym go leczyła: Ale i ja jestem stara i po nocach tłuc się nie będę...

Głos jej choć drżący i przerywany częstym kaszlem, był jednak tak donośny, że prawie wszyscy słyszeli dobrze jej słowa. Zdumienie i przerażenie było ogólne. Wszyscy lękali się tajemniczych potęg, jakiemi władała stara baba Jagna. Ten i ów oglądał się nawet i pytał, czyby nie lepiej było drapnąć z tego zaczarowanego miejsca, dopóki się ma całą głowę na karku. Ale Lisek był uparty i zwykle coraz sobie postanowił tego zawsze dokonał. Ochłonąwszy więc trochę ze zdziwienia rzekł.

— Otwórzcie babciu Jagno, otwórzcie, pogadamy ze sobą. Nie trzymajcie nas na dworze, w lesie, przez noc. Zimno jest i wietrzno.

— Dobrze, otworzę wam.

To rzekłszy, kaszląc ciągle okropnie i stękając, poczęła odsuwać ciężkie drewniane zasuwy, a potem z trzaskiem rozwarła drzwi na oścież. Przed Liskiem i kryjącym się ciągle za nim Zabojem ukazała się sionka ciemna i czarna, słabo oświecona blaskiem dostającym się przez uchylone drzwi z izby. W tej ciemności, na tym tle niepewnych i bladych blasków majaczyła jakaś postać wysoka, czarna, z ogromną głową.

— Chodźcie do izby!—rzekła i człapiąc zniszczonem widać obuwiem z łyka, szła ku izbie, do której rozwarła drzwi zupełnie i do sionki wpadło więcej światła. Będący w pobliżu Liska i Zaboja dwaj parobcy ciekawie zaglądali do tej sionki. Lisek zaś zawahawszy się przez chwilę, wszedł do niej, pociągając za sobą Zaboja.

W sieni teraz jako tako oświeconej nie było nic więcej krom drabiny prowadzącej na strych, wielkiej łopaty drewnianej i opalonej od ognia miejscami, dużej miotły z lipowych rózg i parę statków z klepek bukowych zbitych. Silna woń suszonych ziół, rumianku, lipowego kwiatu i innych, rozchodziła się dokoła.

Baba zatrzymała się przez chwilę w oświeconych drzwiach od izby i zwróciwszy się do swych gości, kaszląc i stękając ciągle, rzekła:

— Chodźcie do izby,—i sama pierwsza weszła.

Z wyraźnym niepokojem stanęli obadwaj we drzwiach i bystrym wzrokiem obrzucili całą izbę. Przedewszystkiem więc przypatrzyli się samej

babie Jagnie. Usiadła sobie ona na ławie przy wielkim kominie zbudowanym z gliny i kamieni, z okapem nad nim, przez który dym się wydobywał. Na kominie gorzało wielkie ognisko i stały przy nim garnki i rynki, i w nich coś głośno warzyło się i skwierczało wydając mocną, kwaśną woń. Sama baba kaszlała okropnie. Ubrana w długą skórę z wilka, włosem do góry, na głowie miała, na siwych ogromnych włosach czerwoną, kraciastą chustkę, zawiązaną w kształcie turbana. Twarz jej była nadzwyczajnie stara, zgrzybiała, pomarszczona i nos haczykowaty, usta wązkie i zawiędłe. Jedyne ale za to silne życie gorzało z czarnych, przenikliwych o ostrym i surowym wyrazie oczów. Na brodzie rosło jej kilka długich siwych włosów szpecąc jeszcze bardziej, już i tak szpetną twarz. Od ogniska buzującego na kominie padały na tę twarz starą, brzydką i pomarszczoną migotliwe blaski, włóczyły się po kątach tej dużej izby i oświecały mnóstwo przedmiotów, których widok zwiększył jeszcze bardziej zabobonny strach w Lisku i Zaboju.

Tuż przy czarownicy siedział na tylnych łapach, jasno oświecony od ognia czarny kot i mruczał, patrząc niespokojnie błyszczącemi ślepiami na gości. Po izbie, po glinianej polepie skakał kruk i sroka, szukając żeru i dziobiąc to i owo. W kącie przy drewnianych statkach i garnkach, stała łopata i ożog, na krzyż złożone. U pułapu wisiały pęki ziół rozmaitych, olbrzymie jakieś ko-

ści, głowa z wielkiemi rogami nieznanego zwierza, zasuszone żaby, węże i jaszczurki. Przy ścianie na wprost drzwi na deskach leżała trupia główka i pełno białych kości. Tuż przy deskach na podwyższeniu z gliny leżał grubo mech i siano, na tem kożuch i spódniczyna z samodziału brudna i podarta. To wszystko co było w tej izbie, ale i tego było dość, by zdwoić strach w przybyłych.

Baba milczała, rzucając tylko ukośne i ciekawe spojrzenie na przybyłych, jakby ich chciała przeniknąć do gruntu. We wzroku jej jednak widać było pewne niedowierzanie i pewną, starannie zresztą ukrywaną obawę.

Pierwszy Lisek, który najprędzej przychodził do siebie przerwał milczenie.

— No babciu Jagno, pojedziecie z nami do króla,—rzekł kłaniając jej się lekko.

Nic nie odpowiedziała, tylko wstała i zajrzała do skwierczącej zbyt głośno rynki i warząchwią coś tam poprawiła, a potem siadając i zakładając ręce na brzuchu mruknęła opryskliwie:

— Lisku, daj mi mówię spokój. Będę ci tam taki kawał drogi, za dziesiątym borem, za siódmą górę i za trzecią rzekę, tłukła moje stare kości. A co mi, że twój król chory, niech sobie będzie chory. Wielka mi rzecz król. Nie takich ja widziałam. Jeszcześ ty Lisku piersi matki ssał, kiedym ja patrzyła na króla Obrów, strasznego narodu. To był król, a nie tam jakiś twój Lisku

królik. To prawdziwy mysi królik. Niech sobie tam zamrze ten twój królik, kiedy na niego czas przyszedł śmierci. Wszyscy pomrzemy jak czas przyjdzie.

— Ale kiedy na króla Kraka nie przyszedł jeszcze czas, jeno ze zmartwienia zachwiał,—wtrącił nieśmiało Zabój.

Stara podniosła oczy, jakby go dopiero pierwszy raz zobaczyła i rzekła:

— A ten co mi tam gada! Młokosy milczą przy starszych. Niby to ja nie wiem, że Krak zachorował ze zmartwienia. Ale on i tak umrze, wszyscy musimy umrzeć.

To rzekłszy znowu się zerwała, bo z rynki jakiś brudny płyn kipieć począł. Tymczasem Lisek rzekł:

— No, jedźże babciu z nami. Król Krak i królewna Wanda udaruje was sowicie. Da wam piękne szaty czerwone.

— Co mi tam jego szaty, drwię ja sobie z jego szat. Mam ja swą wilczurę a to mi starczy na dłużej, niż wszystkie czerwone szaty królewskie.

Zakaszlała mocno i dodała:

— Dobrze, pojadę z wami jutro świtaniem, a teraz idźcie w sieni i na strychu spać. Idźcie!

Wypchnęła ich lekko z izby i zatrzasnęła im drzwi przed nosem.

XV.

Podróż z czarownicą.

Chociaż Lisek i Zabój zaproszeni zostali przez czarownicę do przepędzenia nocy w sieni lub na strychu, jednakże nie korzystali z tego, ale, wynieśli się do lasu, do swych towarzyszy. Sąsiedztwo z babą Jagną, pod jednym dachem nie uśmiechało im się wcale. Woleli mieć nad sobą sklepienie niebios, jak pełną tajemniczych niebezpieczeństw strzechę starej wiedźmy. Nic więc nie mówiąc, zadowoleni że nakoniec uzyskali jej zgodzenie się na wyjazd jutro o świtaniu, że po uciążliwej i pospiesznej podróży będą mogli sobie odpocząć trochę, zwołali swych towarzyszy, kazali konie popętać i puścić do lasu i rozpalić wielkie ognisko. Co kto miał przy sobie w kobiałce to zjadł i ułożywszy się że kolejno jeden czuwać będzie, poowijali się w kożuchy i legli spać. Do snu kołysał ich poważny szum starych buków, ryczenie zwierza dzikiego w puszczy,

krzyk orła na skałach i hukanie puhaczy, których tu liczne było mnóstwo. Nietoperze koło ogniska latały tłumnie, budząc w czuwających zabobonny jakiś strach, tak że w końcu dla odwagi po dwóch czuwało kolejno. W chacie czarownicy było cicho i ciemno.

Noc krótka, bo czerwcowa minęła szybko na wielką radość czuwających. Różany świt wyjrzał z poza skał i gór i oblał blaskiem puszczę, wyrwy kamienne, chatę czarownicy, puszczę i szemrzący potok. Przy świetle dziennem, cała ta miejscowość wydała się jeszcze dzikszą i straszniejszą niż w nocy. Skały na różowem tle nieba rysowały się wyraziście, poszarpane, połamane, ostre i nieprzystępne. Na jednym ze szczytów widać było gniazdo orła i kołyszącego się wśród błękitów na wielkich swych skrzydłach tego króla ptaków. Ognisko w lesie, zapalone przez podróżnych dogasało i jego żółte i czerwone płomienie napróżno usiłowały toczyć walkę ze światłem dziennem. Obfita rosa spadła i mgły włóczyły się po puszczy. Zimno było przenikliwe. Wszyscy pozrywali się ze snu i tuląc się w kożuchy, usiłowali się rozgrzać.

Chata czarownicy ciągle była zamknięta i widać było tylko rozpiętego puhacza na jej drzwiach Z dymnika długą wstęgą wydostawał się dym, co dowodziło że baba Jagna jest we środku i że czuwa. Ale prócz tego, najmniejszego innego znaku życia nie dawała.

Tymczasem słońce leniwie podnosiło się ku górze, a z jego pojawieniem puszcza zabrzmiała świergotem ptastwa rozlicznego. Ziemby i wilgi skakały po krzakach nad potokiem, gdzieś z poza skały dochodził klekot bociana, krzyki żórawi i kukanie kukułki. Kwiaty, dzikie róże, głóg i kaczeniec nad potokiem, roztwierały swe kielichy przepełnione rosą, i pszczoły już z jakiejś barci leśnej, brzęczały dokoła. Wielki bąk czarny z czerwoną na tyle przepaską huczał, szukając żeru. Po puszczy szedł jakiś świeży, gorzki oddech, orzeźwiający, przesycony aromatem żywicy i wonią bujnej roślinności.

W chacie czarownicy wciąż panowało milczenie. Przerwała je dopiero czarna kura, która gdacząc wypadła z dymnika i z krzykiem wyfrunęła na ziemię. Dwóch parobków, którzy stali bliżej chałupy, zobaczywszy tę czarnę kurę, uciekli przestraszeni do ogniska, do Liska i Zaboja. Kura strzepnęła skrzydłami i najspokojniej nie zważając na przypatrujących jej się podróżnych, grzebać i dziobać poczęła piasek koło chaty. Zabó był przekonany, że w tej czarnej kurze siedzi sam bies i z ogromną nieufnością poglądał na nią i dziwił się, że ona, tak jak wszystkie kury na świecie, rozgrzebuje ziemię nogami a potem dziobie.

Nakoniec rozwarły się drzwi i ukazała się w nich baba Jagna. Ubrana była w swą wilczurę włosem do góry, w czerwoną chustkę na siwej głowie i w lipowe postoły. W jednem ręku

trzymała ożóg, opalony na końcach, który wczoraj Lisek i Zabój widzieli w chacie, w drugiej słomianą kobiałkę starannie łykiem owiązaną. Przy dniu wydawała się jeszcze brzydszą i starszą jak wczoraj. Była tak wysoka, że schylić się musiała we drzwiach. Trzęsła się cała i kaszłała mocno, spluwając co chwila. Obejrzała się dokoła i zamknęła za sobą dzwi, założyła je na kołek i stękając głośno powlokła się ku stojącym w milczeniu koło ogniska podróżnym. Szła kaszląc i opierając się na swym wielkim ożogu jak na kiju. Zbliżywszy się do ogniska zatrzymała się i rzekła swym donośnym, ale drżącym głosem:

— Kiedyż jedziemy? Jest-li dla mnie koń? boć przecie piechotą do waszego królika chorego nie pójdę.

— Konie są babciu Jagno, odrzek Lisek,—czekaliśmy na was i zaraz pojedziemy. Ale myśleliśmy, że nam dacie co jeść, bo wszystko cośmy mieli wczoraj na wieczerzę spożyliśmy.

— Sługi królewskie! zaśmiała się szydersko— od króla przybywają i jeść co nie mają. Dobrze wam tak, macie króla, niechże ten król, kiedy taki jest mocny, że tylu mężów za łeb dzierży, da wam teraz jeść!

Śmiała się ciągle swym szyderskim śmiechem pokazując szereg czarnych, szkaradnych zębów.

— Ja nie poluję, nie sieję, ani orzę, nie jestem też królową bym wam jeść dała. Kosteczki mam trupie, główkę dziecka onegdnaj zmarłego

żaby zasuszone, węże uwędzone, jaszczurki solą posypane, juszkę z psa wściekłego, mózg kobiety zmarłej nagle, wątrobę wisielca, gardziel topielca, kiszki przez zmorę uduszonego, serce przez zbójców zamordowanego... Oto co ja mam. Chcecie to wam dam...

Śmiała się cicho, ukazując swe zęby i trzęsąc się jakby dreszcze miała, poglądając do koła na obecnych, przerażonych do najwyższego stopnia.

— A mam też tu jeszcze w kobiałce, kiełbasę zrobioną z trupa niedopalonego na stosie. Na stypie go moje kumy jadły ale niedojadły. Więcem sobie kiełbasę na drogę zrobiła i jestem gotowa. Chcecie to wam urwę kawałek i dam... Kiełbasa przednia, jak mię widzicie...

Oblizywała się szkaradnie i śmiała się ciągle.

— Nie chcecie? ano to wam nie dam nic i mrzyjcie z głodu jak psy ostatnie, wy pieski królewskie... No, dajcież tego konia, bo nie to siądę na ożóg i pojadę na Łysą górę na wiec czarodziejski a nie do waszego królika, któremu się już nie dużo należy.

Wszyscy pragnęli jak najprędzej ztąd odjechać, z tych miejsc ponurych i dzikich, bo zdawało im się, że czarownica nie będzie miała gdzie indziej takiej mocy, jak tu koło swej chaty. Spędzono więc konie, i dano jednego wiedźmie. Żwawo na niego siadła, po męzku, i jeno widać było zpod wilczury jej suche, czarne kościste nogi.

— Komu w drogę to i czas!—rzekła machając swym ożogiem dokoła.

Ruszono też żwawo zaraz. Zabój i Lisek z babą Jagną jechali na przodzie, za nimi inni. Czarownica, jak była z początku rozmowna, tak teraz umilkła, kaszlała ciągle i stękała. Nie mieli też i inni ochoty do rozmowy, przy tej szkaradnej babie, żywiącej się mózgiem trupiem i kiełbasami z ciała ludzkiego. Wierzyli w to wszyscy mocno. Zresztą głodni byli, a jak wiadomo, u przodków naszych zawsze było tak, że byli źli nierozmowni na głodno. Jechano więc w ponurem milczeniu wśród dzikiej i skalistej puszczy.

Szczęściem natrafiono w puszczy na ul z pszczołami, mieszczący się w dziupli uschniętego dębu. Wybrano trochę plastrów miodu i tem się pożywiono, wysysając wosk. Potem spotkano stado sarn i jednę ubito, a choć miano przed sobą dużą jeszcze drogę, jednak zatrzymano się, by sarnę upiec i zjeść, tak byli wszyscy głodni. Kiedy się nasycono, zaraz byli wszyscy weselsi i rozmowniejsi.

Podróż zresztą aż do samego Krakowa odbyła się szczęśliwie bez żadnego wypadku. Raz tylko gdy się przeprawiano przez dużą i bystrą rzekę, Lisek, który ostatni jechał o mało nie utonął. Koń jego bowiem czy osłabł, czy mu się coś stało, dość że szedł na dno. Ale Lisek zeskoczył i wyciągnął z wody konia i szczęśliwie do brzegu dopłynął z nim. Baba Jagna pa-

trząc na to z brzegu, krzyczała swym ochrypłym głosem:

— Nie bój się Lisku, nie utopisz się, nic ci nie będzie. Co ma wisieć, nie utonie—a potem dodała a choćbyś utonął, to i nie wielka szkoda bo i tak niedługo cię obwieszą na szubienicy.

Lisek śmiał się niby z tego, ale strasznie mu się przykro zrobiło i teraz naprawdę bał się starej czarownicy. Ona przez całą drogę była bardzo rozmowna. Ze zręcznością wytrawnej oszustki to od Liska, to od Zaboja lub parobków, powoli dowiedziała się wszystkiego. Gdzie Krak mieszka, że mu syn starszy zginął niedawno w walce ze smokiem, ale prawdopodobnie był zabity przez młodszego brata Kraka, że król rozchorował się ze zgryzoty, że Zabój przyniósł wieść, jakoby Niemcy szli na Kraka, że wojewoda ich chce się żenić z Wandą, a w razie przeciwnym grozi ogniem i mieczem, słowem, o wszystkiem nieznacznie się dowiedziała. Otaczający ją byli zdumieni i przerażeni, gdy od czasu do czasu powiedziała im coś takiego, o czem zdawało im się, że ona wiedzieć nie powinna, a o czem oni ani ją zawiadomili, nie domyślając się nawet tego.

Tak z niezwykłą na owe czasy szybkością, przy pomocy rozstawionych koni, dostano się szczęśliwie do Krakowa i do gródka na Wawelu.

Tu nasi podróżni dowiedzieli się, że król ma się źle. Królewna Wanda, gdy jej doniesiono,

że Lisek przyjechał z czarownicą Jagną, chciała by ta natychmiast szła do króla. Ale baba uparła się:

— Nie pójdę dzisiaj, nie pójdę i koniec. Zabijcie mnie a ja nie pójdę. Ja sobie odpocząć muszę, stara jestem i dychawiczna jak koń. Ja muszę czary zrobić, moich kum wiedźm się poradzić. Nie pójdę dzisiaj, jeno jutro. Nie bójcie się, Krakowi nic nie będzie do jutra. Wytrzymał dotąd, wytrzyma i dłużej. Dajcie mi gdzie spać, na mchu i sianie, bo na słomie ja nie śpię. Bies by mię porwał. Na paździerzu jeno psy śpią... O północku wstanę i na ożogu pojadę.

Gadała tak śmiejąc się i ukazując swe czarne zęby, do Zbiszka, który bał jej się okropnie i wszystko spełniał co kazała. Ponieważ we dworcu nie było mchu, posłał więc po niego umyślnie dwóch pachołków na koniach, by go przynieśli. Dano jej osobną izbę.

Baba była rozumna, i nie chciała dla tego tylko iść zaraz do chorego Kraka, żeby zapoznać się wprzódy dokładnie z miejscem i ludźmi i o tem, o owem się wywiedzieć., Przyjechała rano i dopiero nazujutrz miała pójść. Było więc dość czasu na wszystko. Pół dnia siedziała w swej izbie zamknięta i spała zapewne na miękkim mchu i sianie; a pół dnia i część nocy włóczyła się po całym dworcu. Zapoznała się z kilku staremi niewiastami, które jeść gotowały we dworcu i świtki szyły i wyciągając je na rozmowę,

dowiedziała się mnóstwo drobnych, ale dla niej ważnych rzeczy. Dowiedziała się więc, że starsi mężowie, których było dwunastu przy królu Kraku, nabyli prawie pewności, że to młodszy Krak zabił Leszka. Znalazło się bowiem jakieś chłopię, które przypadkiem zalazło wtedy za rakami w krzaki nad Wisłę i ukryte tam widziało wszystko, — że zatem starsi postanowili wypędzić młodego Kraka z ojczyzny, ale nie chcą martwić umierającego ojca, czekają z tem aż do jego śmierci — że królowanie mają potem oddać królewnie Wandzie. o wojnie z Niemcami mówiono we dworcu, że od kilku opoli w puszczy, przybyli posłowie donieść o pojawieniu się Niemców i prosząc o pomoc. Starsi więc nakazali, by jutro zapalano wiec w całym kraju i by się zbrojni zgromadzali, gdyż sądząc po wszystkiem Niemcy w ciągu kilku dni najdalej, staną pod grodem.

O tem wszystkiem wywiedziała się Baba Jagna, i tak przygotowana, nazajutrz o świtaniu została wprowadzona do świetlicy chorego króla Kraka.

XVII.

Śmierć króla Kraka.

Z wielką uroczystością wprowadzono babę Jagnę do komory królewskiej. Szła w swej wilczurze, włosem do góry wywróconej, w swej chuście czerwonej na siwej głowie, ponura i dzika, rzucając dokoła wejrzenia pełne przenikliwości. Niosła swój ożóg i dzieżę dużą. Za nią postępował królewicz Krak, Zbiszek, Zabój, Lisek, kto jeno mógł się wcisnąć do świetlicy królewskiej.

Krak blady, zmieniony, wyschły jakiś przez te kilka dni, leżał na swem posłaniu, przykryty niedźwiedzią skórą, opierając się na ręku i poglądając dziko na otaczających. Gdy weszła Jagna podniósł się nieco i na jego surowej twarzy wymalowała się pewna obawa połączona ze zdziwieniem i ciekawością. Pacholę siedząc przy kominie i pilnując ognia, wytrzeszczyło swe duże błękitne oczy i ze strachu wcisnęło się w kąt, i usiłowało jak najmniej sobą zajmować miejsca.

Baba Jagna wszedłszy jednem spojrzeniem ogarnęła wszystko. W milczeniu, kaszląc tylko szkaradnie, postawiła dzieżę na środku komory i obracając się do towarzyszących jej, rzekła wskazującym, suchym głosem:

— Wody!

Przyniesiono wody, którą wlano w dzieżę. Czarownica zakasała rękawy swej wilczury po sam łokieć i ukazała czarne, chude, jak szczapy suche ręcę, pełne zmarszczek i żył wystających i naprężonych jak struny. Miała teraz jakieś nagłe, gwałtowne ruchy. Wilczura jej się otworzyła na piersi nagiej, porosłej włosem, chustka na głowie w tył zsunęła i siwe kosmyki spadały jej na czoło i twarz. Wzięła ożóg do ręki i machając nim na około, mruczała coś pod nosem, często powtarzając imię bożków, których gontyna była na Łysej-Górze:

— Lelum Polelum! Lelum Polelum!

Potem wyprężyła się, wyprostowała i przymykając oczy gwałtownie chwytała powietrze. Krokiem wolnym, posuwistym zbliżała się do komina, wzięła w suche ręce duży, żarzący się węgiel i rzuciła go do dzieży z wodą. Węgiel zasyczał i zgasł. Długo patrzała na niego, potem nagle prostując się, krzykła strasznym głosom:

— Czuję krew! czuję krew! Tu jest morderca! morderca! morderca!

Wszyscy zdrętwieli a młody Krak pobladł tak straszliwie i cofać się począł tyłem ku ścianie,

wyciągając przed siebie ręce, jakby kogo odpychał. Oparł się w końcu plecami o ścianę, obtarł rękawem świtki czoło zlane obfitym potem i stał tak ze spuszczoną na piersi głową, smutny i ponury.

Tymczasem baba Jagna milczała przez chwilę wpatrzona ciągle w węgiel pływający po wodzie w dzieży, potem nagle zakasłała straszliwie i idąc wprost do chorego króla Kraka, położyła mu suchą swą rękę na ramieniu i rzekła:

— Czy wiesz Kraku, kto zabił twego kochanego syna Leszka?

— Wiem!—odrzekł król—zabił go smok.

— Nie, nie smok go zabił Kraku, ale brat rodzony, królewicz Krak młodszy.

I odwracając się nagle wyciągnęła swą nagą, suchą dłoń w kierunku stojącego pod ścianą królewicza i rzekła:

— Widzisz mordercę, bratobójcę? oto stoi tam!..

Stary król usłyszawszy te słowa, porwał się z pościeli i stanął bosemi nogami na ziemi. Futro mu spadło z pleców i widać było jego suche bronzowe od wichrów i słońca ramiona. Stał tak przez chwilę wpatrzony strasznym wzrokiem w swego bladego syna pod ścianą — i nagle zasłonił oczy rękami, jęknął straszliwie i runął jak długi na ziemię. Przyskoczyli do niego obecni, podnieśli z ziemi, ułożyli na posłanie, leli wodę, wszystko napróżno.

Król Krak już nieżył.

Przerażenie było ogólne, z czego skorzystała baba Jagna i wymknęła się z komory królewskiej a potem z grodu. W powszechnem zamieszaniu nie zwrócono na to uwagi, i dzięki temu nie ujrzano więcej czarownicy. Królewicz Krak zapłakał gorzko i szarpiąc sobie włosy na głowie, wypadł ze świetlicy i nie widziano go przez cały dzień. Dano znać królewnie Wandzie o śmierci ojca. Przybiegła zalewając się łzami, uklękła u nóg ojca i całowała je, głośno uskarżając się na swą dolę, na swe sieroctwo.

Cały dzień nic nie robiono, wszyscy potracili głowy. Wieczorem dopiero zeszli się do gródka starcowie w liczbie dwunastu na wielką radę. Nakazano zaraz nad Wisłą wielki stos ułożyć, by można jutro zwłoki króla Kraka spalić. Sprowadzono płaczków, którzy omyli ciało zmarłego i całą noc nad trupem głośno zawodzili.

Na radzie starców dwunastu, zwanych inaczej dwunastu wojewodami, przedewszystkiem, kiedy już wina młodszego Kraka nie ulegała najmniejszej wątpliwości, postanowiono go jako bratobójbę wygnać z kraju.

— A któż będzie królował u nas?—zapytał któryś z wojewodów.

Na te słowa powstał z ławy na której siedział, siwuteńki jak gołąb i łysy jak kolano staruszek, zgarbiony, pomarszczony jak grzybek i opierając się na kiju, począł szeplenić, bo zębów już nie miał.

XVII.



Przybiegła zalewając się łzami

— Słyszę, że tam ktoś pytał: kto będzie królował u nas, gdy bratobójcę wygnamy. Dawniej za mojej pamięci bratobójców nie wyganiano, ale żywcem ich zakopywano w ziemię. Ale teraz inne czasy, inne obyczaje. Teraz bratobójców wyganiają. Ano wygnajcie go sobie, kiedy chcecie. Jeno ja pytam, gdzież wy go to wygnacie? Hm! Ja się zowię Sobiesław—albo Sobek, i mam już lat sto z okładem, dużom widział i w różnych krajach byłem i nie wiem jak wy to tego bratobójcę wygnacie. Z gródka? hę? ano, z gródka go możecie wygnać, bo gdyby chciał tu wleść, dość mu strzałę posłać; ale jakże wy go z kraju ze świętej chrobackiej ziemi wygnacie? i kto tego dopilnuje by w niej zasię nie mieszkał? któż mu zabroni pójść w puszczę co leży ku Moranom albo w puszczę co leży ku Polanom, albo w puszczę co leży ku Rusom, albo w puszczę co leży ku Ugrom, któż go ztamtąd wygna? a przecież wszystkie te puszcze szumią i rosną na Chrobackiej ziemi. Nikt go z nich nie wygna. I bratobójca śmiać się będzie z takiej kary.

Przerwał, przetarł oczy spłowiałe, które mu zaszły łzami i siadając na ławie, rzekł:

— Czekajcie jeszcze, będę gadał, jeno sobie usiądę, bom stary i nogi mię bolą. Otóż ja powiadam, że to głupi obyczaj nowy, karać bratobójców wygnaniem. Ale wy go dlatego tak lekko karzecie, że to on bratobójca jest królewski syn. Gdyby on tak był albo mój syn, albo twój

Sokole, albo twój Mieszku, albo twój Wojsławie, już by on dawno krew oddał za krew. Otóż do czegoście przyszli. I teraz kiedy jeden król umarł, ten stary zbójca Krak, którego ja pamiętam od takiego oto smyka, kiedy tego drugiego młodego zbójcę wyganiacie, zaraz się tam ktoś pytał, a niewiem kto, bo niedowidzę, kto nami będzie królował? Hm! ojcom naszym nikt nie królował i było dobrze. A jeżeli kto królował to chyba obcy. Ja jeszcze pamiętam strasznego króla Obrów, a zwał on się Bedła, co mordował waszych dziadów secinami, niewiasty i niemowlęta palić kazał lub topić. Ja go pamiętam i to był król, ale obcy nie nasz. I po co nam króle! kiedyśmy się pozbyli ich tak szczęśliwie, na co ich nam więcej, pytam. Gadacie nam: wojna z Niemcami. Hm! Niemcy, mądry to i bitny naród, ale nie nowina nam z nimi wojna. Małoż to parobków i mężów w Chrobacyi? Wiec rozesłaliśmy i czekajmy jak się zbiorą, a wtedy obierzemy wodza i obejdzie się bez króla... Więcej gadać nie będę, bo już dosyć i w gardle mi zaschło.

I przymknął oczy, jakby zmęczony mocno i więcej nic nie mówił.

Na słowa starego Sobka, powstał znacznie młodszy odeń, o kruczych jeszcze włosach wojewoda Zbigniew i począł mówić przeciw Sobiesławowi:

— Nie godzi się w ten sposób płacić tym, którzy nam tyle dobrego zrobili. Któż to re-

sztki Obrów wygnał i uwolnił nas raz na zawsze od obrzydłego tego jarzma, jeżeli nie Krak? Kto zbudował mocny gród tutaj na Wawelu, tak że w nim Chrobacka ziemia ma bezpieczne schronisko raz na zawsze. Kto nakoniec, zabił strasznego smoka, który pustoszył całą krainę w około? Krak to wszystko uczynił, albo sam, albo przez swych synów. Prawda, że jeden z tych synów stał się niegodnym bratobójcą, i zasługiwałby na surową karę, jaką zawsze na bratobójców wymierzano w naszej ziemi. Ale on pochodzi z rodu, który tyle dobrego nam zrobił i ukarzmy go wygnaniem z kraju. Niech się włóczy po puszczach ale niech pamięta że kto go spotka w granicach Chrobacyi ma prawo go zabić jak psa wściekłego. Nie jest to więc tak lekka kara, jak się Sobkowi zdaje. Nakoniec trzeba żebyśmy byli wdzięczni i jeżeli młodego Kraka dla jego zbrodni usuwamy od stolca książęcego, to jest w gródku jeszcze jedna latorośl rodu Krakowego, królewna Wanda. Obierzmy ją sobie królową! Niech ona nam panuje!

Spodobała się ta rada ogromnej większości wojewodów. Pozrywali się z ław i potrząsając kołpakami, oszczepami i włóczniami krzyczeli:

— Chcemy więc Wandę królową! Niech żyje królowa Wanda!

Ze świetlicy okrzyki te przeniosły się dalej, na dziedziniec gródka, potem za częstokół, na rynek Krakowa i wszędzie jeno słychać było:

— Niech żyje królowa Wanda!

Zbiszek usłyszawszy te okrzyki, pierws: biegł do królewny, donosząc jej, że wojewo wygnali jej brata z kraju, a ją wybrali kr Królewna załamała białe rączki i zawołał

— Jakaż ja biedna dziewczyna, mam r: tylu rządami!

— Ha! taka jest wola wojewodów,— o na to Zbiszek i dodał,—ubierzcie się w szaty teczne królewno, bo zapewne tu przyjdą w dowie, by wam pokłon oddać i ukazać was ludowi.

Z płaczem królewna poczęła się ubierać w wieńce z róż i bławatków, mówiąc:

— Tam ojciec trupem leży, tu brat wygnany, a ja się muszę w wieńce stroić!

Jakoż wkrótce przyszli wojewodowie i pokłon królewnie oddali. Wojewoda Zbigniew dzierżył koronę królewską w ręku i kładąc ją na głowę królewny rzekł:

— Panuj nam i rządź nami, a wojewodów rady zawżdy słuchaj.

Potem wywiedli królewnę zapłakaną i zapłonioną na ganek dworca, kazali bramy roztworzyć i wojewoda Zbigniew dobywszy miecza, podniósł go w górę i zawołał co miał jeno siły.

— Niech żyje królowa Wanda!

Wszystek naród tłoczący się do bramy, spinając się na częstokół, wołał:

— Niech żyje królowa Wanda!

Potem Zbigniew stanął i na cztery strony śmiało ciął mieczem, a dokonawszy tego królewnę powiódł do dworca.

Nazajutrz trup Kraka starego ze zwykłemi uroczystościami został spalony. Tylko gdy popioły w urnę zebrano to lud i tłum schodzącego się już przeciw Niemcom rycerstwa usypał nad urną wielką mogiłę. Trzy dni i trzy noce tę mogiłę sypano i urosła ona jak wielka góra, na wieczną rzeczy pamiątkę.

Młody Krak, jak wypadł z izby konającego ojca, tak się więcej nie pokazał. Wiedząc zapewne o zamyśle wojewodów, nie czekał na rozkaz, ale poszedł na wygnanie, tak że słuch o nim zaginał. Oko ludzkie więcej młodego Kraka nie widziało.

XVIII.

Wojna z Niemcami.

Tymczasem, gdy wszystkie te smutne wypadki rozgrywały się na zamku Krakowym, wieści o zbliżających się Niemcach rosły coraz bardziej i nabierały coraz większej pewności. Rozesłano już, jeszcze z ukazu wojewodów, wici wojenne po całym kraju, to jest pęki chrustu zatknięte na długiej tyce, ale odbywało się to bez pośpiechu i energii, bo niemiał kto dopilnować i jeden na drugiego się oglądał. Teraz jednak kiedy Wanda Krakówna zasiadła na stolcu książęcym, zaraz nakazała rozesłanie nowych wici wzywając wszystkich mężów zdolnych do broni, by zgromadzali się pod Kraków dla dania odporu najeźdzcom. Rozbiegli się więc znów posłannicy po całej Chrobackiej ziemi i wpadali na spienionych koniach potrząsając wicią na podwórza chat mieszkańców, wołając, że wojna z Niemcami. Nocą takież wi-

ci zatknięte na wysokich górach gorzały wraz ze smolnemi beczkami.

Dzięki temu, trochę może leniwie, trochę powoli, ale bądź co bądź ściągali się zbrojni pod Kraków, konno i pieszo, przeważnie jednak konno. Każdy zwykle ubrany był w kożuch, lub w rysie, wilcze i niedźwiedzie futra; każdy miał łuk lub procę, włócznię lub topór, oszczep lub maczugę, i tarczę drewnianą skórą obitą. Bardzo nie wielką ilość miała żelazne hełmy na głowach i miecze żelazne. Zbierali się przynosząc ze sobą w słomianych kobiałkach żywność, zwykle bardzo skromną i ubogą.

Królewna kiedy już kilkuset zbrojnych się zebrało i rozłożyło obozowiskiem nad Wisłą pod Wawelem, a wielu nawet w smoczej jamie usłało sobie legowisko, otóż królewna nie mając od paru dni żadnych wieści o Niemcach, wezwała do siebie wojewodę Zbigniewa, tego który się głośnie przyczynił do jej obioru.

— Wojewodo,—rzekla mu, o Niemcach nic nie słychać i trapię się tem wielce.

— Kniehini, — odpowiedział na to wojewoda, kiedy o nich nic nie słychać to już dobrze. Muszą być jeszcze daleko i przez puszczę przedostać się nie mogą.

— Może być, że tak jest, a może jest inaczej. Lękam się żeby z nienacka nie napadli na nas i na gród.

— Jesteśmy już dość silni i nie łacno się damy.

— Tak, ale gdy nocą napadną! Nie! nie wojewodo, trzeba coś robić i nabyć jakiejś pewności co Niemcy robią. Wreszcie proszę was, ze dwieście koni wybranych junaków i ruszcie w puszczę na podjazd, zobaczyć co Niemcy robią, gdzie są i ilu ich jest. Jeżeli dojedziecie ich z blizka, możecie języka zasięgnąć, czego oni od nas chcą. A dowiedzcie się kiedy mogą być tutaj i czy nie byłoby lepiej wyruszyć naprzeciw nich w puszczę i starym obyczajem zasadzką Niemców powitać popodcinawszy drzewa?

— Dobrze mówicie kniehini, i jeżeli już mamy się spotkać z Niemcami, to nigdzie jeno w puszczy w miejscu wybranem i przygotowanem jak należy. Na podjazd zaraz pójdę, a wy kniehini zajmijcie się wojakami, sprawcie ich jak należy, podzieliwszy na łuczników, procarzy, włóczników i pancerników. Gród trzeba opatrzyć w żywność, straże za częstokołem i na wieży postawić. W obozie też niech będzie wielka czujność, bo bardzo być może, że my napadniem gdzie na Niemców na przeważną siłę i sprowadzimy ich tutaj na karkach swoich. Ja biorę ze sobą sto wybranych junaków, bo więcej nie potrzeba na podjazd.

— Niech was Bóg prowadzi, wojewodo Zbigniewie!—zawołała Wanda i wyjąwszy z za pazuchy ów italski talizman co go Leszkowi na walkę ze smokiem dała, a który to talizman był

w kształcie krzyża, położyła go na głowie wojewody. Ten ukłonił się i wyszedł.

Kiedy wojewoda począł wybierać junaków na ów podjazd w puszczę, królewna wezwawszy starego Zbiszka poszła z nim oglądać gród, czy wszystko jest w porządku, Zaczęto najprzód od częstokołu, który był zdrowy i silny jeszcze i sam gródek zbudowany z grubych belek, deskami kryty, z wieżą wysoką na boku a przytem wzniesiony na stromej górze, nie lada był zamkiem i nie łatwo go można było wziąć. Załogi w nim pomieścić się mogło około stu ludzi i tych królewna kazała z obozowiska zaraz wybrać i do grodu sprowadzić. Zbiszek został kasztelanem zamku i dowódcą załogi.

Potem królewna poszła obejrzeć czy jest dość żywności. Pod zamkiem w stajniach i oborach, bo do komnat królewskich wchodziło się po drabinie którą w każdej chwili można było zdjąć, otóż pod zamkiem po stypach wyprawianych ludowi na dwóch pogrzebach, zostało tylko pięć wołów, sześciu baranów, kilka kóz i trochę mąki, królewna zobaczywszy to załamała białe rączki.

Mój Zbiszku co będzie. Z głodu pomrzemy tutaj jak nas Niemcy oblegną.

— Hm! mruczał Zbiszek,—juźcić to pewna, że tego co jest na stu kilkudziesięciu ludzi i kobiet w grodzie nie starczy na długo. Trzeba temu jakoś zaradzić.

— Ale jak mój Zbiszku radźcie, bo ja nie wiem co czynić.

— Ja bo wcale nie jestem zatem, rzekł Zbiszek, żeby Niemców czekać tu w grodzie. Nie wytrzymamy tak długo, choćbyśmy i żywność mieli, toć przecie niema grodu, któregoby Niemcy wzięli. Spalą nas jeszcze...

— No, ale co robić!

— Zebrać wszystkich wojaków i ruszyć w puszczę bić Niemców. Ojcowie nasi, zawsze bronili po puszczach, a bronili się nie tylko Niemcom, ale nawet Obrom, którzy przecie byli straszniejsi od Niemców.

— Tak się też i zrobi mój Zbiszku, ale widzicie, na wszełki wypadek, trzeba gród zaopatrzyć, żeby się mógł obronić. Wy nie wiecie czego ten wojewoda Niemiecki chce odemnie dodała spuszczając oczy i rumieniąc się.

— Co nie mam wiedzieć, wiem dobrze, odrzekł Zbiszek,—ten psubrat chce, byście mu kniehini byli żoną. Wiem ja o tem i niedoczekanie jego, Niemca.

— Kiedy więc wiecie, to dobrze rozumiecie, a na wszelki wypadek zamek trzeba postawić w takim stanie, by się mógł bronić. A nuż nas Niemcy pobiją w puszczy! gdzież ja biedna sierota schronię się przed nimi?

— Hm!—mruknął Zbiszek,—a bo to Chrobacya tu się na Wawelu kończy kniehini?

— No, nie... ale...

— A więc kiedy nie tu się kończy, to czegóż tu się bać! Pobiją nas Niemcy w puszczy od strony Moraw, to pójdziemy w puszczę od strony Polaków. Wyślemy do króla Popiela, który tam panuje posłów o pomoc i bić się znowu będziemy.

— A ja co zrobię!

—. Co wy zrobicie, kniehini? A pojedziecie z nami., Alboż to nowina będzie dla córy Kraka? Cóż to niewiasty u nas nie umieją łuku naciągać albo oszczepem ciskać. Pójdziecie z nami w puszczę.

— Ale mój gród ojcowski!

— Dobrze postaramy się o to, by miał choć trochę więcej żywności. Wyślę zaraz ludzi, by spędzili bydło, by jagieł, krup i mąki naznosili. Zarządzimy też wielkie polowanie w puszczy, żeby mieć dziczyznę. Zrobi się co będzie można.

— Tak, tak Zbiszku, tak będzie najlepiej. Zróbcie co można żeby żywność była, tem więcej, że przecież wojakom trzeba dać jeść, jak im zabraknie tego co ze sobą przynieśli, a zapewne w parę dni zabraknie.

— Oczywiście że zabraknie! Co oni tam ze sobą przynieśli! trochę podpłomyków i serków.

— A więc, trzeba temu radzić i to zaraz. Wojewoda Zbigniew wyrusza teraz w puszczę na podjazd, to możecie Zbiszku bezpiecznie zająć się polowaniem.

— Dobrze kniehini zaraz się zajmę.

— I wyślijcie ludzi, po kaszę, mąkę, krupy,

woły i co się da zebrać w mieście i po opolach okolicznych. Przykro to biednym ludziom zabierać ich dobytek, ale nie my weźmiemy, to Niemcy wezmą. O! wojna to ciężka klęska.

— Hm! hm! to pewno, że ciężka.—mruczał Zbiszek idąc za królewną która udała się do swej świetlicy, by ztąd zaraz wyruszyć ku obozowisku wojaków.

W tym celu kazała sobie przyprowadzić konia. Do boku przypasała miecz złocisty, koronę włożyła na głowę i tarczę ojcowską żelazną, z namalowanym na niej czarnym krukiem przypięła do lewego ramienia. Tak uzbrojona, śliczna w swych złocistych, jak jedwab miękkich włosach, pognała w szczupakach, otoczona swemi służebnemi i wojewodami do obozowiska. Ujrzawszy ją wszystko co żyło zerwało się na nogi i ustawiało się w szyki.

Kiedy już byli uszykowani, Wanda dobyła miecza, podniosła go w górę i słońce zapaliło w nim błyskawicę oślepiającą. Z tym błyskiem wężowym miecza, biegła pędem przed szeregami wojaków i wołała:

— Chrobaci! bić będziemy Niemców. Na Niemce, na Niemce!

Kilkaset głosów zagrzmiało potężnie: — Na Niemce! na Niemce! a głos ten biegł za Wisłe, odbijał się w tysiącznych echach o puszczę i konał gdzieś w błękitach nieba. Wszyscy wojacy potrząsali mieczami, włóczniami, oszczepami,

XIX.

Podjazd.

Wojewoda Zbigniew, jakeśmy rzekli wybrał stu junaków z pierwszego hufca. Wszyscy oni byli dobrze uzbrojeni, w żelazne hełmy z piórami, rysiemi i sowiemi łbami, w pancerze lub druciane kosznlki, w łuki, włócznie i miecze. Konie mieli dobre, małe, ale wytrzymałe i chodliwe, a co najważniejsza lada czem obchodzące się. Sami ludzie byli młodzi i odważni. Do tych junaków dołączyli się z własnej ochoty Lisek i Zabój. Lisek, który całe życie włóczył się jeno z kąta w kąt, po różnych krajach i puszczach nie mógł długo usiedzieć na jednem miejscu. Dowiedziawszy się o wyprawie wpadł do stajni, kędy Zabój przy swym kominie spał rozciągnięty na sianie i budząc chłopaka, krzyczał:

— Wstawaj Zaboju, do broni i do konia, na Niemców idziemy!

— Gdzie! co jak!—zerwał się Zabój na równe nogi.

— Wyprawa idzie na Niemców a ty śpisz i wylegasz się. Wojewoda Zbigniew dowodzi. Dalej, do koni chłopcze! My się tam przydamy, znamy przecież tę puszczę dobrze i wiemy jak w niej zachowywać się należy. Wszyscy junacy którzy jadą ze Zbigniewem są od wschodu słońca, gdzieś tam z nad Dunajca i Sanu i nie znają naszej puszczy. Spiesz się Zaboju, bo na nas czekać nie będą.

— Za chwilę będę gotów, ale muszę przecie konia osiodłać.

— Aż mi weselej, wołał Lisek, że człek tu kiśnieć nie będzie w tym gródku. Zawsze jedno i to samo. Strasznie nie lubię ścian, częstokołów, domów i chat. Wolę puszczę!...

Wkrótce obaj dosiedli swych na zbójach jeszcze zdobytych koników i pędem zjechali z góry. Właśnie wojewoda Zbigniew szykował swych junaków i pytał się głosem donośnym:

— Kto zna puszczę od strony Moraw?

Nikt nie odpowiedział. Więc Lisek rzekł do Zaboja.

— Widzisz, przydamy się tutaj.

A podbiegając do wojewody rzekł:

— Zbigniewie, my znamy tę puszczę jak własną chałupę. Ja Lisek i Zabój, niedawnośmy ją zbrodzili na przełaj.

— To dobrze, odrzekł wojewoda, przypatrując się obu, pojedziecie z nami i trzymajcie się mnie blizko.

Dzień był bardzo gorący, zwłaszcza, że wyprawa wyruszyła koło południa, więc słońce dopiekało najmocniej. Ale szczęściem puszcza była niedaleko ze swym cieniem, chłodem i wilgocią. Lisek i Zabój odróżniali się tem od wszystkich, że nie mieli zbroi na sobie, jeno kożuchy. Na głowie zamiast hełmu, Zabój miał słomiany, z dużemi skrzydłami kapelusz, z pawiem piórkiem, a Lisek t. z. wściekłą czapę, duży z barana kołpak, jaki nosili w tych stronach. Ale za to uzbrojeni byli dobrze. Zabój miał swój wyborny łuk i miecz niemiecki u boku. Lisek łuk, krótki oszczep i puginał znaleziony przy trupie w lesie podczas podróży do Krakowa. Prócz tego Lisek nic nikomu nie mówiąc zaopatrzył się w pęk sznurów, które miał przytroczone do konia.

— Na co wy te sznury wzięliście Lisku?— pytał Zabój.

— Zobaczysz na co. A nuż trzeba będzie pętać Niemców? hę? zkąd weźmiemy wtedy pęt?

— Iii.... byle oni nas tylko nie spętali—odrzekł Zabój. Niemców ja znam, nieraz ich widziałem i biłem się też z nimi. Nie tak to łatwo ich pętać. A zresztą po cóż sznury, albo to mało w lesie lipowego i innego łyka! Lepsze to jak sznury.

— Młody i głupi! mruknął Lisek. Jak zobaczysz na co ja wziąłem sznury, to będziesz gadał wtędy—a teraz milcz, bo oto Zbigniew daje mi znak, bym do niego podjechał.

I bijąc piętami szkapę pod brzuch kłusem pognał do wojewody, który przystanął trochę i oglądał się na wszystkie strony. Właśnie zagłębiono się już nieco w puszczę, i wojewoda Zbigniew który był także z innych stron oglądał się za Liskiem i Zabojem, bo nie wiedział w którą stronę ruszyć.

— No, prowadź nas! rzekł do nadbiegającego Liska.

— Dobrze wojewodo, ale powiedzcie dokąd? Gdzie chcecie stanąć na noc?

— Czy ja wiem! ja wcale tej puszczy nie znam. Raz za młodu byłem w gontynie Jessego w głębi lasu, ale to już dawno i drogi nie pamiętam. Prowadź nas tak, żebyśmy na Niemców natrafili.

— Dobrze, ale gdzież są Niemcy?—pytał Lisek—w której stronie i jak daleko!

— Wczoraj gadali, że gdzieś nad Wisłą, za gontyną jeszcze, koło jakichś mieszkań nawodnych. Nie wiem czy są jeszcze gdzie na świecie mieszkania nawodne! Słyszałem od starego dziadusia, że kiedyś to ludzie mieszkali w ten sposób, ale dzisiaj!...

— To już wiem wojewodo—przerwał mu Lisek—kawał drogi mamy przed sobą, jeżeli Niemcy nie ruszyli już naprzód. Mieszkania nawodne istotnie są w tej puszczy. Znam ja to dobrze.

— Ha! to prowadźże nas.

— Wiecie wojewodo co! rzekł Lisek pomyślawszy przez chwilę, Niemcy jeżeli idą, to idą nad samą Wisłą, boć to najpewniejsza i najprostsza droga. Jeżeli tedy chcemy ich spotkać, to trzeba żebyśmy i my szli brzegiem Wisły, a przynajmniej nie daleko od niej.

— Hm! mruknął wojewoda Zbigniew—dobrze ty mówisz Lisku, ale ja znowu nie mam ochoty wleźć Niemcom na łapy. Nie wielu nas jest przecie i trudno nam się mierzyć z całą potęgą niemiecką. My zresztą tylko podjazd a nie wojsko. Idźmy ale ostrożnie, tak żebyśmy jeno mogli urwać choć trochę Niemców, nic więcej...

Lisek skierował się więc nad Wisłę i mając zawsze jej brzeg po swej prawej, w niewielkiej zresztą od rzeki odległości prowadził podjazd. Pierwszego dnia nie wiele uszli, i zmęczeni skwarem słonecznym spoczęli nad wieczorem nad samą Wisłą. Rozłożono ogniska i posilano się czem kto miał. Konie poprzywiązywano do drzew, niektórzy ubiwszy sarnę lub zająca piekli go nad ogniem na wieczerzę — inni wydobyli z kobiałki trochę kaszy lub krup, gotowali je w glinianych garnkach. Większość rzuciwszy się na trawę spała.

Lisek widząc, że już są zaledwie na pół dnia drogi od gródka Sobka, że zatem jeżeli Niemcy na dwa dni przedtem byli koło mieszkania nawodnego, boć teraz muszą być co najmniej w pobliżu Sobkowej zagrody, jeżeli nie dalej. Że więc

nie jest rzeczą bezpieczną, mając prawie nieprzyjaciela na karku rozkładać się wygodnie obozem i jak w czasie pokoju wywczasowywać się na murawie. Z tą uwagą poszedł do wojewody Zbigniewa, który leżał pod dębem z kilku starszymi, a przed nimi na liściach rozłożony był comber sarni, chleb, ser, masło — i jedli a miód popijali śmiejąc się głośno i wesoło. Przyszedłszy ledwie mógł się rozmówić ze Zbigniewem:

— Wojewodo Zbigniewie, rzekł—mnie się widzi, że Niemcy są niedaleko, a że oni mają zwyczaj dla upału, nocą tylko postępować, więc mogą nas z nienacka napaść i jak baranów wyrznąć.

— Głupstwa gadasz! gdzież by Niemcy byli tak blizko. Dalekośmy to odeszli od Krakowa, żeby już nam Niemcy na kark wsiąść mieli. Głupstwo! przenocujemy sobie wygodnie, a jutro posunąwszy się jeszcze trochę; poczynimy w lesie zasieki, jeżeli poczujemy, że Niemcy blizko... Teraz atoli możemy spać spokojnie. Nieprawda Bolku! dodał zwracając się do jednego ze starszych.

— Prawda, święta prawda! mruknął Bolko na pół pijany od mocnego miodu. Niemcy! niemcy a żaby to jedno. Nim oni do nas przylecą, to my wyśpiemy się, zapolujemy jutro, wykąpiemy się w Wiśle jeżeli będzie ciepło, zasieki porobimy i koniec.

Gadał to ów Bolko dzierżąc róg pełen miodu i kiwał się a przymykał oczy, tak go senność z pijaństwa zbierała.

— O! dobrze mówi Bolko i tak będzie, jak on mówi. Idź spać Lisku — a może chcesz się napić! Powiadam tobie jakem wojewoda Zbigniew miód jest przedni lipiec, a pachnie jak róża—prawił Zbigniew a język mu się plątał szkaradnie.

— Napić napiję się, odrzekł Lisek biorąc róg do ręki — czemubym się niemiał napić, kiedy mi gardziel od kurzu i upału wysechł. Zawszeć to miód lepszy od wody. Ale widzicie Zbigniewie...

— No, cóż tam jeszcze chcesz gadać?—spytał niechętnie Zbigniew.

— Że kiedy już nie chcecie stawiać zasieków jeszcze dziś w nocy, coby było najlepszem, bo i miejsce widzi mi się w sam raz do tego jest sposobne, to rozstawcież przynajmniej straże, żeby obóz w nocy ostrzegły jak Niemcy napadną...

— Idź do biesa złowieszczy puszczyku! huknął już w gniewie Zbigniew — czego mię straszysz Niemcami? Idź do biesa mówię ci jeszcze raz, bo ręka mię świerzbi a oszczep mam u boku. Jaki mi mądrala! On mi będzie gadał co ja mam robić, ja wojewoda Zbigniew. Precz odemnie, włóczęgo jakiś, bo cię każę do koni przywiązać i na sztuki rozerwać i cisnąć w puszczę. Wilki będą miały co jeść, wyć nie będą w nocy nad uchem.

Nie było co mówić, zwłaszcza, że z pijanym i gniewnym Zbigniewem do ładu dojść teraz byłoby trudno. Smutno, zły na siebie i ze spuszczo-

ną głową powlókł się Lisek do Zaboja, który leżał na murawie i ogryzając jakąś kość, patrzał jak się z Wisły wznosiły leniwie białe mgły wieczorne. Myszate ich koniki rozkiełznane, pasły się spokojnie soczystą trawą leśną.

Wieczór szybko zapadał. Z trzciny i sitowia gęsto w tem miejscu porastającego oba brzegi Wisły rozlegał się huk byka i derkaczy i kurek wodnych. Z drugiego brzegu dochodziły krzyki żórawi.

— No, Zaboju, rzekł Lisek siadając przy nim, źle z nami i z naszym oddziałem. Zbigniew upił się i zdaje mu się, że Niemcy tu przyszli nie na to, żeby zabijać i rabować, ale na to, by z nim się pieścić. Nawet straży na noc koło obozu nie chce rozłożyć.

— Dla czego?

— Powiada, że Niemcy jeszcze daleko—a ja jestem prawie pewny, że w tej chwili wyruszają z gródka Sobkowego, i że nad świtaniem będziemy ich tu mieli na karku.

— A więc cóż robić?

— A cóż robić! powiedziałem Zbigniewowi o tem, ale czyż z pijanym i głupim dojdzie kiedy do ładu? Na zatracenie nas wiedzie. Szkoda tylko pięknych i tak dobrze uzbrojonych ludzi. Gdyby chciał porobić zasieki, to miejsce jest jak najlepsze potemu.

Jakoż Lisek miał pod tym ostatnim względem słuszność. Obóz rozłożony był na dość znacznem

piasczystem wzgórzu, porosłem przeważnie sosną i jodłą, łagodnie spuszczającem się ku Wiśle. Wzgórze to przecięte było na pół wąwozem, dość głębokim, przez który toczył mętne i brudne wody, jakiś strumyk i wpadał do Wisły. Oba brzegi strumyka bagniste z razu, porosłe sitowniem, potem nagle i stromo podnosiły się ku górze. Gdyby więc na tym stromym brzegu urządzono zasiek, co przy obfitości starych drzew było rzeczą niezmiernie łatwą, to można by tutaj garścią ludzi wstrzymać na długi czas znaczne nawet siły nieprzyjacielskie. Lisek to widział i dla tego nalegał o zrobienie zasieku, ale Zbigniew, który pił coraz więcej miodu, jakeśmy widzieli, ani słyszeć o tem nie chciał, a w końcu upił się i padł nieprzytomny na murawę. Od tej chwili on i starszyzna obozowa spała snem kamiennym. Wkrótce za przykładem wodzów poszło i wojsko. Gdy noc zapadła, noc ciemna, bezksiężycowa, ogniska poprzygasały, cały obóz chrobacki spał snem błogosławionych, jakby ci ludzie wyjechali na polowanie a nie na wojnę ze strasznym i zdradliwym wrogiem.

Lisek atoli nie spał i nie dał spać Zabojowi.

— Nie możemy spać, mówił, bo najprzód życie mi jest miłe i nie chcę, by mię Niemcy zarznęły jak barana, a potem szkoda tych ludzi.

Kilku wojakom powiedział o swych obawach, ale ci młodzi, znużeni drogą odrzekli mu:

To nie nasza rzecz, ale wojewody Zbigniewa. Musi on lepiej od was wiedzieć, kiedy tak gada.

Wobec tego, dał pokój wszystkiemu, tylko Zaboja namówił, że ten nie spał. Obadwaj przenieśli się nad ów stromy brzeg nad strumień i tam trzymając konie za uzdy, legli gwarząc ze sobą, wpatrując się w czarne otchłanie puszczy, wsłuchując w jej szum posępny i w posępniejsze jeszcze ryki dzikiego zwierza, lub krzyki puhacza.

XX.

Napad nocny.

Noc letnia cicha i pogodna powoli upływała. Obaj czuwający, Zabój i Lisek ułożyli się na wznak, ręce podsadzili pod głowy i patrzyli na ciemny szafir nieba, którego tutaj kawałek było widać, z powodu rzadszych drzew sosnowych, źle rosnących na szczerym piasku i trochę w skutek tego chorych i małych. Kiedy w puszczy powoli cichły wszystkie głosy, gdy ryk zwierza coraz rzadszy się stawał, i puhacz nawet gdzieś uśpił się, gdy tylko drzewa szemrały sennie i zdawała się cała natura drzemać, na niebie, w oczach dwóch rozmarzonych Słowian, odbywał się cichy ale nieustanny ruch. Na tej przestrzeni, którą widzieli między kilku nieruchomemi drzewami przesuwały się gwiazdy za gwiazdami i nikły za czarną ścianą drzew. Zaboja to rozmarzało. Patrzał, patrzał i pytał się sa-

mego siebie, co też jest tam na tych gwiazdach. Ale na to odpowiedzi, ani wtedy, ani później nikt dać nie mógł i nie może.

Robiło się chłodno. Białe mgły podnosząc się z Wisły i z potoku na stromym brzegu którego leżeli, rozwłóczyły się powoli po lesie nasycając wszystko wilgocią. Czarne głębie puszczy, krwawo i migotliwie oświecone od ognisk drzewa, zasłonięte zostały tą mgłą jak szarą płachtą. Ogniska wyglądały mętnie, niewyraźnie staczając się pierścieniami jednostajnego, rozpływającego się w szarym mroku światła. Mgła płynęła powoli, kłębiła się, przesuwała, szła falami i nikła w puszczy. Była tak nasiąkniętą wilgocią, że przenikała do kości niezdrowym jakimś chłodem.

— Zimno!—mruknął Zabój podnosząc się gdy mgła powoli okryła przed nim ciemny szafir nieba, tak że już nie mógł patrzeć na gwiazdy.

— Brrr!—otrząsł się—wartoby rozpalić sobie ognisko i ogrzać się trochę. Ta mgła przejmuje do kości.

Lisek przez chwilę nic nie odpowiadał, leżąc trochę na boku i patrząc się w przewalające się po lesie tumany mgły, jak gdyby jakiś olbrzymi, galaretowaty zwierz posuwał się naprzód. Ale potem podniósł się trochę, spojrzał do koła i rzekł:

— Ognisko rozpalić! chyba ci jednej klepki brak w głowie, Zaboju. Oto idź lepiej i pogaś

mi te kilka ogni, które oto tam w mgle majaczą, jak czerwone oczy, jak wyraźne znaki dla Niemców.

— Pogasić, Lisku! przecie ci ludzie poumierają od zimna; któż zresztą gasi ogień w puszczy? wilcy i niedźwiedzie nas zjedzą.

— Lepsi wilcy i niedźwiedzie niż Niemcy— mruknął Lisek i dodał—jeżeli ty nie pójdziesz, to ja sam pójdę. Te ognie to tak wyglądają, jak gdyby kto Niemcom powiedział: pójdźcie nas wziąć!

Mówiąc to wstał i miał zamiar już pójść, nagle zatrzymał się, nastawił uszów i po chwili kładąc się na ziemi, szepnął z wyrazem przerażenia:

— Na wszystkie bogi, Zaboju, zaklinam cię, jeżeli życie ci miłe, idź pogaś ognie. Niemcy idą! słyszę wyraźnie ich ciężki, miarowy chód. Śpiesz się, śpiesz, bo jeno ich patrzeć! Obudź kogo możesz!

I wyciągając się na ziemi przyłożył do niej ucho, słuchając pilnie. Zabój zerwał się na równe nogi, tknięty do żywego słowami Liska i przerażony tajemnem niebezpieczeństwem grożącem całemu oddziałowi, i począł także przez chwilę nadsłuchiwać.

Ale w puszczy okrom jednostajnego szumu drzew, ryku zwierząt, pluskania fali wiślanej, nic nie było słychać. Żaden głos podejrzany, nie przerywał sennego szmeru drzemiącej natury.

— Czy Lisek jeno nie majaczy! — pomyślał sobie—mam przecie dobry słuch i nic a nic nie słyszę. Ale zawsze on dobrze radzi, te ognie trzeba pogasić. Wyglądają one istotnie na czerwone oczy!

Powlókł się powoli, ziewając, bo nie wydawało mu się niebezpieczeństwo ani tak blizkiem, ani tak groźnem, jak to Lisek mówił. Przecie by coś usłyszał. Niemcy w zbrojach zawsze chodzą na wojnę i chrzęst tych zbroi słychać daleko, a cóż dopiero w ciszy nocnej, w puszczy, gdzie każden odgłos tysiączne echa powtarzają. Ognisk było ogółem jak obliczył dziesięć. Z tych niektóre same przygasały i jeno się jeszcze węgle żarzyły, inne paliły się, słabym, migotliwym blaskiem. Zdeptał nogami i rozrzucił pierwsze, jakie napotkał ognisko, którego głownie padając na przesyconą wilgocią trawę, gasły od razu; to samo zrobił z drugiem i trzeciem, gdy ktoś się obudził i zerwał na równe nogi.

— Kto tu łazi po nocy!—krzyknął zbudzony.

— Ja, Zabój!

— A czegóż ty u biesa się włóczysz i gasisz ogień?

— Bo Niemcy idą.

— Co! Niemcy?...

— Tak, i radzę ci, obudź kogo możesz, jeno cicho, bez wrzawy, a ja tymczasem pogaszę ognie.

Zbudzony młody jakiś wojak, oprzytomniał od razu i zapytał:

— A zkądże ty wiesz, że Niemcy idą!

— Zkąd wiem? idź do starego Liska, tam, na skraju góry, a on ci powie i czy...

Nieskończył, bo w tejże chwili wiatr zawiał mocniej i przyniósł wyraźny tentent koni, chrzęst zbroi, brzęk mieczy, parskanie koni i nawet głosy ludzkie. Zabój zdrętwiał i zawołał:

— Słyszysz! Niemcy idą!... gaś ognie i budź kogo możesz!...

Rzekłszy to z zapałem i energią podsycaną wyraźnem i blizkiem a strasznem niebezpieczeństwem, rzucił się do gaszenia pozostałych ognisk. Dopomagał mu w tem z gorączkowym pośpiechem zbudzony, przypinając współcześnie oszczep i hełm do głowy. Po drodze tego i owego szarpnął, co nie było bezpiecznem, gdyż każdy zbudzony zrywał się i głośno wrzeszczał:

— Kto tu?

— Trzeba było każdemu tłumaczyć się i zwracać jego uwagę na wzrastającą wrzawę z głębi puszczy. Szczęściem wiatr wiał od strony Niemców i przynosząc dokładnie odgłosy ich pochodu, tłumił krzyki budzonych w obozowisku chrobackiem. Zgaszono przecież szczęśliwie ognie i kiedy ostatnie ognisko zalewano wodą, nadbiegł Lisek z łukiem w ręku.

— Zaboju,—zapytał syczącym szeptem,—dużo was tu jest?

— Jest nas ze dwudziestu.

— Chodźcie za mną, wstrzymamy pierwszy najazd Niemców, a reszta niech budzi wojaków, jeno cicho i spiesznie.

Dwudziestu junaków uzbrojonych i przytomnych już zupełnie posunęło się za nim, nad stromy brzeg potoku. Tu Lisek kazał im się pokłaść na brzuchach za krzakami tarniny i czekać z rękami na cięciwach łuku ukazania się nieprzyjaciela.

— Niemcy ztąd idą i nie podejrzewając niczego, zbliżą się nad potok i zatrzymają się tu na chwilę. Wtedy powitajcie ich strzałami, jeno mierzcie dobrze, najlepiej w szyje, bo tam zbroje są najsłabsze i mają dużo wiązań. W innem miejscu strzała nie każda bierze. Pilnujcie się, uszów dobrze nadstawiać, a ja pójdę obudzę wojewodę i starszyznę.

— Nie dobudzicie ich się, Lisku —rzekł któryś z junaków, — śpią jak zarznięci. Popili się wczoraj i leżą jak kłody nieżywe.

— Bodaj ich zmora zdusiła!—zaklął pod nosem Lisek, a potem dodał głośno:

— Niech-no który skoczy i przykaże tam w obozie, żeby takiej wrzawy nie robili. Do stu czartów, tu o życie nas wszystkich idzie! Powiedz—rzekł do odchodzącego—żeby przy koniach zostawili dwudziestu ludzi, a ci niech koniom pyski powiążą żeby nie rżały, bo nas mogą zdradzić. Reszta niech tu przychodzi nam na pomoc.

A gdy któryś z leżących narzekać począł pół głosem na zimno, rzekł:

— Będzie ci tu braciszku zaraz tak gorąco, jak w łaźni. Niemcy to dobre łaziebniki, powiadam tobie, parobku.

Chrzęst zbroi, parskanie koni, głosy ludzkie, a nawet jakąś piosnkę niemiecką wiatr coraz wyraźniej przynosił. Szli widać ogromną masą i szeroką linią, bo począwszy od Wisły, aż dobrze w głąb puszczy głosy te rozlegały się. Trzask deptanych gałęzi i krzyk zbudzonego tą nawałą niemiecką ptastwa, rozlegał się tysiącznem echem po lesie. Ten szum, ta wrzawa, wśród ciszy nocnej, wśród nieprzejrzanych ciemności, robiła dziwnie przykre i przygnębiające wrażenie. Wielu z leżących nad potokiem dzwoniło zębami, trochę z zimna, a trochę ze strachu zapewne. Niebezpieczeństwo było tem przykrzejsze, że Niemców widać nie było i najlepszy, najbystrzejszy nawet wzrok, nic po za szarą, brudną mgłą i po za czarnościami nocy dojrzeć nie mógł.

Lisek kilkakrotnie się podnosił i wytężał wzrok w las, chcąc choć cokolwiek dojrzeć, ale czy Niemcy byli jeszcze daleko, czy też noc była tak ciemna, dość że nic widać nie było. To go mocno niepokoiło. Nagle, widocznie przyszła mu jakaś myśl do głowy, bo zatrzymał się, oparł czoło na ręku i pilnie rozważał. Po krótkim namyśle nadstawił jeszcze raz uszów, położył się na ziemi i długo słuchał, a potem po-

wstając, rzekł na pół do siebie, na pół do swych towarzyszy.

— Jeszcze czas! jeszcze zdążę!

To mówiąc sięgnął za pazuchę, wyjął duży krzemień, z sąsiedniego dębu zebrał trochę mchu suchego, zrzucił ze siebie łuk i kołczan, jeno krótki oszczep zostawił i tak przygotowany rzekł głośno:

— Kto ze mną pójdzie na tamtą stronę potoku! Musimy coś zrobić, bo inaczej Niemcy na nas wlecą, a my ich widzieć nie będziemy. Kto na ochotnika? Ostrzegam, że wyprawa jest niebezpieczna i możemy wpaść Niemcom w łapę, a wiecie, że kto się im dostanie, ten zaraz dynda na gałęzi. No, kto ze mną pójdzie?

— Ja!—podniósł się Zabój i trzech jeszcze junaków.

— To za dużo, ja potrzebuję jeno dwóch. Chodź Zaboju i ty Wisławie. Dalej w drogę, bo czasu nie wiele! Wy tu leżcie i uszy dobrze nastawiajcie!—dodał zwracając się do reszty wojaków.

Pobiegł, odwiązując po drodze sznury wiszące mu dotąd u pasa, które tak przy wyruszeniu zdziwiły były Zaboja. Przez potok gęsto zarosły sitowiem i bagnisty, tak że więźli po kolana, a nawet junak Wisławem zwany uwiązł po brzuch i Zabój z Liskiem musieli go wyciągać, przedostali się z wielką trudnością na drugi brzeg. Teraz Lisek począł biedz pędem pod górę a po-

tem w głąb puszczy. Ubiegłszy tak na pół odległości wypuszczonej z łuku strzały, zatrzymał się, i chwytając oddech i sapiąc ciężko począł słuchać, zwykłym swym obyczajem przykładając ucho do ziemi. Widać, że mu jakoś dobrze wypadło, bo zerwał się i rzekł wesoło:

— Dalej chłopcy, jak najwięcej suchego chrustu, mchu, smolnych łuczyw zgromadźcie. Zapalimy wielkie ognisko i będziemy strzelać do Niemców jak do kaczek w trzcinie.

Żwawo zabrali się do tego wszyscy trzej i pod sosną ułożyli wielką kupę chrustu. Stało się to 'prawie w jednem oka mgnieniu. Lisek zaraz też skrzesał ognia i podpalił tę kupę. Płomyk ślizgając się zwolna, syczeć począł na smolnych łuczywach i posuwać się coraz dalej. Lisek zobaczywszy, że ogień już nie zgaśnie, zawołał:

— Teraz uciekajmy do swoich, co jeno sił starczy!

Puścili się więc pędem ku potokowi, jak lisy ścigane przez psów. Czas już był wielki, gdyż do uszów ich dobiegł najwyraźniej głośno i blizko gdzieś wyrzeczony wyraz niemiecki:

— *Vorwärts!*

Szczęśliwie dostali się do potoku i tu zasłonięci już górą, mogli spokojniej go przejść. Z niemałym trudem, brnąc i po grzązkim i błotnistym gruncie, ubabrani w błocie jak djabły, stanęli na górze między swoimi. Lisek przedewszystkiem

obejrzał się na ogień. Buchał on już dużym płomieniem, ogarniając coraz bardziej nagromadzony chrust, i ciskając przez białą mgłę różowe smętne blaski do koła. W każdym razie, ktokolwiek chciałby zbliżyć się do potoku, musiał przejść koło ogniska, a ztąd musiał się ukazać, ukrytym nad potokiem wojakom.

Lisek biorąc swój łuk zatarł ręce z zadowolenia i spytał:

— Czy wszyscy już zbudzeni?

— Wszyscy, oprócz wojewody i starszyzny.

— Niech wojewodę i starszyznę czart porwie,—zawołał Lisek,—damy sobie radę i bez nich.

XXI.

Bitwa nocna.

Przez chwilę słychać było jeszcze wrzawę i szmer pochodu niemieckiego, potem nagle rozległy się krzyki:

— *Halt! Halt!*

I cała linia Niemców zatrzymała się i zaległa zupełna cisza, jakby przez czarodzieja wywołana. Drzewa tylko szemrały i słychać było trzask palącego się na kupie chrustu. Ogień tam rósł coraz bardziej i wkrótce cała ta kupa buchnęła jednym wielkim płomieniem, rozrzucając dokoła siebie blaski. Przy blaskach tych zdawało się niektórym, że dostrzegają w głębi, po za ogniskiem Niemców, w lżejszych hełmach, zbrojach i tarczach, płomienie zapalały migotliwie błyskawice. Lisek jednak nie ruszał się, jeno patrzał się w ogień i żałował, że mu ta myśl tak późno przyszła do głowy, że w skutek tego

z powodu braku czasu, nie wiele zdołano zebrać chrustu i że ten wkrótce się spali i dawniejsza ciemność zalegnie las. Zdradzono więc swoją obecność całkiem niepotrzebnie.

Kiedy tak myśli, nagle widzi jak trzech Niemców zbliża się do ogniska ostrożnie. Wszyscy trzej siedzieli na dzielnych, ciężkich trochę i czarnych jak kruki koniach, na głowach mieli wielkie lśniące od ognia hełmy, pełne piór różnobarwnych i na piersiach nie mniej błyszczące pancerze, które pokrywały im także ręce i nogi. Każdy koń miał u łba nasadzone pióra pomalowane na ciemno i niebiesko, a na piersiach, na rzemiennych napierśnikach wielkie gwiazdy, błyszczące jak ogień. Siedzieli oni, wszyscy trzej, na wysokich terlicach i dzierżyli w ręku nagie, długie miecze niemieckie, a przy lewej ręce mieli przywiązane włócznie z proporczykami żółtego koloru. Jechali wolno, skradając się, pochyleni na koniach, wpatrzeni przed siebie, jak gdyby chcieli wzrokiem przebić zalegające dokoła ci[illegible]ności.

Przybywszy do ogniska zatrzymali się pr[illegible] chwilę, obejrzeli dokoła i zdawali się naradz[illegible] mówiąc coś do siebie. Potem rozdzielili się w t[illegible] strony. Jeden pojechał wprost, a dwaj dru[illegible] skręcili w bok.

Lisek tymczasem szepnął Zabojowi, żeby [illegible] dał następnemu, a ten znów swemu sąsiado[illegible] rozkaz, aby nikt nie strzelal dopóty, dopóki [illegible]

XXI.



Zabój! syknął Lisek, ciągnij ze mną Niemca.

t. j. Lisek nie strzeli. Zrobiwszy to, wszyscy leżeli jak nieżywi, wstrzymując oddech w sobie, wpatrzeni w zbliżającego się wolno ku potokowi olbrzyma niemieckiego. Ten z wielką ostrożnością, wciąż pochyłony na koniu, stanął nad potokiem na wzgórzu i widząc przeszkodę zatrzymał się, spiął się na strzemionach, wyciągnął szyję, chcąc cośkolwiek dojrzeć na przeciwnym brzegu. W tejże chwili Lisek podniósł się na nogi bez najmniejszego szelestu i dzierżąc w ręku sznury z pętlicą u końca, rozwinął je z wielką siłą, puścił ze świstem i ze zręcznością niezwykłą zarzucił Niemcowi pętlicę na szyję. Szarpnięty mocno i niespodzianie rycerz spadł z chrzęstem i brzękiem na ziemię.

— Zabój! — syknął Lisek, — ciągnij ze mną Niemca.

Porwał się Zabój, uchwycił w swe żelazne ręce sznur i Niemiec obwisły jak trup, przyduszony, nie dając prawie znaku życia, znalazł się nagle na drugim brzegu. Wszystko to stało się tak szybko i tak zręcznie, że nim leżący na ziemi wojacy mogli się opatrzyć co to się stało, już ciężko uzbrojony rycerz leżał między nimi.

— Rozbrójcie go!—szepnął Lisek,—zatkajcie mu czem gębę, żeby nie krzyczał i przywiążcie do ogona końskiego. Oto na co przydały się moje sznury, — dodał zwracając się do Zaboja.

Tymczasem koń rycerza przestraszony tym nagłym upadkiem swego pana, spiął się i ze

rżeniem zawrócił nazad i pędem poleciał do swoich. Słychać było jak biegł, jak trzaskały pod nim gałęzie leżące na ziemi. Przez chwilę widać go było lecącego z podniesionym ogonem około ogniska, aż w końcu zniknął w ciemnościach nocnych. Zaraz też potem dobiegł do uszów leżących wojaków szmer, pomieszane głosy, brzęk zbroi, jak gdyby kto kij cisnął w ul szerszeni.

W tejże chwili stała się dziwna i niespodziana dla Liska rzecz. Ognisko, które już przygasało z powodu braku chrustu, nagle zajaśniało niezwykłym blaskiem. Płomienie bowiem ogarnęły sosnę, pod którą zebrali Lisek, Zabój i Wisław chrust. Sosna była stara, połamana, ale wysuszona przez upały słoneczne, przesycona żywicą, zajęła się od razu jak smolne łuczywo i w jednej chwili olbrzymi słup ognia buchnął do góry, oświecając dokoła las na znaczną przestrzeń. Widać było nieomal każde drzewo, każden krzak i purpurowe płomienie ognia przeglądały się w Wiśle płynącej na dole. Ptaki zbudzone niezwykłym tym blaskiem i krzykiem pozrywały się z drzew i kołować poczęły koło palącej się sosny. Widok był przerażający, ale też i niezwykle piękny.

Przy tym blasku powstałym tak nagle i tak niespodzianie, junacy nasi ujrzeli na dobry strzał z łuku, stojącą linię niemieckich rycerzy. Wszyscy oni byli na koniach, w zbrojach i hełmach,

w których czerwony ogień sosny jak w czystej wodzie się przeglądał. Na przodzie stało widać kilku starszych, około schwytanego konia rycerza zduszonego przez Liska i coś między sobą gadali. Ogień zresztą tak dobrze ich oświecał, że Lisek nieomal mógł ich policzyć wszystkich. Było tych Niemców około trzystu, siła więc straszna ze względu na swą liczbę i uzbrojenie dla naszych junaków. Zabój, który także widać liczył Niemców, i który znał ich sposób prowadzenia wojny, szepnął do ucha Liskowi:

— To straż przednia, a może podjazd taki jak i my.

Lisek nic na to nie odrzekł, bo uwagę jego zwrócili dwaj pozostali rycerze, wysłani na zwiady. Nie wiedząc co się stało z ich środkowym towarzyszem spokojnie zbliżyli się nad brzeg potoku i zdumieni nagłym blaskiem, zatrzymali się, odwrócili i patrzyli na palącą się sosnę. W tejże chwili Lisek naciągnął swój łuk, przez jedno mgnienie oka zmierzył, puścił cięciwę i strzała ze świstem lecąc uwięzła w szyi rycerza z taką siłą, że ostrze wylazło na drugą stronę. Niemiec zachwiał się na koniu, krew mu z ust wytrysła grubym strumieniem i padł jak długi na ziemię. Koń z głośnem rżeniem, oślepiony ogniem, przerażony upadkiem jeźdzca, rzucił się naprzód i wpadł z łoskotem w potok więznąc w błocie po brzuch. Zaraz kilku junaków zsunęło się na dół, wydobyło przerażone

zwierzę i uprowadziło na górę. Ale to zdradziło ich przed Niemcami, którzy ujrzawszy uprowadzających konia, głośno krzyczeć zaczęli, wskazywać na nich rękami, a nawet strzelać z łuków. Ale strzały nie donosiły, więznąc po większej części w piasku przeciwnego brzegu.

Podobnyż los, jak dwóch jego towarzyszy wysłanych na zwiady, spotkał trzeciego Niemca. Junacy na znak dany przez Liska obrzucili go taką masą strzał, że i on i koń pod nim padł na ziemię, obaj ciężko poranieni.

Wszystko to działo się w oczach całego wojska niemieckiego, stojącego opodal, po za gorejącą ciągle i oświecającą las dokoła, sosną. Na widok padających dwóch swoich towarzyszy Niemcy wydali okrzyk wściekłości i spinając konie ostrogami rzucili się w nieładzie naprzód z podniesionemi mieczami i toporami. Przy krwawym blasku ognia, wśród ciemności leśnych ta gromada pędzących rycerzy, wyglądała jak widma, jak duchy nie z tego świata. W ich zbrojach chrzęszczących głośno, w ich hełmach strojnych w pióra i łby dzikich zwierząt, ich tarczach i mieczach, zapalały się od ognia nagłe błyskawice, oślepiające rzucając dokoła połyski i gasnąc co chwila.

W odpowiedzi na okrzyk wojenny Niemców, Lisek podniósł się z za krzaka i rozwijając ze świstem swój stryczek nad głową, zakręcił nim dokoła i zawołał głosem grzmiącym:

— Mierzyć dobrze w szyje!

Posypał się rój strzał, jak osy brzęczących i gwiżdżących w powietrzu. Kilkunastu procarzy z pomiędzy junaków wyrzuciło kamienie, które z łoskotem dzwonić poczęły po hełmach i zbrojach. Tu i owdzie jakiś Niemiec dobrze ugodzony zachwiał się na koniu i padł—tam koń zraniony ciężko spiął się na zadnie nogi i runął wraz z jeźdźcem na ziemię, jeszcze gdzieindziej strzała utkwiwszy w hełmie, drżała swojemi piórami jak żywa. Wódz niemiecki, olbrzymiego wzrostu mąż, rudy jak marchew, okryty na zbroi skórą niedźwiedzią, spiętą pod szyją na złocistą zapinkę, i toporem żelaznym w ręku, zabiegł drogę swoim i ochrypłym głosem krzyczał:

— *Herum! Herum!*

Widział go Lisek i Zabój. Obaj trzykrotnie naciągnęli swe wielkie, dalekonośne łuki i trzykrotnie strzały ich odbiły się od wybornej zbroi niemieckiego wodza. Dopiero Wisław nałożywszy na procę swoją ogromny kamień, cisnął go z taką siłą, że hełm na wodzu owym uderzony silnie pękł na dwoje, jak gliniany czerep, a sam rycerz pod tym potężnym ciosem zachwiał się i runął na ziemię. Podniósł się wprawdzie zaraz potrząsając groźnie swym toporem, ale mając obnażoną głowę narażony był na straszne niebezpieczeństwo. Lisek bowiem i Zabój naciągnęli znów swe łuki—dwie strzały świsnęły w powie-

trzu i utkwiły w głowie wodza niemieckiego. Padł na wznak zalewając się krwią.

Okrzyk tryumfu rozległ się między chrobackiemi wojakami.

— Naprzód na Niemców z oszczepami! — krzyknął jakiś junak, podnosząc się z ziemi.

— Leżeć!—wrzasnął Lisek,— kto mi się ruszy, stryczkami go tu przyciągnę.

W tej chwili ów junak ugodzony niemiecką strzałą w same piersi padł trupem. Lisek nie kazał się nikomu ruszać, jeno dalej obsypywać Niemców strzałami i kamieniami. Wiedział on dobrze, jako wytrawny wojak, nieraz już mierzący się z Niemcami, że silni za potokiem i krzakami, chrobaccy wojownicy we wstępnym boju zostaliby stratowani przez Niemców jak robaki.

Niemcy po stracie wodza cofnęli się, unosząc jego trupa, po za gorejącą sosną na odległość taką, że strzały Chrobatów razić ich już nie mogły i przez chwilę naradzali się między sobą. Kilkudziesięciu zeszło z koni i pieszo z łukami żelaznemi w rękach, kryjąc się za krzaki i drzewa, poczęło podsuwać się ku potokowi, zarzucając strzałami Chrobatów. Mierzyli oni dobrze i tyle tylko kto choć trochę się odsłonił, padał zaraz ugodzony śmiertelnie. Strzały ich były długie, zaopatrzone w ostrza z żelaza niezmiernie twardego, mając przy osadzie końce tak zakręcone, że trudno je było z ciała wydo-

być. Kilku junaków już padło z przeszytemi piersiami, a Niemców coraz więcej przybywało i strzały ich szły coraz gęściej.

Chrobaci jak mogli odpowiadali. Biada Niemcowi, który wychylił łeb z po za drzewa i jeżeli jego zbroja nie była zbyt mocną, by wytrzymać uderzenie chrobackiej strzały, to z pewnością gryzł świętą ziemię. Strzały z obu stron świstały rozlatując się na wszystkie strony, jak osy lub szerszenie.

W tem po nad głowami Chrobatów leżących i ukrytych za krzakami i drzewami, rozległ się donośny, chrapliwy głos:

— A co to znaczy?

Odwrócili się wszyscy i widzą wojewodę Zbigniewa, z gołą głową, bez pancerza jak stoi nad nimi na górze, na pół nieprzytomny jeszcze i patrzy błędnemi oczami na gorejącą wielkim słupem ognia sosnę. Stał tak niby cel dla pocisków niemieckich nie rozumiejąc grożącego mu niebezpieczeństwa. Niestety! nim Lisek zdołał krzyknąć:

— Wojewodo! plackiem na ziemię, bo zginiesz!... Już cztery niemieckie strzały uwięzły w piersi Zbigniewa. Zatoczył się w tył, rękami się chwycił za piersi i bluzgając krwią padł trupem na miejscu. Zadrżał jeszcze kilkakrotnie, poruszył się z jękiem przeciągłym i—skonał.

Tymczasem walka toczyła się coraz dalej. Niemcy uparcie, ale z wielką przezornością zbli-

żali się do rowu, którym potok płynął i który rozdzielał walczących. Strzały ich szły coraz gęściej, gdyż coraz więcej rycerzy zsiadało z koni i łączyło się z poprzedzającymi. Choć Chrobaci dobrze mierzyli, ale kute zbroje niemieckie, żelazne hełmy i tarcze wytrzymywały uderzenia strzał słowiańskich, podczas gdy przez pancerze na junakach strzały niemieckie przechodziły jak przez masło. Walka poczęła tym sposobem przybierać zły obrót dla Chrobatów, zwłaszcza, że Niemcy dostrzegli konie stojące w tyle i także poczęli do nich strzelać, raniąc je i rozpędzając. Lisek zmartwiony srodze, począł już rozmyślać jak tu z tej matni się wycofać, gdy znów nieprzewidziany i nagły wypadek zmienił stan rzeczy zupełnie.

XXII.

Odwrót.

Wypadkiem tym, który zmienił położenie obu stron walczących, było nagłe zgaśnięcie ognia, który dotąd oświecał las o tyle przynajmniej dostatecznie, że przy tym blasku można było toczyć krwawą i upartą walkę. Sosna spaliła się zupełnie i runęła na mokrą, przesyconą wilgocią trawę i odrazu prawie zgasła. Małe tu i owdzie ukazujące się płomyki, oraz węgle żarzące się jeszcze nie dawały tyle światła, by można cokolwiek widzieć na dalszą odległość.

Ciemność, jaka nagle po jarzącym blasku zapanowała w puszczy, w zdumienie na chwilę wprawiła obie strony. Wstrzymano się z wzajemnem przesyłaniem sobie śmiercionośnych pocisków, tylko słychać było jak Niemcy głośno nawołują się. Wszystkie ręce zatrzymały się

na cięciwach, a oczy patrzały zdumione, nie wiedząc, co robić.

Jeden tylko Lisek nie stracił przytomności. Od razu pojął on jak wielką mu może korzyść przynieść ten wypadek i postanowił wyciągnąć zeń wszelkie możliwe korzyści. Postanowił więc pod zasłoną nocy dokonać teraz szybkiego odwrotu. Czas już był wielki, gdyż na wschodzie, za Wisłą, niebo bielało już, zwiastując bliski świt. Chłodny, orzeźwiający powiew budzącego się dnia czuć było w lesie. Lisek widział, że jeżeli teraz nie zdoła wycofać się szczęśliwie, to z nastąpieniem dnia, w obec przemagającej siły niemieckiej cały oddział przepadnie.

W jednej chwili, z charakteryzującą go stanowczością, kazał ciągle strzelać przed siebie, przeważnie do żarzącego się jeszcze ogniska, a kilku junaków wysłał, by sprowadzili konie. Znowu więc zaświstał rój strzał, które gwiżdżąc padały na ognisko i w około niego. Niemcy zrazu nie odpowiadali, ale potem i oni poczęli strzelać, ale nie mogąc już dobrze mierzyć, strzały ich popychane przez wiatr szły przeważnie górą. Z tem wszystkiem zdołali jeszcze dwóch ludzi zabić, a czterech ranili.

Nakoniec sprowadzono konie. Ciemność była nieprzejrzana w lesie, gdyż strzały padając, w żarzące się ognisko, rozrzuciły je do reszty. W jednej chwili cały oddział dosiadł koni, zostawiając na pobojowisku zabitych. Trzech śpiących

ze starszyzny, których nawet wrzawa bojowa obudzić nie mogła, siłą wsadzono na konie. Wziętemu przez Liska Niemcowi dano konia jednego z zabitych i wśród świstu strzał nieprzyjaciela, który słysząc jakieś ruchy, znowu począł strzelać z podwójną energią, ruszono kłusem wyciągniętym z powrotem. Wkrótce po wydostaniu się z pod strzał nieprzyjaciela i z możliwą szybkością o ile ciemna noc pozwalała, przesuwano się naprzód w największem milczeniu; Lisek nakazał zachowanie wielkiej cichości i wszelkich ostrożności. Rozrzucono się więc po lesie, plątano ślady, kilku ludzi zawracało, lub oddalało się w bok. W końcu rozdzielono się na cztery części. Jedna poszła samym brzegiem Wisły, a trzy inne puszczą w znacznej od siebie odległości.

Najwięcej wystawioną na niebezpieczeństwo bo przesuwającą się brzegiem Wisły, złożoną z trzydziestu niespełna ludzi częścią dowodził Lisek. Wszystkie inne oddziały szły głębią puszczy, nie miały bowiem czego się obawiać. Jeżeli Niemcy o świcie puszczą się w pogoń, to zawsze, z obawy pobłądzenia w lesie, będą szli za tymi, którzy postępują w pobliżu rzeki. Wszyscy to dobrze wiedzieli i dla tego Lisek osobiście poprowadził ten oddziałek.

W ogóle straty Chrobatów nie były zbyt znaczne, choć stosunkowo zapewne stracili więcej ludzi niż Niemcy. Oprócz Zbigniewa mieli jedenastu zabitych i coś dwudziestu ranionych, z któ-

rych zresztą każdy mógł zatrzymać się na końcu i jechać.

Lisek wiódł ze sobą Niemca schwytanego na arkan, teraz rozbrojonego zupełnie, odartego ze zbroi i przywiązanego do konia, którego wiodło dwóch junaków. Zabój jechał przy swym dawnym towarzyszu podróży Lisku.

Tak postępowano wyciągniętego stępa nad rzeką. Dzień powoli się robił. Białe mgły nad Wisłą spadały coraz niżej i z po za lasów rumieniło już niebo purpurą wschodzącego słońca. Obfita rosa leżała na murawie, na liściach drzew i strącana przez włócznie wojaków, spadała na nich. Cała puszcza brzmiała tysiącem głosów, świergotem ptactwa, krzykiem żórawi i kukaniem kukułki. Ciepły przewiew wiatru z głębi boru przynosił aromatyczny zapach żywicy. Posuwano się w największej cichości.

Nakoniec słońce weszło z poza lasów i gór, rozpędziło resztki mgły kłębiącej się jeszcze nad wodą, przejrzało się rozbrojone w złoto i purpurę w pluskającej fali Wiślanej i rozjaśniło wszystkie ciemności lasu. Lisek z następującym dniem był coraz niespokojniejszy i co chwila się oglądał i przyśpieszał kroku. Chciał on bądź co bądź ujść przed pościgiem Niemców, którego się spodziewał, którego był prawie pewny. Nie mógł bowiem przypuścić, żeby Niemcy czując się silnymi, nie pomścili zadanej im w nocy klęski.

Nalegał więc o pośpiech, grożąc, że czyj koń ustanie, tego zostawi w puszczy na pastwę Niemcom.

— Nie mamy do końca puszczy jak dwie mile jeszcze,—mówił,—a do grodu zaledwie trzy mile. Trochę więc pośpiechu, trochę wysilenia, a będziemy bezpieczni i cali.

Spieszono się więc i stęp wyciągnięty zmieniał się w kłusa. Lisek wiedział, że junacy są ogromnie znużeni całonocną walką i długą drogą, że następstwem tego znużenia jest zniechęcenie i brak odwagi. Twarze wszystkie były tak jakoś przerażone, tak co chwila oglądali się i nadsłuchiwali, że pokazanie się dwóch Niemców na tyłach wywołałoby ogólny popłoch i ucieczkę. Ucieczka taka, ze względu na zmęczone mocno konie, byłaby klęską i rzezią. Lisek myślał i przemyśliwał nad tem, jakby przywrócić zagasłą waleczność w junakach, zwłaszcza, że był przekonany, że Niemcy go dogonią choćby na skraju puszczy, że trzeba będzie z nimi stoczyć jeszcze jedną walkę. Tamte dwa oddziały, które poszły puszczą są ocalone, ale on może paść ofiarą, do czego jednak nie miał żadnej ochoty. Jeździł więc pomiędzy wojakami, przemawiał do nich, śmiał się, zapewniał, że choćby ich nawet Niemcy dognali, to nic nie zrobią, byle chciano znowu stawić waleczne czoło; że Niemcy nie wcześniej ich dopędzą, jak na skraju puszczy, że tam są góry i skały, za któremi ukryci mogą się

oprzeć skutecznie, że nakoniec z Krakowa nadbiegnie im pomoc, i że Niemców zetrą na miazgę.

Słowa te skutkowały. Twarze poczęły inaczej patrzeć przed siebie, nie oglądano się już na najmniejszy szelest w puszczy nie chylono głów trwożliwie. Owszem z otuchą, jaką wstąpiła w serca junaków, poczęto teraz strzelać do ptaków, jakie spotykano w pochodzie, ścigać sarny i jelenie, których parę sztuk ubito i zabrano, gdyż Lisek zawiadomił, że na skraju puszczy, między skałami zatrzymają się, by wytchnąć dać koniom. Niektórzy więc junacy głodni, bo nic od wczoraj w ustach nie mieli, postanowili na odpoczynku upiec sobie owe sarny.

Słońce już było bardzo wysoko i dopiekało mocno, kiedy nakoniec bez żadnych przygód i oznak pogoni niemieckiej, dostano się na skraj puszczy. Wesołe miny, skały prześlicznym wieńcem jodeł ustrojone i dalej Kraków, który już było widać w niebieskawej mgle, rozjaśnił wszystkie mroczne dotąd twarze.

Cały oddział zatrzymał się po za górą, zasłaniającą go od strony puszczy, niedaleko wioski, w której w czasie podróży z Zabojem, Lisek zatrzymał się był na odpoczynek u kmiecia Władyboja.. Posłano do wsi konnego po owies i siano, oraz żywność. Tymczasem nie zdejmując zbroi odpoczywano w cieniu. Rozstawiono straże na górach, rozpalono ogniska. Niektórzy piekli upolowane w puszczy sarny i ptaki, inni wycią-

gnąwszy się na miękkiej murawie odpoczywali, zapatrzeni w siną dal, lub w niezamącony niczem błękit letniego nieba.

Odpoczywano tak już jakiś czas i ze wsi dostawiono nieco owsa i siana, oraz chleba, a nawet kilku kmieciów przybyło do obozu dowiedzieć się, co słychać o Niemcach, gdy nagle straż umieszczona na górze, dała znać, że jacyś zbrojni wojacy ukazali się na skraju puszczy, na prawo od obozu w dość znacznej od niego odległości. Lisek poskoczył na górę, żeby zobaczyć co to jest i popatrzywszy chwilę, zawołał:

— To nasi! Niech tam kto skoczy i zawróci ich tu do nas. Niech sobie z nami odpoczną nieco i teraz już lepiej będzie, gdy kupą pójdziemy

Dosiadło koni trzech wojaków i popędziło do owego oddziałku, który wkrótce złączył się z obozującymi. Oddziałek ten liczył dwadzieścia kilka koni, był ogromnie znużony, ale o Niemcach nic nie wiedział. Lisek silniejszy już teraz i spokojniejszy, kazał im rozłożyć się i odpocząć nieco. Trzeci oddziałek, choć pilnie go z góry poszukiwano jeszcze nie pokazał się z puszczy.

Ale za to zaledwie poczęto gotować krupy dostawione ze wsi, gdy na skraju boru, wprost obozujących zabłyszczały pod słońce zbroje i hełmy Niemców. Było ich kilkudziesięciu na dzielnych koniach, wszystko olbrzymy. W ich tarczach, na których misternie pomalowane były rozmaite gady i potwory, przeglądało się słońce,

oświecało czerwone i żółte proporczyki u włóczni, ciskało błyskawice od nagich, długich i prostych mieczów.

— Do koni! do broni!—krzyczał wojak stojący na straży, zbiegając z góry, —Niemcy idą!

W jednej chwili skoczono do koni, a Lisek pobiegł na górę przypatrzeć się Niemcom. Było ich trzydziestu pięciu, a więc znacznie mniej od Chrobatów. Wysunęli się z puszczy i stanęli, oglądając się dokoła. Zobaczywszy to Lisek miał już plan gotowy. Nie będąc pewnym, czy po za tym oddziałkiem nie śpieszy w pewnem oddaleniu reszta Niemców, postanowił na niego uderzyć wstępnym bojem, pokonać, i tym sposobem uwolnić się od zbyt natarczywego pościgu. Z tym zamiarem zbiegł z góry, dosiadł swego myszatego konika i dobywając oszczepu, zawołał:

— Kto za mną pójdzie na Niemców?

Przysunęło się czterdziestu junaków, między nimi Zabój. Lisek ustawił ich w szeregu i przykazawszy reszcie ukryć się dobrze za górą i w razie sposobności strzelać do Niemców z łuków i procy, wyruszył na czele swoich czterdziestu na dolinę oddzielającą górę od puszczy.

Niemcy którzy zatrzymawszy się przez chwilę, ruszyli znowu naprzód w kierunku góry, za którą zapewne dostrzegli byli dym wydobywający się z ogniska, spostrzegłszy Chrobatów wysuwających się kłusem i w porządku z za góry, stanęli, zdziwieni i widocznie zaniepokojeni tem

mocno. Ale gdy cały oddziałek chrobacki wyszedł na dolinę i rozwinął się, widząc nie wielką jego siłę, z krzykiem i wrzawą, wstrząsając włóczniami i toporami puścili się z kopyta na junaków.

Lisek w tejże chwili rozwinął ze świstem swój stryczek i krzycząc głośno: „naprzód Chrobaci!“ puścił się ku Niemcom co koń wyskoczy. Junacy pognali za nim. Kilkanaście strzał świsnęło z za góry na Niemców nie szkodząc im wreszcie wcale. Biegli oni aż ziemia dudniała, krzycząc, potrząsając groźnie swemi mieczami. Ale i Chrobaci walecznie posuwali się ku nim— i oba oddziały wyglądały jak dwie gradowe chmury mające się ze sobą zetrzeć i huknąć piorumem.

Lisek wywijając swym stryczkiem, gdy nadbiegł na odpowiednią odległość puścił go z niezmierną siłą i schwycił za szyję wodza niemieckiego. W jednej chwili ściągnął go na ziemię zawrócił konia i włokąc za sobą ciężkiego i duszącego się rycerza pognał ku górze. To tak zdumiło i przeraziło Niemców, że zatrzymali konie i jak ogłupiali patrzyli na uprowadzonego jak psa jakiego wodza. A tu już junacy siedzą im na karkach. Zabój dzierżąc swój wielki miecz tnie hełmy jak glinę zeschłą, Wisław maczugą nabitą gwoździami druzgocze twarde łby niemieckie, inni oszczepami mordują najeźdzców. Ci poprawili się i stawili zrazu waleczny odpór.

Siekano się, rąbano, chwytano w pół i ściągano z koni, tocząc śmiertelną walkę na ziemi. Kurz się olbrzymi podniósł i przez chwilę Lisek, który oddał schwytanego Niemca wojakom pozostałym na górze, nic nie widział. Zawrócił jednak i pognał znowu w bój. Tym razem wszyscy pozostali na górze towarzyszyli mu, zawstydzeni z bezczynności. Nawet przybyli ze wsi kmiecie chwycili za broń i pognali na Niemców. Wrzawa była tak wielka, że we wsi wszyscy mężnie porwali za maczugi, łuki, kłonice i śpieszyli na plac boju. Ale pomoc ich nie była już potrzebna. Niemcy przełamani pierzchali na wszystkie strony, ścigani zawzięcie i mordowani bezlitośnie. Lisek nie zabijał, tylko na stryczek chwytał uciekających. Trzech jeńców jeszcze w tem sposób zdobył. Piętnaście trupów niemieckich zaległo pobojowisko, obok dziesięciu zwłok chrobackich. Resztę Niemców ścigano długo jeszcze po puszczy i zabijano, tak, że ani jedna noga z tego oddziałku nie ocalała.

W tryumfie wiodąc pięciu niewolników, mnóstwo zbroi i broni niemieckiej i kilkanaście koni prowadząc, wkroczył Lisek wieczorem do Krakowego grodu, witany okrzykami i ogólną radością. Królewna Wanda aż na ganek zamku wyszła, by powitać zwycięzców.

XXII.

Poselstwo Rytygierza.

Królewna Wanda była niezmiernie ucieszona, ze zwycięzkiego powrotu podjazdu, a nadewszystko z wiadomości jakie on przyniósł o niemcach. Gdy się dowiedziała, że tylko dzięki rozumowi i energji Liska, oddział ocalał i wrócił w tryumfie, mianowała go zaraz jednym z wojewodów mających prowadzić wojaków przeciw Niemcom. Obóz ten pod Wawelem wzrastał ciągle w liczbę i siły. Gorejące co noc wici i stosy oblane smołą, sprowadzały z najdalszych stron mężów zbrojnych. Gdzieś tam z za Wisły, z okolic gródka zwanego Wiślicą, kneź tamtejszy Walgien, przywiódł czterystu kilkudziesięciu wojaków, na pół nagich, zarośniętych i dzikich, uzbrojonych w małe tarcze, krótkie oszczepy, łuki, proce i maczugi. Wszystko to mieściło się pod górą, w dużem obozowisku, napełniając gród

i miasto u jego stóp rozrzucone wrzawą i ruchem niezwykłym.

Tej jeszcze nocy, zaraz po powrocie Liska z wyprawy, wojewodowie polecili Zbiszkowi, wybadać niewolników niemieckich, jakie siły wiedzie ich wódz Rytygierz i czego chcą Niemcy. Zbiszek nie umiał po niemiecku i nikt w grodzie ani też w mieście tego nie potrafił. Zbiszek więc był w wielkim kłopocie jak sobie poradzić z Niemcami. Szczęściem przypomniaał sobie, że świeżo przybyły do Krakowa kneź Wiślicki Walgien, był tam kiedyś na Niemcach, aż nad wielką rzeką Renem zwaną, o czem gęślarze piękne pieśni śpiewali. Do niego się więc Zbiszek udał, a kneź wysłuchawszy go, huknął swym grubym, chrapliwym głosem:

— Dawaj no tu tych Niemców! jużcić że wiarę ich rozumiem, przecież byłem w ich kraju.

Przyprowadzono tedy niewolników i kneź zabrał się do nich. Ale zrazu nie chcieli nic gadać. Tedy kneź krzyknął na swoich, ci Niemców pochwycili, na ziemię rzucili i gorącemi, żarzącemi węglami poczęli im przypiekać podeszwy u nagich nóg. Męczarnia była straszna i Niemcy krzyczeli w niebogłosy, ale zaraz też wszystko powiedzieli; że ich jest moc wielka, przeszło półtora tysiąca koni, i tyleż pieszych, że wiedzie ich wojewoda Rytygierz, który jest starszym rycerzem, że pokonali już Czechów i Mo-

rawców, kraj ich z ziemią zrównali i że tak samo chcą zrobić z Chrobatami.

— O! niedoczekanie wasze, przeklęte psy niemieckie! krzyczał Walgien i dalej pytał:

— Ale czegóż wy chcecie od nas! cośmy wam winni?

— Wojewoda Rytygierz, odpowiadał na to wódz schwytany przez Liska na skraju puszczy zasłyszał wędrownych gęślarzy i minesengerów o waszej królewnie, która ma być cudownie piękna i pragnie się z nią ożenić. Dla tego zrobił na was wyprawę. Jeżeli królewna zgodzi się na to, wówczas Rytygierz zachowa się spokojnie, z królewną się ożeni i zabierze ją z sobą do niemieckiej krainy, do pięknego zamku murowanego na wysokiej skale nad rzeką Renem...

— Znam, znam te rzekę! westchnął Walgien— ale mów dalej niewolniku.

— Wówczas nie czyniąc nic nikomu, wrócimy do siebie przy graniu piszczałek i fletni, śpiewając, ubrani w wieńce dębowe. Wojewoda zostawi tu jeno w gródku waszym paruset rycerzy, na znak, że on jest panem tej ziemi, jako mąż waszej królewny...

— Damy my jemu królewnę! W swaty się wybrał! damy mu jemu swaty, ale krwawe!.... mruczał Walgien.

— Jeżeli zaś,—gadał dalej Niemiec,— królewna odrzuci rękę naszego wojewody, wówczas kraj ten zniszczymy, wszystkie wsie i grody spalimy

i zrównamy ziemię, mężów wymordujemy lub weźniemy w niewolę, a królewnę wódz gwałtem weźmie.

— No! no! to obaczymy, jeszcze jak to będzie!—mruknął Walgi«n—a teraz gadaj mi Niemcze, kiedy z puszczy wylezie wasz wojewoda?

— Tego nie wiem. Wczoraj, kiedy nas wysłał przodem na zwiady, stał koło małego gródka w puszczy, któryśmy mocą wzięli, spalili, wszystkich ludzi wycięli...

Kiedy te słowa Walgien przetłomaczył na język ludzki Zbiszkowi i Liskowi, innym wojewodom, to Lisek zawołał z żalem:

— Sławka te psubraty niemieckie zamordowały i począł żałować głośno z wielkiego bolu za swym przyjacielem.

— Czegóż płaczecie wojewodo Lisku, mówił Walgien, wiadomo że na wojnie ludzie się nie rodzą. Lepiej powiedzcie jak to daleko jest do owego gródka Sławkowego.

— Jak daleko? dwa dni drogi ztąd. Niemcy mogą być pod Krakowem.

Wiadomość ta wywarła silne wrażenie. Odesłano zaraz jenców niemieckich za Wisłę, do gontyny na wysepce na jeziorku, gdzie mieli być jutro rano poświęceni bogom, i zajęto się uporządkowaniem zebranych sił wojennych. Rozdzielono je na tyle części, ilu było wojewodów. Liskowi w miejsce poległego Zbigniewa, oddano wszystkich uzbrojonych w pancerze i hełmy, któ-

rych było przeszło czterystu i wysłano na skraj puszczy, by pilnował pokazania się Niemców. Całą noc panował w obozie ruch i gotowano się do jutrzejszej upartej walki z Niemcami.

Nazajutrz o świcie wszyscy wojewodowie i królewna Wanda, oraz mnóstwo wojaków, kobiet i dzieci, udało się za Wisłę do gontyny, by być świadkiem poświęcenia bogom Niemców. Przed gontyną misternie z drzewa zbudowaną i pomalowaną na niebiesko i czerwono, leżał wielki, podłożony kamień obficie krwią zaschłą obryzgany, na którym zwykle czyniono ofiary objaty, jak je nazywano. Samą gontynę otaczało kilka starych, na pół spruchniałych dębów.

Kiedy się już wszyscy zgromadzili, kapłani wyprowadzili zupełnie prawie obnażonych jeńców. Wiedzieli oni co ich czeka i byli śmiertelnie bladzi. Wódz, olbrzymi mąż, z rudym włosem, trupio blady spoglądał dzikim wzrokiem do koła. Szczęściem oczekiwanie na śmierć nie długo trwało. Arcykapłan ukazał się, uzbrojony w wielki nóż z krzemienia zrobiony i biednych jeńców skrępowanych powrozami kładziono po kolei na onym podłożnym kamieniu i arcykapłan wśród śpiewów wbijał każdemu ów nóż w serce. Konanie nie długo trwało. Krew trysła strumieniem, ofiara zadrgała konwulsyjnie i skonała. Kamień obficie zlany był krwią. Najstraszniejszem zapewne było to, że gdy prowadzono jednego do fatalnego kamienia, inni musieli na to patrzeć, widząc że ta-

ki sam los ich czeka. Czterej pierwsi żadnego oporu nie stawiali. Tracili oni zresztą przytomność wprzód nim ich położono na strasznym kamieniu, ale piąty, wódz, stawił dzielny opór. W rozpaczliwym wysiłku zerwał krępujące go więzy, kilku uderzeniami pięści powalił wiodących go na śmierć kapłanów i rzucił się do ucieczki ku Wiśle. Schwytano go jednak i po szalonej obronie przyprowadzono pokrwawionego, na pół już nieżywego. Arcykapłan wbił mu jak innym nóż kamienny w serce.

Pięć trupów potem złożono na stosie i spalono. Ofiarami temi według pojęć religijnych Słowian, usiłowano przebłagać bogów i zapewnić sobie zwycięztwo nad Niemcami.

Ledwie królewna Wanda i wojewodowie powrócili do grodu gdy przypadł na spienionym koniu goniec od Liska, z doniesieniem, że uroczyste poselstwo niemieckie od wojewody Rytygierza do królewny Wandy, jest w drodze ku Krakowie. Zatem Zbiszek, jako kasztelan zamku, nakazał by wszystko było w porządku. Umieciono dziedziniec zarzucony gnojem i śmieciami według słowiańskiego obyczaju, na ganek wyniesiono stolec książęcy, przyniesiony jeszcze Krakowi z Carogrodu, schody pokryto szkarłatnem suknem, a załogę gródka uzbrojono od stóp do głów postawiono do koło stolca. Gorące słońce lipcowego poranku oświecało to wszystko wspaniale. W obozie wojacy ustawili się także w porząd-

ku i tłumy ludu wyległy na przeciw poselstwu niemieckiemu, o którem przybyły junak cuda opowiadał, jako jest piękne, strojne i jak bogate dary niesie.

Królewna otoczona niewiastami swojemi z niepokojem oczekiwała na to poselstwo. Domyślała się ona czego od niej chce Rytygierz, a zawoławszy Zbiszka starego do siebie, zapłakana mówiła:

— Zbiszku, stary druhu mego ojca, co ja mam robić teraz? Wiesz dobrze z czem to poselstwo niemieckie idzie. Nie godziż się mnie oddać rękę niemcowi, a ocalić przez to Chrobacyą od strasznej wojny i straszniejszego spustoszenia. Poradź mi Zbiszku, bo ja biedna sierota nie wiem co mam czynić.

— Królewno moja, odrzekł Zbiszek, gdyby to o to tylko szło, pierwszy rzekłbym poświęć się dla Chrobacyi. Ale nie wieszże co gadał on wódz niemiecki spalony dziś na stosie! Mówił on że gdy oddasz rękę Rytygierzowi, to on na znak panowania w Chrobacyi, zostawi tu w grodzie kilkuset rycerzy. Będziemy znów w niewoli, może w gorszej od Obrów niewoli, w niewoli niemieckiej. Nie, królewno, brońmy się do ostatka, do ostatniej strzały, a gdy nic już nie poradzimy, spalmy ten gród i uciekajmy w puszczę.

— Dobrze radzisz Zbiszku, zawołała królewna z radością w twarzy,—tak, bić się będziemy do ostatka.

Ubrała się cała biało i śliczną swą złotą kosę rozpuściła na plecy. Na głowie, na wieńcu z róż i liści dębowych, miała koronę ciężką. ojcowską. Tak oczekiwała poselstwa niemieckiego.

Nakoniec, pachołek umieszczony na wieży dał znać, że poselstwo jedzie. Jakoż wstępowało ono na ulicę miasta z piszczałkami, fletniami i gęślami grając i śpiewając prześlicznie. Lud witał okrzykami tę muzykę i tłumnie otaczał orszak poselski. Na czele tego orszaku jechał sam poseł. Ubrany w hełm stalowy, lśniący od słońca jak roztopione srebro, z wielką masą piór u wierzchu, patrzał dumnie na otaczający go biedny, na pół nagi, siermiężny lud sławiański. Czerwone jego kudły wydobywając się z pod hełmu, w słońcu tak wyglądały, jakby fala krwi spadała na kark Niemca. Z pod skóry rysiej, którą miał zarzuconą na ramiona, wyglądał pancerz lśniący nie mniej silnie jak hełm. Tarczy ów poseł nie miał wcale, ani też łuku, jeno długi miecz u boku. Koń pod nim był czarny i pienił się spinając się co chwila.

Za posłem jechali owi grajkowie w bobrowych kołpakach, w czerwonych sukniach i z krótkiemi oszczepami u boku. Wygrywali oni wesołe i smutne piosenki a lud cieszył się tem bardzo. Za grajkami dwóch pieszych ubranych w krótkie kożuchy, na które zarzucone były bawole skóry tak że rogi mieli nad czołem, z ogromnemi tarczami i długimi mieczami u boku, prowadziło

prześlicznego konia jak śnieg białego, okrytego szkarłatnem suknem ze złotemi frendzlami. Za koniem takichże trzech pieszych w bawole skóry strojnych, strasznych i dzikich niosło w ręku rozmaite dary, a mianowicie: kubki złote i srebrne, drogie wschodnie materye, zausznice, manele i t. p. Obok nich postępował na koniu rycerz w zbroi i hełmie, dzierżąc w ręku dwa nagie miecze, z których jeden był czysty jak łza, drugi zaś zmaczany we krwi. Orszak zakończało kilkunastu zbrojnych Niemców, a za nimi postępowali z dobytemi mieczami junacy Liska, w liczbie kilkudziesięciu dowodzeni przez niego samego.

Wszystko to z szumem, chrzęstem, krzykiem, odgłosem piszczałek i fletni weszło na górę i na dziedziniec zamkowy, gdzie się zresztą wszyscy pomieścić nie mogli i większa część orszaku została na górze za częstokołem. Królewna Wanda siedziała już na swym książęcym tronie, otoczona niewiastami i starszyzną. Obok niej stał Kneź Walgierz, w zbroi i hełmie z piórami obyczajem niemieckim, wsparty dumnie jedną ręką na mieczu.

Kiedy poseł Rytygierza wjechał w dziedziniec i zobaczył królewnę, zaraz zeskoczył z konia i szedł do niej pieszo. Przybywszy przed sam tron pokłonił się pięknie i począł mówić, co zaraz Walgierz królewnie tłomaczył.

— Mój pan, mówił poseł, baron Ritigerus, wielki i sławny rycerz na świat cały, zasłyszawszy o wdziękach twoich królewno, o których wszyscy minnesengerzy śpiewają, przybywa tu na czele niezliczonych i niezwyciężonych wojsk, ażeby cię wziąść królewno za żonę. Baron Ritigerus jest wielki mocarz. Ma nad Renem sześć grodów wzniesionych nie z drzewa ale z kamienia i cegły, ma mnóstwo niewolników i wojaków, ma całe skrzynie złota i kosztownych sukien. I oto pewny, że królewno przyjmiesz rękę tak wspaniałomyślnie ci ofiarowaną, przysyła ci ślubne dary...

Tu skinął i owi dzicy mężowie w bawolich skórach zbliżyli się z koniem i darami. Ale królewna powstrzymała ich giestem ręki i rzekła do Walgierza, który przetłómaczył jej słowa posła.

— Powiedz temu Niemcowi Kneziu, że nie chcę znać jego barona, i darów jego nie potrzebuję. Jeżeli jest tak wspaniałym, jak mówi, rycerzem, to nie będzie napadał kraju który mu nic nie zrobił i pójdzie spokojnie tam zkąd przyszedł.

Walgierz powtórzył te słowa posłowi, a ten zaczerwienił się cały od gniewu i zawołał.

— Więc tak królewno? Mój pan, baron Ritigerus, kazał mi powiedzieć ci, że jeżeli nie zostaniesz jego żoną, to ziemię twoją spustoszy ogniem i mieczem, mężczyzn wytnie, a kobiety i dzieci do niewoli uprowadzi, tam gdzie były grody płu-

giem zaorać każe i zostawi jeno niebo i ziemię. Ciebie zaś królewno zrobi swą niewolnicą nie żoną.

Na te słowa porwał się Walgierz cały czerwony od gniewu.

— Powiedz twemu panu zuchwały psie niemiecki, że jak go schwytam, ja Walgierz książę na Wiślicy, to go obwiesić każę na pierwszej lepszej gałęzi.

— Ja tu nie do ciebie przyszedłem Walgierzu, książę na Wiślicy, ale do Wandy, królowej Chrobatów twej pani. Zatem słowa twe obrazić mię nie mogą. A teraz królewno, chcesz pokoju czy wojny?

To rzekłszy skinął na onego rycerza, który niósł dwa miecze: jeden czysty drugi krwawy, i który zesiadłszy z konia stał wierzchowy jak posąg, koło posła, by się zbliżył. Poseł chwytając owe miecze, zwrócił je ku królewnie rękojeścią i rzekł tonem wielce uroczystym:

— Oto dwa miecze królewno, wybieraj! Chcesz słodkiego pokoju i uczt weselnych, czy też krwi i powagi?

Królewna, która co prawda nie rozumiała co Niemiec do niej mówi, ale z okazania owych mieczów domyśliła się o co idzie. Podniosła się szybko ze swego tronie i chwytając za miecz krwawy, podniosła go w górę, potrząsła i zawołała:

— Wojna! wojna z Niemcami na śmierć i życie.

Poseł zrozumiał o co idzie. Skłonił się, dosiadł swego rumaka i cały orszak w ponurem milczeniu, bez piszczałek i fletni zawrócił się z powrotem. Ale lud teraz nie witał go radośnie, tylko spoglądając na Niemców groźnie, mruczał posępnie. Lisek musiał otoczyć swemi junakami Niemców, żeby im lud nie wyrządził jakiej krzywdy.

XXIV.

Niemcy idą.

Resztę dnia spędzono na szykowaniu się do nieuniknionego boju, którego się nazajutrz spodziewano. Kobiety i dzieci uciekały z miasta do puszczy na wschód, mężczyzni się zbroili. Oddział za oddziałem, hufiec za hufcem wyruszał brzegiem Wisły na obszerne błonia za miasto i tam ustawiał się w długie szeregi zbrojne. Wieczorem, daleko pod puszczą od strony Moraw zajaśniała wielka łuna pożaru, dając znać że Niemcy idą. Wśród ciemnej nocy, ta łuna krwawa znamionowała, że walka będzie straszna i uparta.

Późną nocą nadszedł Lisek cofając się ze swymi pancernymi przed nawałą niemiecką. Stoczył on z nieprzyjacielem upartą krwawą walkę i wracał ze znacznie przetrzebionym hufcem, zmęczony, zakurzony, zlany krwią. Mówił, że należy spodziewać się Niemców o świcie dnia następnego. Był trochę zniechęcony i gadał do Zaboja:

Nie rokuję ja sobie nic dobrego z jutrzejszej bitwy. Niemców jest moc wielka i uzbrojeni są daleko lepiej od nas. Ich zbroi strzały nie biorą, a nasze pancerze pociski ich krają jak glinę. W bitwie dzisiejszej najwięcej junaków padło od strzał niemieckich.

Radził tedy wojewodom, żeby nazajutrz nie bawić się w strzelanie z łuków, ale odrazu zwalić się na Niemców i w ręcznym boju ich pokonać.

— Jedyny to sposób pokonania ich. Inaczej wystrzelają nas jak wróbli, nim się z nimi mieczem zmierzymy.

Zgodnie z tą radą Liska, popartą przez Walgierza, postanowiono, że jak tylko Niemcy się ukażą, rzucić się na nich z oszczepami, mieczami, toporami i maczugami, nie bawiąc się wcale w łuki. Zawiadomiono o tem wszystkich wojaków i czekano świtu w milczącem oczekiwaniu, patrząc na łunę, krwawiącą niebo szeroko. Wielu junaków spało rzuciwszy się na ziemię tam gdzie stali, inni siedzieli przy ogniskach gwarząc o czekającej ich bitwie. Przeważnie jednak w obozie panowało poważne milczenie. Opowiadania wojaków z hufca Liska o sile niemieckiej, o ich dobrem uzbrojeniu, o zapale z jakim rzucają się do walki, o celności ich strzałów, złe wywierały wrażenie. Słuchano ich chciwie i wątpiono o możności pokonania Niemców. Wielu za złe miało, że królewna odmówila Rytygierowi. Mówili, że mogła iść za Niemca, kiedy ją chciał wziąść za żo-

nę, że nie ma powodu bić się z najeźdzcami, kiedy można było tak tanim kosztem załatwić wszystko. Spalone sioła, pomordowani męże, niewiasty i dzieci, zabrany dobytek, więcej wart niż jedna dziewka.

Takie było usposobienie większości Chrobatów zebranych na obszernem błoniu w obliczu nieprzyjaciela. Kiedy jeno świt zaszazał, wszystko już było w ruchu. Wojewodowie na koniach z dobytemi mieczami szykowali swe hufce. Lisek w zbroi niemieckiej z wielkim hełmem na głowie ze swym stryczkiem u siodła, formował swych pancernych na samym przodzie, postanawiając pierwszy uderzyć. Słońce powoli się wznosiło i dzień zapowiadał się bardzo gorący. Tumany kurzu wzniosły się z pod kopyt tylu koni i nóg tylu ludzi. Stano na płaszczyźnie niczem nieosłonionej, bez cieniu i wody, wystawieni na palące promienie słońca.

Zaraz z rana wysłano kilkunastu ludzi z Zabojem na czele na podjazd, żeby donieśli, jak Niemcy się ruszą, i oczekiwano tych Niemców z pewnym, łatwo zresztą wytłomaczonym niepokojem. Walgierz w zbroi, w rysiej skórze na zbroi, z maczugą nabitą żelaznemi gwoździami, na dzielnym koniu przebiegał szeregi, zachęcał, rozkazywał i sapał potężnie, co chwila spinając się na koniu, by zobaczyć czy Niemcy nie idą. Ale Zabój nie wracał i Niemców widać nie było.

Nakoniec dobrze już koło południa, kiedy spiekota dokuczała wszystkim mocno, przypadł Zabój na czele swej garści junaków na spienionym koniu z doniesieniem, że Niemcy idą. Jakoż wielkie tumany kurzu zakrywające niebo zwiastowały pochód wroga, a gorejąca na górze nad Wisłą gontyna Jessego, znamionowała jak Niemcy wszystko co napotkali niszczyli doszczętnie.

Zrobił się ruch w szeregach Chrobackich. Dosiadano co żywo koni, przypasywano zbroje i hełmy, próbowano mieczów, oglądano trenzle u koni. Wojewodowie przebiegali szeregi. Walgierz przyzwał Liska do siebie i kazał mu na czele jego hufca, który wzmocnił częścią swych Wiśliczan najprzód uderzyć.

— Zaraz za tobą wszyscy pójdziemy! gadał.

Tymczasem, Niemcy powoli się zbliżali. Słychać było dudnienie ziemi pod ciężarem tylu ludzi i koni, chrzęst zbroi, krzyki wodzów, a pośrodku tumanów mgły błysnęło nieraz ostrze włóczni lub miecza.

Nakoniec z pośrodka kurzu ukazali się na dwa rzuty strzały, rozwinięci w wielkim szeregu. Wietrzyk miotał proporcami ich włóczni, zbroje błyszczały jak srebro, konie rżały głośno. Ukazali się i zoczywszy szeregi chrobackie zatrzymali się na całej linii.

— *Halt! halt!* rozlegał się okrzyk wodzów.

Lisek widząc to przypadł do Walgierza i rzekł:

— Już czas na nich uderzyć, nim się sprawią i zasypią nas strzałami, możemy ich poprzeć.

— Dobrze, niech cię Bóg prowadzi! rzekł Walgierz—ja zaraz za tobą idę.

To rzekłszy pognał pędem do swoich, a Lisek do swoich. Już zabierał się dać rozkaz do uderzenia, gdy nagle na białym koniu, cała biało ubrana, z pancerzem na piersiach, z hełmem na głowie, z pod którego wieniec z róż i liści dębowych się chwiał, z krwawym mieczem niemieckim w dłoni, tym samym, który poseł Rytygiera wczoraj przyniósł, ukazała się królewna Wanda. Przypadłszy przed czoło Liskowego hufca, osadziła konia na miejscu aż zadem zaрył w ziemię i potrząsając mieczem zawołała.

— Kto jest mężem ten za mną na Niemców!— to rzekłszy, nie oglądając się na nic i na nikogo puściła się cwałem naprzód ku linii niemieckiej. Jak stado dzikich żubrów, jak gromada odyńców, jak wezbrany potok, którego falom nic oprzeć się nie zdoła, jak spadająca bryła śniegu z góry rosnąc co chwila wkrótce druzgocze stuletnie dęby, tak hufiec Liska rzucil się na Niemców. Ziemia bryzgnęła z pod kopyta paruset koni w górę, podniósł się olbrzymi tuman kurzu, w którym, niby w chmurach błyskawicami świeciły miecze, a olbrzymi okrzyk głuszył powietrze. Za pancernymi Liska, niby liście rwane wichrem, zrywał się huf za hufem i gnał na Niemców.

Nim ci zdołali się spostrzedz, nim chwycili za broń już im królewna Wanda i Lisek koło niej siedzieli na karkach. Zrazu stawili dzielny, rozpaczliwy opór, ale przełamani, zepchnięci zostali na dalsze oddziały Niemieckie i w szeregach ich straszne powstało zamieszanie. A tu już całe wojsko Chrobackie spadło na nich jak gradowa chmura. Tu Lisek tnie mieczem na prawo i na lewo, a pod strasznem jego cięciem pryskają hełmy i pękają zbroje, walą się ludzie jak snopy. Tam Zabój puściwszy cugle koniowi, jeno łechcząc go piętami gna naprzód dzierżąc oburącz swój wielki miecz, a gdzie go spuści tam krew bluzga jak z wodotrysku woda. Owdzie Walgierz z okiem zaiskrzonem z rozwianą rysią skórą wali toporem Niemców po hełmach i karkach i napróżno zasłaniają mu się mieczem, miecze pod uderzeniem olbrzyma trzaskają na drzazgi. Nieprzyjaciel ginął po większej części bezbronnie. Zbity w jedną wielką, gęstą masę, nie mogąc używać w tłoku włóczni ani łuków, nie mógł też po większej części dobyć mieczy. Była to więc prawdziwa rzeź. Niemcy padali jak snopy. Konie ich przerażone, niekiedy wypadały z tej ruchliwej masy, i rżąc głośno biegały po błoniu, często z trupem krwawym na siodle, a często wlokąc po murawie zabitego rycerza któremu noga uwięzła w strzemieniu.

Nakoniec Niemcy nie mogli już dłużej wytrzymać i poczęli uciekać, najprzód pojedynczo, po-

tem liczniejszemi gromadkami, w końcu kto tylko mógł. Puszczono się za nimi w pogoń zawziętą, rąbiąc i zabijając. Pościg ten tak był uparty, że wielu junaków w trzy dni dopiero po bitwie wróciło do Krakowa, mówiąc, że aż do Moraw gnali Niemców, i że Morawianie do zbiegłej reszty zabrali się po swojemu. Mówiono, że z wyprawy tej ani jeden Niemiec nie wrócił do domu. Cała dolina od Krakowa aż po puszczę zachodnią zasłana była trupami niemieckiemi, a w puszczy długo jeszcze potem znajdowano zabitych Niemców, na pół poszarpanych przez dzikiego zwierza. Zwycięztwo było zupełne. Kilku wziętych jeńców opowiadało, że kiedy zobaczyli królewnę Wandę lecącą na czele swych junaków, całą białą i na białym koniu, myśleli że to duch z nieba się pokazał, taki ich strach wziął, że nawet mieczów nie dobyli.

Królewna Wanda poprowadziwszy swoich do boju cofnęła się potem na bok, otoczona przez Zbiszka i kilkudziesięciu junaków, była tylko widzem krwawej i krótkiej walki. Znużona potem gorącem i kurzem, gdy Niemcy już pierzchli i rozpoczął się pościg, zsiadła z konia i spoczęła na zwalonej wierzbie.

W tem nagle zbliżyło się do niej kilku ludzi niosących trupa jakiegoś rycerza niemieckiego. Zwłoki te zbroczone krwią złożyli u nóg królewny i rzekli:

— To jest trup Rytygierza wojewody niemieckiego. Gdy wojsko jego poczęło uciekać, zeskoczył z konia i ten oto miecz wbił sobie w bok.

Zapłakała królewna rzewnemi łzami na ten widok i kazała zabrać zwłoki Rytygierza, by je uczciwie spalono na stosie. Smutna, zadumana, potykając się co chwila o trupy wróciła królewna do grodu na Wawelu i tam zamknąwszy się w świetlicy, cały już ten dzień nikomu się nie pokazywała.

Na pobojowisku za to do późnej nocy brzmiały okrzyki radości i tryumfu ze strony zwycięzców. Porozpalano wielkie ognie i pieczono całe woły, kury, owce, sarny. Beczki miodu i piwa wytoczyć kazał Zbiszek z grodu dla pokrzepienia walecznych junaków. Więc jedzono i pito, śpiewano, cieszono się ogromnie. Wszystkie trupy niemieckie odarto ze zbroi i na długi czas potem mieli Chrobaci na czas wojny wielkie hełmy niemieckie, silne kute pancerze, długie miecze, dalekonośne łuki i dzielne konie. Prawie nie było junaka, któryby nie miał takiej zdobyczy. Poubierali się zaraz w owe zbroje, we swe hełmy z piórami i przechadzano się dumnie między swoimi. Te okrzyki, ta wrzawa, te uczty w pobliżu trupów niemieckich i swoich przeciągnęły się do późnej nocy. Kiedy słońce weszło cały Kraków pogrążony był jeszcze we śnie, otulony w mgły poranne, zaróżowiony od promieni

wschodnich czerwonego słońca. Ale właśnie kiedy taka cisza leżała nad grodem Kraka, rozegrała się w nim ostatnia scena posępnego tego dramatu.

XXV.

Śmierć Wandy.—Zakończenie.

Tymczasem kiedy się tak bawiono w Krakowie, kiedy tak obchodzono zwycięztwo nad Niemcami, kiedy ucztowano na pobojowisku przesiąkłem krwią wroga, Królewna Wanda, której właściwie przypada cała chwała zwycięztwa siedziała w swej świetlicy i gorzkiemi zalewała się łzami. Kiedy obaczyła krwawego trupa Rytygierza, który tak ciężko, tak gorzko zapłacił swe swaty miłosne, kiedy spojrzała po błoniu zasianem trupami wroga i swemi, powstał w jej sercu straszny wyrzut, że ostatecznie ona jest powodem śmierci tylu ludzi i tylu walecznych. Zgliszcza siół i gontyny Jessego, których dym leniwie rozwłóczący się widzieć mogła z okienka swej świetlicy, zdawał się wołać o pomstę na nią. Gdyby nie była niewiastą, gdyby nie była tak piękną, ani te sioła, ani ta gontyna nie dymiłaby

w tej chwili ku niebiosom, ani te błonia nie byłyby pokryte trupami.

Płakała więc królewna Wanda nad swym losem, zawodziła głośno zamknięta w świetlicy. Te łzy jej, ten żal gorzki dziwnie był sprzeczny z odgłosami radości dochodzącemi aż tutaj. Te głosy, te krzyki, ta mowa tryumfu nad wrogiem szarpały jej serce.

— Co za pewność, mówiła sobie, że jutro lub pojutrze nie zjawi się nowy jaki rycerz, jaki książę lub król potężny, który zasłyszawszy o mej piękności, zapragnie mej ręki i chrobackiej przy niej ziemi na wiano! Znowu pójdą sioła z dymem, dobytek żywić będzie wroga, gontyny z bogami podeptane zostaną. Zawsze gorzeć będą smolne beczki i wici po górach zawiadamiając lud o krwawej wojnie, wzywając go by rzucał wszystko, swe ciche, spokojne, sielskie zajęcia i biegł na obronę grodu krakowego i zamkniętej w nim królewny. Znowu te błonia zaleją się krwią i tysiące ludzi zalegnie je swemi trupami; znowu matki, żony, siostry opłakiwać będą synów, mężów, braci... Nie! tak dalej być nie może...

— Ale co robić! jak temu zapobiedz? pytała się samej siebie i nie znajdowała na to żadnej odpowiedzi.

Napróżno łzy lała, napróżno myślała i męczyła głowę, nic wymyślić nie mogła. Okrzyki dochodzące do niej ze dworu przeszywały jej serce i przypominały naglącą potrzebę zatamowania raz

na zawsze źródła wszelkich wojen, spowodowanych ubieganiem się o jej rękę.

Potem przypomniała sobie okoliczność, którym zawdzięczała swe wstąpienie na tron. Dwie śmierci, z których jedna była wynikiem morderstwa, strasznego bratobójstwa, ciężyły wielkim ciężarem na jej rodzie.

— Bogowie nie zostali jeszcze przebłagani, za tę okropną zbrodnię! zawołała królewna i straszna myśl przyszła jej do głowy.

Bogowie potrzebują ofiary i ona będzie tą ofiarą. Przebłaganie bogów za zbrodnię bratobójstwa, zetrze klątwę ciążącą nad jej ojczyzną, usunie wiekuisty powód wojen krwawych.—Tak ona się poświęci!

Kiedy już raz tę myśl powzięła zrobiło jej się lżej, radośniej i weselej na sercu. Przestała płakać i utrwalała się coraz bardziej w swym zamiarze. Ona się stanie ofiarą niekrwawą, a na ofierze tej, jak na silnej, skalistej podwalinie wzniesie się wiekuisty gmach szczęścia tej krainy Chrobackiej. Nie będzie już wojen, sielska cisza tu zapanuje, przerywana jeno brzękiem sierpu, rykiem wołu pędzonego w jarzmie u sochy—a dymy, będą się rozchodziły tylko z ognisk domowych, przy których rodzina wieczerze sobie gotuje, lub z ołtarzy ofiarnych.

— Ciesz się ludu, wołała Wanda, słysząc radosne okrzyki zwycięzców—ciesz się ludu, bo oto dla twego szczęścia spełni się wielka ofiara.

XXV.



Bogom na ofiarę się poświęcić!

— Masz to Dąbrówko na pamiątkę odemnie.

Potem zdjęła koronę i oddała ją drugiej:

— Masz to Ludmiło na pamiątkę odemnie.

Zausznice otrzymała trzecia, paciorki czwarta i t. d. Wszystko co miała na sobie drogiego rozdała. Dziewczęta nie rozumiejąc co to znaczy, a przeczuwając coś złego popłakały się głośno.

— Co chcecie robić królewno? spytała Ludmiła, najulubieńsza Wandy.

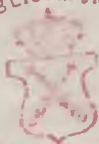
Wtedy Wanda podnosząc wzrok i białe ręce w górę, zawołała:

— Bogom na ofiarę się poświęcić!

Ledwie to wyrzekła, nim je służebne powstrzymać mogły, rzuciła się do Wisły. Prysła fala głośno, zapluskała o brzeg i zamknęła się nad ciałem chrobackiej królewny. Wielkie koła toczyły się tylko po wodzie, toczyły, aż i one znikły i Wisła jak dawniej toczyła swe mętne fale.

Płacz i narzekanie było wielkie, gdy się rozeszła wieść o śmierci królewny Wandy. Wydobyto jej ciało z wody, spalono z wielką uroczystością na stosie. a popioły pochowano za miastem we wspaniałej urnie. Nad urną tą lud usypał wysoką mogiłę....

KONIEC.


BIBLIOTH. UNIV.
JAGELLONICAE

SPIS RZECZY.

